

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

JUTRO NA UCI **Wymieńmy
Muska na wikipedystów**
• Szczerek: Mówisz listopad,
myślisz Polska • Balcerowicz
ma rację • Katolicki Uniwersytet
Lizusostwa • Z czego żyje Trump



**WYSOKIE
OBCASY**
**Małgorzata
Glinka**
Uwielbiam
być najlepsza

GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

FAWORLD

Rat ar2022

Rat

**Polska piłka przed
mundialem**

**Od Fryzjera
do Kataru**

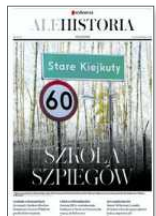
ILUSTRACJA: KRZYSZTOF PIETRASIK, FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

46>

9 770860 908167



- Dobre maniery
przede wszystkim**
Polska szkoła
szpiegów
- Hiperinflacja**
Na zakupy
z taczka
pieniędzy
- Uważaj na
miękkie gesty**
Jak zniszczono
Oscara Wilde'a
- NASZA EUROPA**
Spielberg pierwszy
raz o żydowskich
korzeniach i rodzinie

Kaczyński podgryza Konfederację

Z prawej czysto

Czy Bąkiewicz zostanie nowym Ziobrą

Wielowieyska



Jarosław Kaczyński odniósł sukces: rozbił ruch narodowy. PiS od zawsze chciał stworzyć swój nacjonalistyczny, koncesjonowany przyczółek, by osłabić Konfederację. Sondaże pokazują, że wyborcy PiS, jeśli decydują się na zmianę preferencji, to zazwyczaj przepływają do Konfederacji albo zamierzają zostać w domu. Dlatego Kaczyński chce odebrać konfederatom monopol na nacjonalistyczny elektorat.

Pierwszy etap przeciągania nacjonalistów miał miejsce w 2018 r. Andrzej Duda i Mateusz Morawiecki wzięli udział w organizowanym z okazji Święta Niepodległości marszu „Dla Ciebie, Polsko” w Warszawie. Prezydent objął go honorowym patronatem. PiS szykował się do wyborów prezydenckich oraz parlamentarnych i zabiegał o głosy narodowców. Drugi etap nastąpił w 2020 r. Cel PiS – musimy mieć własnych narodowców. Jak to zrobić? To proste – dać im pieniądze. Powstał Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej podlegający Ministerstwu Kultury, czyli Piotrowi Glińskiemu. I miliony popłynęły do dwóch organizacji Roberta Bąkiewicza – Straży Narodowej i stowarzyszenia Marsz Niepodległości. Narodowcy z Konfederacji zbyt późno się zorientowali, co się dzieje, i po części stracili wpływ na organizację swojej sztandarowej imprezy.

W stowarzyszeniu Marsz Niepodległości są dwie frakcje: jedna obstaje, aby było przybudówką Konfederacji, inni nie chcą afiliacji partyjnych. W efekcie Marsz staje się przystawką PiS. Narodowcy z Konfederacji pokłócili się z Bąkiewiczem nawet o tegoroczne hasło. Potem konkurowali na



• Robert Bąkiewicz na tegorocznym Marszu Niepodległości, który do cna skłócił konkurencyjne środowiska narodowców FOT. MARTYNA NIECKO / AGENCIA WYBORCZA.PL

ulicy, która frakcja będzie bardziej widoczna na czele Marszu.

– Od kilku lat obserwujemy próbę wykupienia Marszu za pomocą pieniędzy rządowych i kupowania sobie ludzi w stowarzyszeniu – mówił publicznie poseł Konfederacji, narodowiec Robert Winnicki. Zapowiadał, że w przyszłym roku w czasie wyborów władz organizacji odbije stowarzyszenie z rąk Bąkiewicza.

Bąkiewicz, bardzo krzykliwy i wszedobylski, zdominował przekaz nacjonalistów. Jego organizacje ogłaszały, że będą „bronić kościołów” w czasie protestów po wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej zakazującej aborcji. Kaczyńskiemu ta akcja bardzo się podobała.

To ironia losu, że nacjonalistom pieniądze daje prof. Gliński, były działacz Unii Wolności. Gliński oczywiście nie przepada za narodowcami – po prostu dostał rozkaz od Kaczyńskiego. Teraz Bąkiewicz liczy, że Nowogrodzka da mu dobre miejsce na liście Zjednoczonej Prawicy.

O Bąkiewicza różni ludzie w PiS zabiegali. Ciekawy jest mail Michała Dworczyka do Morawieckiego z lip-

ca 2020: „Trochę szkoda, że oddaliśmy te kontakty z narodowcami, bo choć Piotr [Gliński] jest naszym 100 proc. sojusznikiem, to takie kontakty warto mieć bezpośrednio. Od kilku lat budowałem z nimi relacje, a po organizacji Marszu Niepodległości w 2018 roku te relacje naprawdę były już niezłe i mogliśmy to nadal rozwijać”.

To ironia losu, że nacjonalistom pieniądze daje prof. Gliński, były działacz Unii Wolności. Po prostu dostał rozkaz

Takich ludzi jak Bąkiewicz Kaczyńskiemu bardzo potrzeba. Potrzebuje krzykaczy atakujących Unię Europejską. Ważne, aby mieć w PiS takie indywidualia na składzie wobec zagrożenia rozłamem w Zjednoczonej Prawicy. Kaczyński chce się teraz utożyc z Komisją Europejską, aby dostać

pieniądze z unijnego Funduszu Odbudowy. Przygotowuje twardy elektorat na taką wolę – i albo Ziobro się podporządkuje, albo będzie musiał odejść. Ale nie może dopuścić, aby minister sprawiedliwości, ewakuując się z rządu, zabrał najbardziej antyunijny elektorat. Bąkiewicz temu zapobiegnie.

To z kolei wypycha Ziobrę w ramiona Konfederacji. Orędownikiem współpracy Solidarnej Polski i Konfederacji oraz pośrednikiem może być były poseł PiS Przemysław Wipler – lobbysta, który utrzymuje kontakty z wieloma posłami z prawej strony sali sejmowej. Owszem, programowo konfederaci są bardzo podzieleni: są tam i narodowcy, i tzw. wolnościowcy, którym do Ziobry bardzo daleko. Ale jak los ich przycisnie, to nie będą mieli wyjścia.

To już kolejny kryzys w Zjednoczonej Prawicy, w trakcie którego poważnie jest rozważana opcja pozbycia się Ziobry. Poprzednie kończyły się ugodą – i tak może być tym razem. Minister sprawiedliwości jednak wie, że nawet jeśli ulegnie Kaczyńskiemu, to przy układaniu list przed wyborami Kaczyński wytnie jego ludzi albo da im niebiorące miejsca, więc próbuje szachować go aliansem z Konfederacją. To dlatego Ziobro pojawił się na Marszu Niepodległości.

PiS liczył, że Konfederacja ze swoimi spadającymi notowaniami znajdzie się pod progiem. A im bardziej Konfederacja słabnie, tym chętniej wyborcy postawią na PiS. Nie tylko dlatego, że nie chcą wspierać formacji prorosyjskiej, ale także by nie ryzykować zmarnowania głosu. Tymczasem alians z Ziobrą może narodowców wynieść ponad próg. Dodatkowo minister sprawiedliwości uruchomi liczne haki na polityków PiS, które uzbrajał. Nawet koncesjonowany nacjonalista Bąkiewicz nie będzie w stanie zneutralizować tej operacji. Nie wykluczone, że obie strony – Ziobro i Kaczyński – będą się szachować aż do wyborów. ●

Dominika Wielowieyska

Andrzej rysuje



Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cytat dnia



Nie wydaje mi się, żeby mi było specjalnie do twarzy z warkoczami
Greta Thunberg

EMMANUEL MACRON

odpowiada na pytania o politykę klimatyczną Francji na YouTube. Filmik ma już 200 tys. odsłon i zbiera pozytywne reakcje wśród młodych Francuzów

Liczba dnia

23

TYS. ZŁ
nawet tyle może wynosić od nowego roku składka na ZUS dla przedsiębiorców. Kaczyński uważa, że jeżeli kogoś nie stać na opłacenie ZUS, to „nie nadaje się do biznesu”

Spitsbergen - Ostatni przystanek przed Biegunem Północnym

Poczuj pełnię lata arktycznego, kiedy słońce świeci całą dobę, a budzące się ze snu zimowego zwierzęta sprawiają, że cały ląd tętni życiem.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Oslo. Dz. 2 Przelot Oslo – Longyearbyen (Spitsbergen), wejście na statek. Dz. 3 Fiord Krzyża i zatoka Fjortende Julibukta, okolice Regnardneset oraz aktywny lodowiec Lilliehöökbreen. Dz. 4 Wyspa Amsterdam i stacja wielorybiczna w fiordzie Smeerenburg. Dz. 5 Alkefjellet – tętniące życiem tysiące ptaków i arktyczne pustynne krajobrazy w Torrelnesset. Dz. 6 Wzdłuż lodu paku w stronę 80 równoleżnika. Dz. 7 Texas Bar i lodowiec Monaco. Dz. 8 Kongsfjorden (Fiord Króla) i Ny Ålesund – najdalej na świecie wysunięta na północ osada. Dz. 9 Przelot do Oslo. Dz. 10 Wylot do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 14/06 2023 | **21.498,-**



WYKŁAD
ONLINE



**Wielka Bałkańska
Przygoda**

24/11/22 o godz. 17:00

Rejestracja na stronie
www.albatros.pl



Festiwal Pucciniego - La Boheme i Turandot

Torre del Lago to wyjątkowe miejsce dla miłośników opery, a szczególnie dla wielbicieli Giacomo Pucciniego. To właśnie to miejsce Puccini ukończył i napisał kilka swoich największych oper.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Bolonii i przejazd do Toskanii. Dz. 2 Zwiedzanie Montecatini Terme i miasta Lucca – miejsca urodzenia Pucciniego. Wieczorem opera La Boheme. Dz. 3 Relaks w Montecatini Terme lub opcjonalna wycieczka do Florencji lub Pistoii. Wieczór z operą Turandot. Dz. 4 Średniowieczne San Gimignano oraz wizyta w winnicy wraz z obiadem. Dz. 5 Powrót do domu.

5 dni | Wylot z Warszawy 13/07 2023

4.698,-



Japonia z Albatrosem

Poznaj największe atrakcje Japonii od nowoczesnego Tokio do przesiąkniętego tradycją uroczego Kioto, poruszając się najszybszym pociągami świata – Shinkansen.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Tokio. Dz. 2 Przyjazd do Tokio. Świątynia shinto Meiji Jingu i Shibuya. Powitalna kolacja. Dz. 3 Wycieczka do Parku Narodowego Hakone. Dz. 4 Tokio. Smak świeżego sushi, ogród Hamarikyu i Odaiba, Ginza, Tokyo International Forum i Pałac Cesarski. Dz. 5 Pociągami Shinkansen do Kioto. Czas wolny. Dz. 6 Kioto. Ogród Ryoanji, Złoty Pawilon, las bambusowy i świątynia Tenryu-ji, w dzielnicy Arashiyama, świątynia shinto Fushimi Inari-taisha. Dz. 7 Kioto. Zamek Nijo oraz wycieczka do Nary. Dz. 8 Pociągami Shinkansen do Hiroshimy. Kopuła Bomby Atomowej, Park Pokoju, Muzeum Pokoju oraz wyspa świątyni Miyajima. Dz. 9 Pociągami Shinkansen do Kagoshimy. Ogród Sengan-en. Dz. 10 Kagoshima. Wulkan Sakurajima, Muzeum Kamikadze, dzielnica samurajów oraz kąpiel piaszczysta w Ubusaki. Dz. 11 Pociągami Shinkansen do Osaki. Ulica sklepów Dotonbori oraz pożegnalna kolacja. Dz. 12 Wylot z Osaki do Warszawy.

12 dni | Wylot z Warszawy 04/11 2023

18.998,-



Norwegia Płn. - Lofoty i Przylądek Północny

Niezwykła wyprawa do krainy, gdzie słońce nie zachodzi. Zobacz piękne Lofoty, odwiedź Tromsø i podziwiał Nordkap – najdalej na północ wysunięty punkt Europy.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Evenes i przejazd do Svolvær. Dz. 2 Wycieczka na Lofoty, wizyta w wioskach rybackich: Å, Ramberg Strand i Stamsund. Dz. 3 Lofoty – Vesterålen – Andenes – podróż przez magiczne krajobrazy. Możliwość obserwacji wielorybów. Dz. 4 Andenes. Rejs "Droga wielorybów" przez Gryllefjord i dalej do bramy Arktyki - Tromsø. Dz. 5 Przejazd: Tromsø – Alta. Eksplorowanie Tromsø, rejs po fiordzie, arktyczna przyroda Finnmarku i Alty. Dz. 6 Alta – Magerøya - Honningsvåg. Ryty naskalne w Alcie, podróż przez arktyczne krajobrazy w kierunku wyspy Magerøya na Przylądku Północnym. Dz. 7 Przejazd z Honningsvåg do Alty. Trasa wzdłuż fiordów Finnmarku, łagodnego górskiego krajobrazu do lotniska w Alcie. Powrót do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 06/06, 11/07 2023

7.498,-

Warszawa, ul. Marszałkowska 74
Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107
Kod reklamy: GW45

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Listopad to miesiąc, w którym powinno się Polskę smakować. Latem jest to zbyt proste, zimą – zbyt oczywiste

Ziemowit Szczerek

Laczyna się, wiadomo, od cmentarzy. A właściwie jeszcze wcześniej, od Halloween i tych wszystkich placzów, że to nie nasza tradycja, zupełnie tak, jak gdyby Rzymianie nie zrzynali od Greków, Grecy od Semitów, a z kolei z Rzymian – Germanie, Słowianie – od Germanów, i jak gdyby największe cywilizacje na świecie były autarkicznymi, smutnymi skansenami, a nie radosnymi hybrydami wszystkiego ze wszystkim, jak Rzym, Ameryka i tak dalej.

No więc tak, najpierw jest ten płacz skansenitów i wesola zabawa nas, hybryd. Ulice są ciemne, bo nieubłagana zmiana czasu wrzuciła nas w nocny tryb, kiedy światło dnia widzi się głównie w pracy, ale za to pojawia się ten dreszczyk, dziwne, pozaludzkie, tajemnicze, zaświatowe jest dziś najbliższe. Dzieli nas od niego granica cienka jak błona jajka na miękko. I wcale nie trzeba w to wszystko wierzyć, żeby to czuć.

Muzyka, czarno-białe twarze, duchy i upiory, przynajmniej w większych miastach. Ale jeśli się z nich wyjedzie, to jest jeszcze lepiej. Reflektory i neony rozświetlają ciemne, wilgotne niebo i cały świat wygląda jak ze „Stranger Things”. Tegorocznych Wszystkich Świętych zresztą sponsoruje sieć supermarketów Dino podbijająca polską prowincję, za sprawą wielkich, czerwonych, podświetlonych liter swojej nazwy, które opatrują polską wiejską noc w coś w rodzaju światła piekielnego.

Stoję pod jednym z takich nowych Dino przy drodze odbijającej od gminnej w stronę pól i lasu i patrzę, zachwycony. W środku – coś w rodzaju salonu, bo przecież wszyscy tu się znają. I jest jak w każdym innym lokalnym sklepie. Gawędzimy sobie ze sprzedawczynią, sąsiedzi się witają, ściskają sobie dłonie. Zapraszają na wódkę albo na herbatę. Albo coś zjeść wspólnie. Na grilla. Jeden kędzierzawy, starawy, drugi – grubawy, młody, w adidasach i bluzie z kapturem. „Jak tam ojciec, młody?”, „A, no będzie jako, wujek. Wpadłbyś kiedy, wujek”. „A to zajdę kiedy”. Kupują piersi z kurczaka i tanie, choć wcale nie takie złe tiramisu. To znaczy – tanie. Nic teraz nie jest tanie. I o tym też się mówi. Że knajpa we wsi już w pandemii padła i nic nie wskazuje na to, żeby miała się odbić od dna. Przed knajpą, w tym czerwonym świetle, przy wystawionych na ulicę roślinach ogrodowych, które powywraçał jesienny wiatr, przysiadł sobie podpity pan, wracający z Górki na rynek albo z rynku na Górkę. Obok, pięknie oświetlany tym czerwonym, stoi krzyż. Kojarzę go, dawniej widywałem go pod tym krzyżem. Teraz pod atrakcyjnym, jak to się mówi, kapitalizmem. I żeby było inaczej, jeśli komuś to przeszkadza, potrzebne są jakieś pomysły. Ale pomysłów nie ma. Jest tylko rzeźnienie w debacie publicznej, którego już dawno nie chce mi się słuchać, tak samo, jak nie ma za bardzo sensu słuchać Łukaszenki, który też wymyśla niestworzone historie, żeby tylko zarobić na nagłówek w gazecie.

Tak, i cmentarze. Catwalk pomiędzy grobami, ale nie jestem tu po to, żeby oceniać coś, co było na początku, teraz i zawsze. Nie chce mi się. A poza tym – naprawdę czuję się tu dobrze i nie mam ochoty niczego krytykować. Panie w tym roku nie wyglądają jak Andrzej Kmiec i Michał Wołodyjowski zimą, w tych wszystkich futrach, sobolach i czapach z klejnotami. Jest ciepło, poza tym moda się zmieniła. Polska coraz bardziej wygląda jak każda inna środkowoeuropejska prowincja.



Trochę casual, trochę elegancko. Torby na ramionach, coraz rzadziej po prostu reklamówki. W torbach – znicze. Czasem tylko wkłady, bo na grobach stoją te drogie, większe lampy. Za cmentarzem jest las. W lesie są grzyby. W lesie pachnie grzybami. Na cmentarzu – stearyna. Niebo jest jasne i dusze unoszą się nad grobami leciutko jak dobrotna mgiełka. Przynajmniej tak je sobie wyobrażam. Gdy wracam tu wieczorem, jest jeszcze piękniej. Wiecie jak. Wszyscy to wiedzą. To najpiękniejsze polskie święto.

Albo w środkowej Polsce. Łowicz. Piękne miasteczko. Gdy idzie się Zduńską ze Starego Rynku na Nowy, to od razu widać, na czym wzorowano ulice starego, niskiego Żoliborza, tam, gdzie – na przykład – ulica Brodzińskiego. To to, to ten wzór. Środkowopolskie miasteczka, niby Otchłań Środkowopolska, a jednak piękna. Dawniej gdzieś tutaj kończył się lądolód. Tak, dawniej. Bardzo dawno temu. Kiedyś krajobraz wyglądał tu o wiele bardziej dramatycznie. Wyobrażam sobie antarktydzkie lody ponad dachami domów, ponad koronami żółto-brązowych drzew. Teraz tu jest płasko i niektórzy narzekają, że nudno. Ale w jesiennym słońcu grzeją się na Nowym Rynku dzieciaki i jacyś starsi państwo. Wynoszą ciastka z cukierni. I kawę. Siadają na ławkach i obracają twarze ku łaskawemu słońcu Globalnego Ocieplenia, jak ku złemu

Ledwo co wyszli z błota ziemi, tej ziemi, a tu już: proza życia i „weź to ogrzej zimą”

niby, lecz pięknemu i kuszącemu bóstwu. Zresztą, może to nawet nie jest ono.

Wieczorem pojawia się smog. Albo mgła. Trudno odróżnić. Choć w takim, na przykład, Piotrkowie Trybunalskim to raczej mgła, bo na pagórku. Tak piękne, rozłożyste stare miasto w samym środku Otchłani. Ludzie, przyzwyczajeni do trywialności podlódzkich czy podczęstochowskich miejscowości, przyjeżdżają tu i się dziwią. Nie spodziewają się takiego piękna po dość banalnych, przyznajmy, Koniecpolach i Włoszczowych. A teraz chodzą stary-

mi uliczkami rozświetlanymi sztyldami i nawet jeśli to jest tylko sieciówka udająca pelerowskie knajpy czy restauracja w Rynku, to jest cieplej i robi się milej. To już nie jest PRL, gdy wszyscy, okej, mieli równo, ale nie zbyt pod sufitem, bo człowiek szalał od tego trywialnego wzorca „beznadziejny poranek – beznadziejna droga do beznadziejnej pracy przez beznadziejny rozpiędoł i rozwałkę, a potem z powrotem, w beznadzieję”, i tak w kółko. Ci, którzy za tym tęsknią, nie wiedzą, co czynią. Nie żeby z ideą równości było coś nie tak. I kto wie, może i PRL by się wyrobił jakoś, przetworzył w coś przyjemniejszego dla codziennego życia, a nie w wieczną ruinę i niedoróbkę, może kolejne pokolenia, zastępujące to przeorane wojną i przedwojenną biedą, dzielące zapalki na czworo jak Gomulka, coś by w nim zmieniły. Ale PRL nie dowiózł i w miejsce krajobrazu z horroru typu „nie ma nadziei” Piotrków zmienił się w horror typu „za rogiem czeka jakaś tajemnica”.

Ale już na przykład taki Przedbórz. Teraz środek Polski, ale przecież dawniej było to pogranicze. Bywało, bo przecież do pierwszej wojny były to rubieże Kongresówki, a w czasie pierwszej wojny – granice okupowanych terenów kończyły się na lokalnych rzeczkach i stawach. Rynek wspina się w górę, kapitalizm, dość miejscami obskurny, gdzieniegdzie już się

FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL



laszczy i rozświetla tę mgłę. I można jechać dalej i dalej. Szukać duchów. Ja szukałem. Szukałem ujęć. Jakaś dawna restauracja Stary Dwór, która zarosła krzakami i zniszczeniem, i tylko gdzieś w głębi, z dawnych dworkowatych budynków docierają jakieś niejasne światło i odgłosy kojarzące się z ba-lem wampirów. Tak, kapitalizm szybciej generuje formę, choć nie zawsze najpiękniejszą, ale i kołysze życiami ludzi, jak szalony kapitan kołysze łódkami. Pandemia, kryzys, jazda pomiędzy wylupionymi oknami nie tak dawnych biznesów i wielkich planów. Place po gigatargowiskach pod Łodzią, gdzie zaczynał się przecież ten wielki ruch biznesowy na szeroką skalę. Fantazyjne, wariackie i puste już wille wyrolowanych przez dziki liberalizm biznesmenów jak stare, opuszczone zamczyska. Ledwo co wyszli z błota ziemi, tej ziemi, ledwie zrealizowali swoje najdziwsze sny, a tu już: proza życia i „weź to ogrzej zimą”. I te wielkie hangary, które wladowały się w ten kraj w ich miejsce. Tych, którym się udało. Oświetlone. Wielkie cielska magazynów międzynarodowych korporacji i bardziej szczęśliwych polskich rekinów. Wielkie hangary i ładne neony rozświetlające polski listopad. Jak to Dino na przykład. I płaskość w środku Polski, którą wyprasował łądolód i po której galopowali powstańcy, jeździły czołgi albo telepali się na koniach, klnąc, na czym świat stoi, zbrojni w płytówkach. Nasz

koniec świata i koniec światów. Przez który mogę jeździć wiecznie i wiecznie polecać go wszystkim świętym, których i tak nade mną nie ma. Więc mogę sobie ich dowolnie wyobrażać. I wyobrażam sobie. I nieźle się bawię.

Nigdy Polska nie smakuje tak jak w listopadzie. Listopad to miesiąc, w którym powinno się Polskę smakować. Latem jest to zbyt proste, zimą – zbyt oczywiste. Ale teraz, gdy ciemność rysuje cienie i gdy XXI wiek włącza światła i robi do tego wszystkie aranżacje, gdy stare diabły w pustych wierzbach grają na piszczalkach, a wiatr wieje i na twarzy osiada lekka mgielka zimnej mżawki – to najpiękniejszy czas, w którym delektować się można pięknem ziemi. Tej ziemi. ●

Nowa książka Szczepka „Wymyślone miasto Lwów” już w księgarniach i w formie ebooka na Publio.pl



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Mikołaj Zabołocki*

Gdzieś pod Magadanem...

Gdzieś pod Magadanem, w dali śnieżnej,
Brnęło przez zamarzłej mgły opary,
Pośród niebezpieczeństw, pośród nieszczęść,
Za płozami sań – dwóch więźniów starych.

Od soldackich wrzasków i więzaneł,
Od kryminalistów dzikiej hordy
Tu wybawić mógł tylko lazaret
Lub po chleb wyprawa bez eskorty.

Więc w fufajkach swych, podszytych wiatrem,
Szli tak, tęskniąc do dalekich rodzin.
Każdy z nich wspominał miłą chatę
I najbliższych, których osierocił.

Wszystko w nich się do cna wypaliło
W tej odległej, nieskończonej głuszy
I zmęczenie plecy im zgarbiło,
I zapadło w głąb steranej duszy...

Dziwne gwiazd misterium trwało właśnie
Na teatrze polarnego nieba,
Ale blask świecący coraz jaśniej
Ani iskry ciepła ludziom nie dał.

Wicher poświstywał, dął i toczył
Między pnie kurzawę płatków białych,
Starcy, nie spojrzawszy sobie w oczy,
Siedli na tych pniach złodowaciących.

Stanął koń i praca się skończyła,
Nadszedł kres nareszcie dniom tułaczym...
Słodka senność starców otuliła
I w daleki kraj powiodła z płaczem.

Już się w ręce straży nie dostaną,
Nigdy nie dopadną ich pogonie,
Tylko gwiazdozbiorów Magadanu
Światłość nad głowami ich zapłonie.

1956

preł. Witold Dąbrowski i Wiktor Woroszyński

*Mikołaj Zabołocki – 1903-58, poeta rosyjski. W latach 1938-46 wię-
zien łągrów. Większość jego utworów opublikowana została pośmiertnie.
Wiersz za: Zabołocki, „Poezje”, wybrał i słowem wstępnym opatrzył Ziemo-
wit Feddecki, PIW, Warszawa 1976

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów nie-
zamówionych oraz zastrzega sobie
prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony
danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBOR-
CZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj
Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra
Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Macio-
rowski (szef), Marek Markowski
(zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin
Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek,
Tomasz Lebiada, Krzysztof Pietrasik
WYDAWCA: Agora SA,
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych
materiałów publicystycznych
bez zgody wydawcy jest zabronione.



Adam Michnik poleca

CO PO
WOJNIE

**Obawiam się,
że po zawieszeniu broni
Europa będzie próbowała
wrócić w koleiny
przedwojennego życia.**

Julia Mendel*

Kiedy byłam dzieckiem, babcia opowiadała mi o okropnościach wojny i tym, co jest z nią związane: biedzie, głodzie i ponurych stronach ludzkiej natury. Nigdy bym nie przypuszczała, że będę świadkiem tego wszystkiego. Wszystkie duchy przerażającej przeszłości wróciły i zdawały się siłą wciągać mnie w świat wspomnień babci.

Za każdym razem, gdy wszyscy są przerażeni okrucieństwami armii rosyjskiej, wydaje mi się, że nie może zdarzyć się już nic gorszego. A potem wyzwalamy nasze ziemie i znajdujemy kolejne masowe groby, sale tortur, ludzi zgwałconych, zakatowanych na śmierć, zniszczone domy i życie Ukraińców. I po raz kolejny przechodzimy przez krąg piekła.

Dyktator Putin przywrócił do rzeczywistości wszystkie okropności XX wieku: wielką i brutalną wojnę, z terrorem wobec ludności cywilnej jako narzędziem walki. Skazał miliony ludzi na całym świecie na głód, a innych na zimę bez ciepła. Powtarza ludobójcze praktyki XX stulecia. To jest jak opowieści mojej babci, jak hollywoodzkie horrory i filmy dokumentalne, jak muzea II wojny światowej i Holocaustu, które przypominają nam na całym świecie: nigdy więcej.

My, Ukraińcy, jesteśmy już bardzo zmęczeni fizycznie. Ale moralnie jesteśmy mocni i już widzimy zwycięstwa naszej armii. Miliony Ukraińców każdego dnia poświęcają się, by nieść i budować pokój.

Wierzę w nasze zwycięstwo bez względu na wszystko.

Ale gdy wszyscy zastanawiamy się, jak będzie wyglądało nasze zwycięstwo, kiedy już zatrzymamy Putina, przyszłość uchyla kurtynę.

„Nasze zwycięstwo będzie okazją do złapania oddechu i przygotowania się do następnej wojny” – mówił we wrześniu Walerij Załużny, dowódca ukraińskiej armii, w wywiadzie dla magazynu „Time”.

Ukraina rozumie, że żadne straty nie skłonią Putina, by się zatrzymać. W 2014 r. bez walki odebrał Ukrainie Krym i rozpoczął działania wojenne w Donbasie. W ciągu ośmiu lat walk zginęło tam 14 tys. ludzi, a miliony Ukraińców zostało przesiedlonych. Podczas pełnowymiarowej ofensywy w 2022 r. miliony po raz drugi stały się uchodźcami.

**Po zwycięstwie będziemy
mieli bardzo mało czasu,
zanim Putin
odbuduje siły.
Będziemy musieli
odrobić zadanie domowe
i przystąpić do Unii
i NATO**

W ciągu tych ośmiu lat Ukraina miała dwóch prezydentów, którzy podejmowali liczne próby ustanowienia pokoju i odzyskania terytorium. Ale w przypadku dzikiej Rosji cywilizowane podejście nigdy nie działało: umysłem Rosji nie ogarniesz. Putin zaatakował ponownie – tym razem całą Ukrainę. Jeśli pozwolimy mu znowu lizać rany i nie zademonstrujemy siły naszego kraju, pójdzie do przodu z jeszcze większym impetem. Myślę, że Polacy to rozumieją i nie chcą mieć nowej granicy z Rosją.

Dlatego w przypadku zwycięstwa, zwrotu naszych terytoriów i podpisania porozumienia pokojowego Ukraina nie będzie mogła się zatrzymać. Będziemy musieli zebrać wszystkie nasze siły i pracować bez wytchnienia, aby odrobić zadanie domowe i przystąpić do UE i NATO. Będziemy mieli bardzo mało czasu, zanim Putin odbuduje siły.

I tu pojawia się lęk: co, jeśli nam się nie uda? Ostatnie zwycięstwa Ukrainy przynoszą poczucie ulgi niektórym naszym zachodnim partnerom. A może, kiedy wyrzucimy Rosjan z naszej ziemi, europejska biurokracja wróci do swojej rutyny sprzed wojny? Zatem czas będzie naszym największym skarbem!

Mogą się jednak pojawić także inne przeszkody na naszej drodze do wolnego świata. Polityczne spory w Ukrainie, które utrudniają walkę z korupcją, mogą pokazać, na ile się różnimy od silnej instytucjonalnie Unii.

Ukraina poczyniła ogromne postępy w walce z korupcją. Wraz z zachodnimi partnerami stworzyliśmy infrastrukturę antykorupcyjną i każdego dnia widzimy efekty jej pracy nad wykorzenieniem korupcji w kręgach politycznych. To jednak bardzo trudna i długa walka. A Unia chce wyników już teraz.

Według MFW Ukraina przed wojną powinna była mieć co roku 6-procentowy wzrost PKB, by po 20 latach osiągnąć poziom dzisiejszej Polski. Teraz już nie wiem, czy doczekam się dogonienia gospodarki polskiej przez ukraińską.

Tak jak wielu rodaków nie boję się już dźwięku syren, choć nie można się do niego przyzwyczaić; nie boję się też rakiet, bo już pokazały swoje krwawe skutki. Przygotowujemy się na wypadek użycia broni jądrowej, ale pokornie stoimy w kolejce do domu na granicy z Polską czy Mołdawią.

Obawiam się, że gdy nastąpi zawieszenie broni, nie będzie to oznaczało pokoju, skoro mamy za sąsiada agre-

sywnego dyktatora. Obawiam się, że liczne przeszkody opóźnią nasze wejście do UE i NATO, a my nie będziemy mieli wystarczająco dużo czasu, aby skonsolidować się po tak ciężkiej walce. Obawiam się też, że po zawieszeniu broni Europa będzie próbowała wrócić w koleiny przedwojennego życia, zapominając, że to życie już nigdy nie będzie takie samo i że po wojnie, gdy Ukraina pokona Rosję, walka o nasze życie będzie nadal trwała.

Gdy kończę ten tekst, za oknem w Kijowie słychać szósty wybuch. Dziś Putin mści się za zbombardowanie mostu Krymskiego. Rakiety uderzyły w centrum stolicy, w pobliżu budynku mojej uczelni.

Z ukrycia pisze prezydent Zelenski: „Już 229. dzień próbują nas zniszczyć i zetrzeć z powierzchni ziemi... Bardzo was proszę: nie wychodźcie ze swoich kryjówek. Zadbajcie o siebie i swoich bliskich. Trzymajmy się, a będziemy silni”.

przet. arp



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Julia Mendel**

• dziennikarka ukraińska, była rzeczniczka prezydenta Zełenskiego

Czy obecna ukraińska elita jest w stanie rządzić krajem w sposób demokratyczny?

Czy rząd bierze pod uwagę opozycję?

Myrośław Marynowycz*

Rozmawiamy już teraz o tym, jaka będzie Ukraina po wojnie. I tu czuję pewien niepokój, zgodnie ze znanym powiedzeniem, że nie należy dzielić skóry na niedźwiedziu. To jeszcze nie koniec.

Nie jestem ani politologiem, ani ekonomistą, dlatego chcę analizować sprawę Ukrainy z perspektywy wartości duchowych. Ważne jest uwzględnienie specyfiki ukraińskiej tożsamości.

Nasza tożsamość jest mozaikowa, a nie jednorodna. Putin przyczynił się do niesamowitej konsolidacji Ukraińców, ale nie oznacza ona homogenizacji. Mozaika pozostanie. Łatwo więc założyć, że po wojnie znów będziemy się spierać o sprawy, które nas dzielą. Ważne, aby nie przerodziło się to we wrogość.

Nasza tradycyjna choroba polega na tym, że ludzie stają się wrogami w wyniku najdrobniejszego sporu. Potrzebujemy więc „sesji psychoterapeutycznych”, aby uświadomić społeczeństwu tę chorobę, którą trauma wojenna może tylko pogłębić. Musimy nauczyć się odróżniać pojęcia „przeciwnik” i „wróg”.

Ukraińska tożsamość jest także sieciowa. Społeczeństwo składa się z wielu małych niestabilnych grup, którymi trudno jest zarządzać centralnie. Jednak gdy tylko pojawia się jeden wielki cel – pójść na Majdan czy na wojnę – dzieje się cud: wszystkie te rozproszone komórki natychmiast się konsolidują i uzyskują jeden wektor działania. Dzieje się tak nie z woli jednego autokraty, ale z powodu wewnętrznego rezonansu w społeczeństwie.

Po wojnie ten rezonans będzie zniknął, choć politycy będą pamiętać o korzyściach z takiej konsolidacji. Dlatego może pojawić się pokusa zastąpie-

nia jej autorytarną „konsolidacją pionową”.

Nie chcę podejrzewać prezydenta Zelenskiego o autorytarne zapędy. Nie mówię o złej woli polityków, ale o sprawach obiektywnych. Czy obecna elita jest w stanie rządzić krajem w sposób demokratyczny? Czy rząd bierze pod uwagę opozycję i włącza ją w poszukiwanie optymalnego rozwoju kraju? Czy rząd bierze pod uwagę znaczenie instytucji demokratycznych i społeczeństwa obywatelskiego?

Elity polityczne nie mają zbyt wielu doświadczeń w tej sferze, dlatego członkostwo w Unii Europejskiej jest dla nas ważne jako szansa przyswojenia sobie procedur demokratycznych, ale także jako gwarancja, że nie pójdziemy np. drogą Węgier Viktora Orbána.

Istnieje duchowe zagrożenie płynące z tej wojny – łatwo dać się ponieść nienawiści. Pewien francuski kapłan powiedział niedawno: „Nienawiści nie da się uniknąć. To uczucie daje siłę do walki”.

Nasza tradycyjna choroba polega na tym, że ludzie stają się wrogami w wyniku najdrobniejszego sporu.

Musimy nauczyć się odróżniać pojęcia „przeciwnik” i „wróg”

Rzeczywiście, nie ośmieliłbym się czynić wyrzutów ludziom, którzy doświadczyli straszliwej traumy. Jednak chrześcijaństwo uważa nienawiść za uczucie należące do świata ciemności, a nie światła. Szeptycki [Andrzej, grekokatolicki metropolita lwowski w latach 1900–44] nie usprawiedliwiał nienawiści nawet w czasie wojny, a poznał obie wojny światowe. Istnieje bowiem niebezpieczeństwo, że przystąpiwszy do walki ze światem ciemności, możesz nie zauważyć, jak się do niego upodabniasz.

Czy będziemy wtedy kimś lepszym w oczach Boga? Stajemy więc przed dylematem: jak nie upodobnić się do naszych prześladowców.

I ostatnia kwestia: jaki jest przekaz Ukrainy dla świata? Nasz historyk Jarosław Hrycak mówi: „Ukraina to Palestyna XXI wieku. Wydaje się, że to lokalny konflikt, ale ma on decydujący wpływ na politykę światową”.

Na razie główną ideą, jaką Ukraina chce przekazać światu, jest chęć przekonania go, że putinowska Rosja jest egzystencjalnym złem. To prawda, ta misja jest ważna, ponieważ Europa wciąż nie może uwierzyć, że ta wojna podważyła wiele wcześniejszych wyobrażeń. Ale takie przekonanie nie wystarczy, by naprawdę zmienić światową politykę. Potrzebujemy idei pozytywnej.

Już sama wzmianka Hrycaka o Palestynie sygnalizuje znaczenie kwestii wartości. Reformy na Ukrainie będą udane, jeśli pójdą w parze z przemianą społeczeństwa w sferze wartości właśnie, a trudno powiedzieć, jaka jest ich hierarchia. Istnieje odwieczna współzależność: nowe idee powodują zmiany w systemie wartości, a nowe wartości szukają dla siebie ram ideologicznych.

Uznanie znaczenia kwestii wartości jest ważne już teraz. Bo jeśli np. reforma prawa powiedzie się w sferze niezbędnych procedur, natychmiast pojawi się pytanie, jaka będzie postawa etyczna niezależnego prokuratora czy sędziego. Przecież mieliśmy wielu skorumpowanych sędziów czy prokuratorów. Jak to będzie, kiedy staną się „całkowicie niezależni”, czyli być może znajdą się poza kontrolą? Dlatego przemiana społeczeństwa w sferze wartości jest warunkiem naszego sukcesu. I może dać pewien impuls do zmiany systemu wartości w całej Europie.

Pojawia się pytanie, jaka będzie Ukraina po wojnie: konserwatywna czy liberalna?

Biorąc pod uwagę naszą mozaikową tożsamość, będzie i taka, i taka. Co więcej, w pewnych sytuacjach jako społeczeństwo będziemy bardziej skłonni do reakcji konserwatywnych, w innych – do liberalnych.

Nie sposób przewidzieć, kiedy zdarzy się to pierwsze, kiedy drugie. Wiele będzie zależało od postawy młodych ludzi, bo to oni będą decydować o ob-

liczu Ukrainy. Mam wielką nadzieję, że młodzi ludzie, którzy będą pamiętać niesamowitą konsolidację w czasie wojny, nauczą całą Ukrainę kompetentnego zarządzania naszymi różnicami.

I drugie pytanie: czy Ukraina jest gotowa na kompromis z Rosją?

Odpowiedź jest jednoznaczna: nie. Ale nie dlatego, że jesteśmy zaślepieni obecnymi sukcesami i gardzimy kompromisami. Nie, Ukraina przez 30 lat niepodległości dążyła do kompromisu. I jak to się skończyło?

W Gruzji poszliśmy na kompromis z Rosją – i Gruzja straciła część terytorium. W 2014 r. Ukraina straciła Krym i część Donbasu. Za każdym razem ustępstwa tylko zachęcały Rosję do dalszej agresji, bo w rosyjskiej kulturze politycznej kompromis oznacza słabość.

Dlatego Ukraina nie chce nowego kompromisu czy „rozejmu”, bo to nie będzie żaden pokój. Rosja będzie „lizać rany”, zbierać nowe siły i wymyślać nowe preteksty do wojny. Bo kompromisy nie zmieniają najważniejszego: imperialnych zamiarów Putina i elit kremlowskich. Poprzez „wielkość i siłę” Rosja rozumie imperium, a Imperium Rosyjskie bez Ukrainy nie jest możliwe. ●

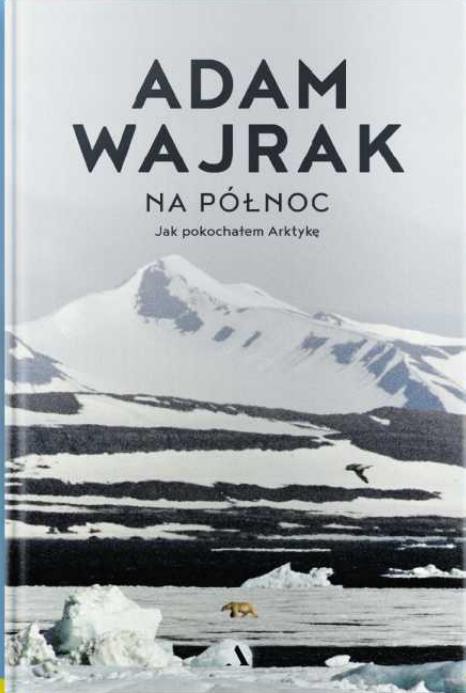


FOT. SERGIEJ PIETROW/CC BY-SA 3.0/WIKIMEDIA

*Myrośław Marynowycz

• ur. w 1949 r., filozof i publicysta, prorektor Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie. W ZSRR dysydent, więzień polityczny.

Wystąpienie podczas Igrzysk Wolności w Łodzi



ADAM WAJRAK
NA PÓŁNOC
Jak pokochałem Arktykę



WIELKI POWRÓT ADAMA WAJRAKA!

NARESZCIE JEST NOWA DŁUGO WYCZEKIWANA KSIĄŻKA ULUBIONEGO PANA OD PRZYRODY POLAKÓW.

„Na Północ. Jak pokochałem Arktykę” otwiera arktyczną trylogię Adama Wajraka. To podróż w czasie do miejsc i istot ukochanej Arktyki, chłopackie przygody i kawał wiedzy przyrodniczej. Książkę ilustrują zdjęcia autora.

JUŻ W SPRZEDAŻY!

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



Mundial 2022:
6,5 tys. ofiar,
chłosta w kodeksie karnym,
siedem lat za seks pozamałżeński lub homoseksualny

CZY PIWO I NACHOSY STANĄ NAM W GARDLE

To będzie orgia groteski i surrealizmu – w dodatku unurzana w ludzkiej krzywdzie i łapówkach. Jedyna taka impreza w historii wielkiego sportu.

Już mecz gospodarzy z Ekwadorem, czyli mundialowa inauguracja, zostanie rozegrany w absurdalnej scenerii. Naturalna kolej rzeczy wygląda tak: ludzkie skupisko rozrasta się i powstaje miasto, rozmiłowani w piłce nożnej mieszkańcy budują stadion, na zaawansowanym etapie rozwoju postanawiają zorganizować mistrzostwa.

Katarczycy postąpili odwrotnie. Najpierw postanowili ubiegać się o mundial, choć nigdy nie bzikowali na punkcie futbolu. Następnie zaczęli wznosić olbrzymi stadion z trybunami mieszczącymi 80 tys. widzów. Równocześnie dobudowywali do giganta nowoczesną metropolię. Nazwali ją Lusajl (od rosnącego w okolicy kwiatu), zaprojektowali jak stugwiazdkowy hotel na świeżym powietrzu, docelowo przeznaczony dla niespełna pół miliona mieszkańców.

Gdy FIFA przyznawała im prawo organizacji najbardziej prestiżowej obok igrzysk olimpijskich globalnej imprezy w sporcie, brakowało im nie tylko głównej areny – nie istniało nawet miasto, w którym miała stanąć.

Katar, najmniejszy gospodarz w dziejach mundialu, w ogóle nie miał niczego. To państwo maciupieńkie, piaskownica – w sporej mierze kamienista – o rozmiarach województwa świętokrzyskiego. Najbardziej oddalone od siebie turniejowe stadiony dzieli zaledwie 55 km. A ponieważ wszystkie obiekty stały w stołecznej Dausze i przyległościach, to kibice, zazwyczaj zmuszeni do podróżowania w trakcie mundialu samolotami, będą się przemieszczać między nimi albo pieszo, albo komunikacją miejską.

Gdybyśmy chcieli przenieść te mistrzostwa w polskie realia, musielibyśmy upchnąć wszystkie stadiony na terytorium Warszawy – poza jednym, który odsunęlibyśmy do Piaseczna lub Podkowie Leśnej. Byłby odpowiednikiem cacka w Lusajl – z którego wkrótce ostanie się tylko połowa, resztę gospodarze zdemontują i przeobrażą w centrum handlowo-rozrywkowe. Rozbiorą zresztą większość turniejowych obiektów, bo ich nie potrzebują, kilkadziesiąt tysięcy molochy buduje się tylko w najludniejszych krajach. W Katarze nie byłoby komu zachodzić na trybuny, skoro mieszka tam zaledwie 300 tys. wiodących dostatnie życie obywateli – pozostałe 2,3 mln stanowi zagraniczna siła robocza, głównie przybyłe z Azji Południowo-Wschodniej, których sprowadza się, by służyli kaście panów.

Są niewolnikami, ofiarami bezwzględnego systemu kafala – przywiązującego imigranta do jednego, zwanego „sponsorem”, pracodawcy, który konfiskuje poddane mu paszport i przejmującą władzę. To ich los wywoływał największe kontrowersje, odkąd FIFA podjęła w 2010 roku szokującą decyzję o przyznaniu mundialu krajowi pozbawionemu jakichkolwiek futbolowych tradycji. Od tamtej pory wskutek fatalnych warunków pracy – jak wykazało śledztwo „Guardiana” – miało zginąć przynajmniej 6,5 tys. imigrantów. Katarczycy mówią o 37 ofiarach, a Human Rights Watch uważa bilans sporządzony przez reporterów za zaniżony, ponieważ obejmuje wyłącznie ofiary pochodzące z Bangladeszu, Indii, Nepalu, Pakistanu oraz ze Sri Lanki.

Gospodarze mistrzostw zaprzeczają. Przyznają, że zmarło trzech robotników zatrudnionych przy inwestycjach związanych z imprezą, i tłumaczą to nieszczęśliwymi wypadkami. Przypominają też, że po niedawnych naciskach zreformowali prawo pracy, zmuszając obywateli do cywilizowanego traktowania imigrantów, w co powątpiewają organizacje praw człowieka, które utrzymują, że praktyka dalece odbiega od teorii, że zmiana nawyków wymaga czasu. O ile nastąpi – nie wiemy, jak rodzina królewska zamierza się zachowywać po mundialu, gdy świat przestanie patrzeć. Na razie Tamim ibn Hamad Al-Thani, emir panujący od 2013 roku, wścieka się, że jego kraj stał się obiektem międzynarodowej kampanii nienawiści.

Wstrząsające doniesienia dotyczą przede wszystkim codziennej gehenny przyjezdnych. Czasami poznajemy ustalenia działaczy Amnesty International, którym ochroniarze pilnujący stadionów, ministerstw i biurowców – oni również przylecieli z drugiego krańca Azji lub Afryki – opowiedzieli o pracy przez 12 godzin siedem dni w tygodniu, miesiącami lub latami bez urlopu (rekordzista z Bangladeszu nie dostał wolnego przez trzy lata), o płaceniu kar za legalnie wzięte wakacje, o obcinaniu pensji za korzystanie z toalety, o zaległościach w wypłatach rozciągniętych na lata, o mieszkaniu w brudnych norach z piętrowymi pryzcami. Czasami agencja Reuters rozmawia z eksmitowanymi robotnikami, którzy znienacka usłyszeli, że mają dwie godziny na opuszczenie lokali, niekiedy zamieszkiwanych od lat. Nie wszyscy zdążyli się spakować, wyrzucała ich policja. I niewykluczone, że część przybyłych na mundial kibiców lub dziennikarzy nie będzie miała pojęcia, że śpi u kogoś, kto spędza noc na ulicy. Bazy hotelowej dramatycznie Katarczykom brakuje, przygotowali dla gości także łóżka na statkach wycieczkowych i ogromne pola z kontenerami obstawionymi wspólnymi



łazienkami, za które żądają minimum 200 euro za noc. Spodziewają się nawet 1,5 mln osób – biorąc pod uwagę proporcje, to tak jakby do Polski naraz zjechało 22 mln turystów.

Tamim ibn Hamad Al-Thani i jego świta odstręczają jednak światową – ściślej: zachodnią – opinię publiczną nie tylko z powodu dręczenia imigrantów. Sportowy show urzęda však dziedziczna monarchia absolutna, homofobiczna i antysemicka, oskarżana o finansowanie terroryzmu, cenzurująca media i osadzająca w więzieniu krytycznych dziennikarzy, w kodeksie karnym uwzględniająca m.in. chłostę.

Za uprawianie seksu pozamałżeńskiego lub z osobą tej samej płci grozi tam siedem lat pozbawienia wolności i uprzednie pobicie przez policję, w przestrzeni publicznej gejów i lesbijek nie wolno nawet trzymać się za ręce, zmusza się ich do terapii konwersyjnej, nie ma partii politycznych, prawo nakazuje okazywanie szacunku emirowi. A narażać mu się łatwo. Gdy dwa tygodnie temu australijski aktywista Peter Tatchell przed Muzeum Narodowym w Dausze wyjął mały transparent wspierający osoby LGBT, został natychmiast aresztowany i deportowany – podobnie jak w 2015 roku czterech reporterzy BBC, którzy przylecieli na rządowe zaproszenie, ale nie zrozumieli reguł gry i próbowali rzetelnie badać stan lokalnych spraw. Akredytowanym na turniej korespondentom też zakazano filmować i fotografować wiele obiektów, m.in. miejsc zamieszkania robotników. I zapowiedziano restrykcyjne kontrole. Przy aplikowaniu o pełniącą funkcję wizy karty Hayya prosiło o podanie sprzętu, jaki dziennikarz zamierza wwieźć na mistrzostwa.

Kontrowersji mundial wywołuje zatręśnienie, argumentów za wyartykułowano niewiele. Populary-

RAFAŁ
STEC





zacja piłki w świecie arabskim? Na tym lista się kończy. Katarczycy sportu zasadniczo nie uprawiają, borykają się natomiast z plagą otyłości. Ich reprezentacja nigdy nie awansowała na mistrzostwa świata (nawet wytrawny kibic nie wymieni nazwiska żadnego pochodzącego stamtąd piłkarza), a jeśli osiągał sukcesy w innych dyscyplinach, to dzięki wysiłkowi – a jakże – zawodników naturalizowanych.

Gdy na rozgrywanym u nich w 2015 roku mundialu piłkarzy ręcznych, na który zazwyczaj się nie kwalifikowali lub zajmowali odległe miejsca, zdobyli sensacyjne srebro, gole rzucali Czarnogórcy, Bośniacy, Francuz, Kubańczyk, Hiszpan, Egipcjanin i Tunezyjczyk, a ekipą najemników rządził wybitny trener z Hiszpanii. Nikt nie dostał katarskiego obywatelstwa – wiąże się ze zbyt dużymi przywilejami, państwo sponsoruje choćby edukację na renomowanych zagranicznych uniwersytetach – lecz specjalne sportowe pseudopaszporty. Gospodarze wynajęli nawet 60 hiszpańskich kibiców, którym za dopinguwanie gospodarze opłacili przelot i pobyt. Dla nas to niepojęte, ale tak bawią się ludzie, którzy przywykli do tego, że dla ich radości, wygody i przyjemności z życia pocą się inni.

Jeszcze w latach 70. mieszkali w szałasach, żyjąc z hodowli wielbłądów i koni, drobnego handlu, eksploatacji morza. Biedowali w tak nieodległej przeszłości, że dzisiejsi bonzowie powinni doskonale tamte czasy pamiętać – ojciec Nassera Al-Khelaifi, prezesa Paris Saint-Germain i być może najpotężniejszej figury we współczesnym futbolu, utrzymywał rodzinę jako polawiacz pereł.

W inny wymiar wyniosło ich błękitne i czarne złoto, czyli gaz ziemny oraz ropa. Pod wzglę-

• **Gastarbeiter odpoczywa przed poranną zmianą pod stadionem Chalifa w stolicy Kataru**

FOT. NARIMAN EL-MOFTY/AP

dem PKB na głowę obywatela zajmują czwarte miejsce na planecie. Sami szacują, że na mundial wydali w sumie 220 mld dolarów – i nawet jeśli przesadzają, bo uwzględniają także koszty infrastruktury pozasportowej, to podają sumę ponaddwukrotnie większą niż cały budżet Polski na bieżący rok. Stale przybywa dowodów, że z kupowania wszystkiego i wszystkich uczynili absolutny fundament swoich strategii. Werbowali nawet kibiców z kilkudziesięciu krajów, którym obiecali opłacenie pobytu w zamian za podpisanie kontraktu zobowiązującego do wyrażania entuzjazmu turniejem i w ogóle przedstawiania ich w korzystnym świetle w mediach społecznościowych.

Prawdopodobnie nie żalowali też na łapówki. Aż 17 z 22 członków Komitetu Wykonawczego FIFA z czasów przyznawania organizacji tegorocznego mundialu skazano już lub oskarżono o korupcję i nie ulega wątpliwości, że Katarczycy wygrali głosowanie dzięki szwindlom, podobnie zresztą jak przyjmująca piłkarzy przed czterema laty Rosja. Przekupywanie nieodpowiadających przed nikim działaczy międzynarodowych federacji stało się już standardem, niemal obyczajem. Wysłannicy emira przeliczyli jednak wszystkich, uderzając z wielu kierunków – nielegalnie, półlegalnie i całkowicie legalnie. A potem, jak wynika ze śledztwa Associated Press i szwajcarskiej SRF, wydawali setki milionów na szpiegowanie oraz hakowanie krytyków mundialu.

Inwazję na futbol zainicjowali w 2011 roku, kiedy przejęli Paris Saint-Germain – w negocjacjach uczestniczył ówczesny francuski prezydent Nicolas Sarkozy, strony zawiązały strategiczne partnerstwo obejmujące inwestycje warte kilkanaście miliardów euro, Katarczycy wykupili także ekskluzywne gale-

rie handlowe na Polach Elizejskich, hotele, kabaret Lido i całą masę innych nieruchomości. Prezesem paryskiego klubu, który natychmiast jął bić rekordy kwot kontraktów z supergwiazdami, został Nasser El-Khelaifi, czyli wicepremier katarskiego rządu, a dzisiaj już również wiceszef UEFA.

Jego ludzie zaatakowali z wielu stron. Nawet FC Barcelona, silnie romantyzująca mit hołdującego wyższym wartościom „więcej niż klubu”, wpuściła na swoje święte koszulki logo Qatar Foundation – akurat w szczycie świetności, gdy jej styl gry obwoływano najdoskonalszym futbolem, jaki kiedykolwiek wymyślono. Monachijski Bayern, słusznie uchodzący za firmę nadzwyczajnie jak na futbolowe standardy progresywną (nieprzypadkowo stadion Allianz Arena regularnie rozbłyśkuje na tęczowo), kolaboruje od ponad dekady. W 2011 roku zaczął wysyłać drużynę na zgrupowania do Kataru w trakcie zimowej przerwy w rozgrywkach, w 2015 roku podpisał umowę na reklamowanie na rękawkach koszulek piłkarzy lotniska w Dausze, od 2018 roku łączy go kontrakt z liniami Qatar Airways. Kibice protestują. Wywieszają transparenty z Karlem-Heinzem Rummenigge ciągnącym wóz, na którym siedzi arabski poganiacz wielbłądów, albo z pralką, wpadającymi do niej banknotami oraz trzymającymi koszulki z napisem „Katar” Oliverem Kahnem i Herbertem Hainerem, wszystko poplamione krwią, pod napisem: „Za pieniądze wyczyścimy wszystko”.

Im bliżej mundialu, tym głośniejsze protesty. W ubiegłym roku norweskie środowisko piłkarskie rozżarzyła debata „bojkotować czy nie” – ostatecznie bezprzedmiotowa, ich reprezentacja zawałiła eliminacje. W ostatnich tygodniach kapitanowie ko-

lejných družyn narodowych (w chwili od dawania tekstu było ich osiem) deklarowali, że będą zakładali na mecze tęczową opaskę i propagowali wspierającą nieheteronormatywne związki kampanię „One Love”. Obiecywali zaangażowanie, zanim niemiecka ZDF nie wyemitowała reportażu, w którym mundialowy ambasador Khalid Salman uznał, że homoseksualizm jest skutkiem uszkodzenia mózgu.

Gospodarze deklarują, że nieheteronormatywni kibice zagraniczni mogą się czuć całkowicie bezpieczni, nikt nie zamierza ich aresztować – o ile będą zachowywać się powściągliwie i wyglądać skromnie. Trzeba jednak polegać jedynie na obietnicach. Nie wydali żadnego oficjalnego dokumentu, a wraz ze zbliżaniem się inauguracji coraz śmielej rezygnują z roli potulnych pententów i coraz chętniej ogłaszają, że oczekują od przyjezdnych szacunku dla lokalnej kultury i zatracenia się w radości ze święta futbolu.

Prawdopodobnie się przeliczą. Trener Louis van Gaal zapowiedział, że wraz z holenderskimi piłkarzami zamierza zapraszać do ośrodka treningowego robotników zaangażowanych w budowę stadionów, by choć częściowo wynagrodzić im doznane krzywdy.

Wiele reprezentacji wzywa światowe władze futbolowe do wymuszenia na Katarze wypłacenia rodzinom zmarłych imigrantów odszkodowań oraz stworzenia funduszu, który wypłacałby rekompensaty w przyszłości. Duńczycy uszyli sobie treningowe koszulki z hasłem „Prawa człowieka dla każdego”. Zabroniła im je jednak zakładać zaniepokojona FIFA, która wcześniej rozesłała do federacji państw uczestniczących w mundialu list z prośbą, by skupić się na sporcie. Zrozumienia działacze nie znaleźli, czeka nas najbardziej rozpolitykowany mundial w historii. Dlatego pozarządowe organizacje walczące o prawa człowieka wcale nie wzywają do bojkotu – uważają, że turniej może się przyczynić do postępu, choćby nieznacznie.

Ognistych awantur o miejsce rozgrywania wielkich sportowych igrzysk przybywa od dekady z okładem. Zaczęło się od olimpiady w Pekinie w 2008 roku, przy okazji której nie mówiliśmy jeszcze o zabijaniu Ujgurów w prowincji Xinjiang czy tłumieniu wolności w Hongkongu – tematach głośnych podczas zimowych igrzysk w 2022 roku – lecz o prześladowaniach w Tybecie, masowym wtrącaniu do więzień opozycjonistów i wysiedleniach. Przymusowe eksmisje pozostają skutkiem

ubocznym prawie każdej imprezy należącej do kategorii, o której mówimy, ale Komunistyczna Partia Chin pobiła rekordy, zrównując z ziemią domy przynajmniej 1,2 mln mieszkańców stolicy. A jednak metropolia została uhonorowana bezprecedensowo, jako pierwsza przyjęła sportowców i latem, i zimą.

Od tamtej pory prawie każde igrzyska i piłkarskie mistrzostwa wyzwalają gwałtowne protesty. Gdy organizację obu imprez na krótkim dystansie czasu (2014, 2016) powierzono Brazylii, na ulice wylegli obywatele tego przynięcionego ekonomicznym kryzysem kraju – uważali, że nie stać ich na ekstrawa-

gotowywały wówczas albo zamożne zachodnie demokracje, albo państwa akceptujące, przynajmniej z grubsza, podstawowe wartości istotne dla naszego kręgu kulturowego. Kiedy już jednak dyktatury weszły do gry, totalnie ją zdominowały. Jérôme Valcke, były sekretarz generalny FIFA wygnany z futbolu na dziewięć lat za korupcję, wyznał w 2013 roku, że ten trend ocenia pozytywnie: „Powień coś szalonego, ale mniej demokracji jest lepsze dla zorganizowania mistrzostw. Z samodzielną podejmującą decyzje silną głową państwa, jak Putin, wygodniej nam rozmawiać niż z Niemcami, gdzie musisz negocjować na wielu szczeblach”.

Kapitanowie kolejnych drużyn narodowych deklarują, że będą zakładali na mecze tęczową opaskę, a holenderscy piłkarze chcą zapraszać do ośrodka treningowego robotników zaangażowanych w budowę stadionów.

Natomiast nasi piłkarze o pozaboiskowym kontekście mundialu nie wspomnieli słowem

gancje, na których oblowią się wyłącznie obce firmy (FIFA oraz MKOl), słusznie też przewidywali, że po wyjeździe sportowców pokaźna połać infrastruktury zniszczonej nieużywana. Oni mogli się buntować i manifestować, bo żyją w demokracji – w przeciwieństwie do ludzi trzymanych pod butem Putina, który z niezadowolonym tłumem rozprawia się przemocą i regularnie napada na sąsiednie kraje, jednak w tym samym okresie sprezentowano mu identycznie prestiżowy olimpijsko-mundialowy pakiet (2014, 2018).

To wtedy społeczność międzynarodowa zapłonęła gniewem. Erupcja nastąpiła w bieżącym roku, rozciągniętym między igrzyskami u chińskich komunistów oraz mundialem w katarskiej dyktaturze – podzielonych jeszcze finałem Ligi Mistrzów w Petersburgu (do Paryża wymiotła go dopiero wojna w Ukrainie), oczywiście Gazpromu, hojnego mecenasa rozgrywek. Wielki sport wchłonięty przez mroczną triadę: Chiny – Zatoka Perska – Rosja.

To nowe zjawisko, przynajmniej dla szeroko pojętej współczesności. W ostatniej dekadzie XX i na początku XXI wieku z większością podobnych dylematów raczej się nie zmagaliśmy, futbolowe oraz olimpijskie superprodukcje przy-

masowany atak dyktatur na globalne igrzyska obwołano na Zachodzie sportwashingiem, czyli czyszczeniem wizerunku poprzez sport. Niekoniecznie precyzyjnym, bo zbyt szerokim – Katarczycy przede wszystkim projektują przyszłość bez paliw kopalnych i dywersyfikują źródła przychodów. Chcą wniknąć w wysoko rozwinięty świat demokracji, zespolic się z nim biznesowo. Z dostarczyli surowców wyewoluować na uczestnika rynku wielkiej finansjery i turystycznej potęgę z wyznaczającą trendy ultranowoczesną gospodarką. Skupują akcje gigantycznych koncernów (od Porsche, przez Siemens, po hollywoodzką wytwórnię Miramax), lotnisk i linii lotniczych oraz banków. Futbol kolonizują w zapierającym dech tempie na wielu poziomach, z telewizyjnego koncernu Al-Dżazira zdążyli już wydzielić sieć beIN Sports, która skupuje prawa do transmisji i stała się jednym z najpotężniejszych globalnych graczy. Mistrzostwa świata to poniekąd sprawa nowej tożsamości kraju, sfinalizowanie trwającego pół wieku procesu rozwojowego.

Sąsiednie reżimy zazdroszczą i naśladowają. Gdy FIFA próbowała przyspieszyć budowę mundialu z 32- do 48-drużynowego, propozycję współorganizowania imprezy złożyły Arabia Saudyjska, Zjednoczone

Emiraty Arabskie, Bahrajn. Znajdowały się w konflikcie z Katarzem (zarządziły trwającą kilka lat blokadę tego kraju) i chciały mu odebrać pozycję regionalnego lidera w przejmowaniu światowego sportu. Ulegają im wszyscy. Nad Zatoką Perską, jeszcze kilkanaście lat temu stanowiącą sportową pustynię, odbywają się już setki prestiżowych zawodów – od pięściarskich walk o mistrzostwo świata, przez imprezy tenisowe czy golfowe, po wyścigi Formuły 1.

A o popularności tej strategii w piłce nożnej, która oferuje najwięcej blichtru, świadczy przebieg wypadków: w 2008 roku wysłannicy z Abu Zabi (należy do Zjednoczonych Emiratów Arabskich) kupili Manchester City, w 2011 roku Katarczycy przejęli Paris Saint-Germain, w 2021 roku inwestorzy z Arabii Saudyjskiej wzięli Newcastle, wreszcie kilka miesięcy temu Bahrajn zasadał się na AC Milan. Wszystkie te transakcje przeobrażają prywatne kluby – klejnoty w koronie europejskiego futbolu – w przedsiębiorstwa państwowe, którymi kierują zausznicy bliskowschodnich satrapów. Czasami wręcz członkowie rządów.

I szejkowicie raczej nie zwolnią. Operują na wolnym rynku i według zachodnich reguł gry, osiągają sukces za sukcesem, sport to wcale nie najbardziej doniosły element współpracy – Amerykanie najwięcej broni eksportują do Arabii Saudyjskiej, a główną bazę wojskową w regionie trzymają w Katarze. Piłka nożna też się nie obroni. Na mundial ochotę ma również Mohammed bin Salman, saudyjski następca tronu nadzorujący modernizacyjny program „Wizja 2030”, któremu firmy konsultingowe z USA doradziły ponoć, żeby ubiegał się o turniej wraz z Włochami lub Grecją. W zamian może zaoferować europejskim partnerom np. sfinansowanie budowy stadionów.

Na razie piłkarze z całego świata wdepnęli w Katar. Nie wiadomo, ilu przyleci z nimi kibiców, bo to kosmicznie drogi, prowokujący mnóstwo logistycznych problemów kraj, w którym nieliczne miejsca noclegowe oferują głównie hotele za tysiące dolarów za noc. Gospodarze już mieli znaleźć alternatywę – opłacili robotników z Azji Południowo-Wschodniej, by chwycili za flagi i udawali na ulicach fanów z Europy, Afryki czy Ameryki Południowej.

A Polacy? FIFA ich pochwali: nasi piłkarze o pozaboiskowym kontekście mundialu nie wspomnieli na razie słowem, a z PZPN płyną nieoficjalne komunikaty, że tło działaczy nie interesuje. Koncentrują się na sporcie. ●

**EFEKT
NISZCZĄCY**
JAK
DEZINFORMACJA
WPŁYWA
NA NASZE
ŻYCIE



ANNA
MIERZYŃSKA

WSTRZĄSAJĄCA OPOWIEŚĆ O DEZINFORMACJI I O TYM, KTO ZA NIĄ STOI

Fake newsy, teorie spiskowe, działania płatnych trolli i botów... Wszyscy stajemy się ofiarami dezinformacji. Podajemy decyzje pod wpływem fałszywych danych, a nasze emocje falują zgodnie z interesami innych ludzi. Książka Anny Mierzyńskiej rozwiewa złudzenia, daje wiedzę i narzędzia, by przeciwstawić się niszczącemu efektowi dezinformacji. To precyzyjna, wciągająca i poruszająca analiza internetowych manipulacji, które służą sianiu nienawiści, wywoływaniu i podsycaniu politycznych wojen i chaosu.

JUŻ W SPRZEDAŻY

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publiko.pl



Abecadło Michniewicza

CZESIU

JEDZIE
DO KATARU

Szef PZPN promuje disco polo,
trener u „Fryzjera”
szuka samochodu dla żony,
czyli Polska jedzie na mundial

Artur Brzozowski
Michał Karbowski

AMICA „FRYZJERA”

Nieistniejący już klub piłkarski, w którym bramkarz Michniewicz w 1996 roku zadebiutował w I lidze, a kilka lat później rozpoczął pracę trenera. Poznał tam Ryszarda F. „Fryzjera”, członka zorganizowanej grupy przestępczej ustawiającej wyniki meczów.

Klub powstał cztery lata wcześniej z połączenia dwóch małych zespołów – LZS Czarnych Wróblewo oraz Błękitnych Wronki.

Amica w ciągu czterech lat, wykorzystując też przepisy związkowe, awansowała o sześć klas rozgrywkowych – z klasy A do I ligi, co nigdy w historii polskiej piłki się nie zdarzyło. Ile meczów było ustawionych przez „Fryzjera”? Nie sposób dziś tego ustalić.

W drużynie z Wroniek Michniewicz zadebiutował w sierpniu 1996 roku w meczu z GKS Belchatów. W książce „Sporo wiedz Fryzjera. Szokująca prawda o korupcji w polskim futbolu”, napisanej z dziennikarzem Adamem Godlewskim, „Fryzjer” ujawnił, że Amica w ramach korupcyjnych rozliczeń musiała przegrać ten mecz. Podobno ówczesny bramkarz Jarosław Stróżyński nie chciał w tym brać udziału i przed spotkaniem zgłosił kontuzję. Do bramki wszedł Michniewicz, a Amica przegrała 1:3.

Przez cztery sezony Michniewicz w Amice głównie „grzał ławę”, zagrał w zaledwie dziewięciu meczach. W 2000 roku

zaczął pracę szkoleniową – był asystentem I trenera, szkolił bramkarzy. W 2012 roku klub przestał istnieć.

BRZozÓWKA,
CZYLI BIAŁORUS

Urodził się 12 lutego 1970 roku w Brzozówce na terenie ZSRR, a dziś Białorusi. Mama Jadwiga, już w ciąży, pojechała tam odwiedzić ojca, na poród do Polski nie zdążyła. U dziadka mały Czesio spędzał często wakacje, tam nauczył się rosyjskiego. Ale wychował się w Biskupcu Pomorskim, koło Ławy, gdzie jako 15-latek zadebiutował w barwach miejscowej Ossy, w rozgrywkach klasy A. Mały Czesiek rodzicom w uprawie tabaki na kilku arach dzierżawionej ziemi. Głównie nawlekał liście na druty, pomagali mu koledzy z drużyny. Mama Michniewicza pracowała w przedszkole, ojciec Antoni w zakładzie transportowo-budowlanym. Zmarł w kwietniu 2022 roku, niedługo po tym, jak syn awansował z reprezentacją na mistrzostwa świata w Katarze.

CZESIU

Tak poufale – do niego i o nim – mówią najbliżsi, ale też koledzy z mediów, a za nimi kibice. „Czesiu! Czesiu!” – skandowali w szatni piłkarze reprezentacji Polski po barażowym zwycięstwie 2:0 nad Szwecją, które dało Polsce awans do Kataru. – Ja je-

stem taki Czesiu dla ludzi. Czuję, że dla tych zwykłych kibiców, zwykłych ludzi jestem swój. Zna mnie pan, jak tylko mogę, skracam dystans, gadam ze wszystkimi, nie zadzieram nosa – mówił Czesiu tygodnikowi „Sieci”.

Skoro mundialu
nie da się ustawić,
to czy Lewandowski
może pięknie zagrać na
mundialu, jeśli nie lubi
trenera Michniewicza?

Kulturalny i otwarty jest jednak do czasu. Po wygranej ze Szwedami zadzwonił do internetowego Kanału Sportowego i na antenie rozprawił się z nieprzychylnymi dziennikarzami. O komentatorze TVP powiedział, że „pierdoli głupoty”, o kolejnym dziennikarzu, że leżał „w krzakach pod redakcją pobity przez zdradzonego męża”, innych nazwał „grupą zgredów”.

– Brawo, Czesiu! Gonić gówno – dopinował go w studiu były piłkarz Legii Warszawa Wojciech Kowalczyk. – Jeńców nie bierzemy – odpowiedział zachwycony Czesiu.

DIETA

Miewa też dystans do siebie. Według „Piłki Nożnej” na pytanie, w czym nikt go nie pokona, odpowiedział, że w kilogramach.

Na swojej stronie internetowej w rubryce „największe zaskoczenie”, wpisał: „poranne ważenie”. A mającemu kłopot z utrzymaniem wagi jednemu z piłkarzy zaproponował: – Pójdziemy razem na odchudzanie, w pakiecie wyjdzie taniej.

Przed mundialem w Katarze schudł. Twierdzi, że stosuje okno żywieniowe – je przez osiem godzin, np. od 10 do 18, a przez kolejne 16 już nie. – Garnitury musi teraz przerobić – żartował na Twitterze jego syn Mateusz.

EGZAMIN DOJRZAŁOŚCI

Maturę zdał w Technikum Budowy Okrętów w Gdyni. Specjalność: wyposażenie wnętrza okrętowych. Chciał zostać marynarzem, jednak w Trójmieście zamieszkał ze względu na futbol. Po podstawówce zastanawiał się, gdzie mógłby naukę łączyć ze sportem. Nauczyciel doradził mu, że właśnie w Trójmieście, a nie w położonych bliżej Olsztynie czy Toruniu. Tam są większe tradycje piłkarskie, dobre kluby i Akademia Wychowania Fizycznego. W Gdyni mieszkał w internacie. Najpierw uczył się w Szkole Marynarki Wojennej im. Dąbrowszczaków, później w technikum. Grał w II-ligowym Bałtyku. Za pierwsze zarobione na boisku pieniądze kupił dzinsy od mary-

narzy. Rówieśnikom imponował czerwonym maluchem, który kupili mu rodzice. Gdy został studentem AWF, przeniósł się do Polonii Gdańsk. Tytuł pracy magisterskiej: „Stosunki interpersonalne w zespole piłkarskim”.

„FRYZJER”

To ksywka wspomnianego już Ryszarda F., z zawodu rzeczywiście fryzjera. Najpierw strzygł więźniów w zakładzie karnym we Wronkach, później w miasteczku otworzył zakład. Fryzjerkami były też jego córka i konkubina.

W latach 80. był działaczem w milicyjnej Olimpii Poznań, później został menedżerem Amiki, którą „wprowadził” do I ligi. W czasach, gdy Czesiu grał w tym klubie, a potem był trenerem, „Fryzjer” korumpował sędziów, piłkarzy i przedstawicieli PZPN. Organizował „Fryzjer” m.in. słynne imprezy z prostytutkami w restauracji Borowianka we Wronkach. Tygodnik „Nie” zamieścił zdjęcie, na którym sędziowie i dziennikarze, klęcząc, całują „Fryzjera” w rękę ze złotym sygnetem.

Prymitywny i wulgarny „Fryzjer” przed jednym z meczów przywitał się z sędzią słowami: „Cześć, kurwiorzu”. Za naruszenie zasad etyczno-moralnych w PZPN uznano go za persona non grata – jako pierwszą osobę w dziejach związku. Ale nadal masowo ustawiał mecze w różnych ligach.

– Opracował tak świetnie funkcjonujący mechanizm korupcyjny, że zarządzając nim, nawet nie musiał wychodzić ze swojego domu w Obrzycku czy ulubionej restauracji Borowianka we Wronkach. Stworzył w Polsce nową profesję: pośrednika piłkarskich transakcji korupcyjnych – mówił prokurator Robert Tomankiewicz. Jeden z meczów ustawił, dzwoniąc z biura komendanta policji we Wronkach, bo telefon mu się popsuł.

Został zatrzymany w 2006 roku, a sąd uznał go za członka zorganizowanej grupy przestępczej. Skazany na więzienie wyszedł z niego ze względu na stan zdrowia. W 2021 roku wrocławski sąd połączył mu trzy wyroki i zamknął go na sześć lat. Jeden z procesów wciąż trwa.

Prokuratura ustaliła, że między 2003 a 2005 rokiem „Fryzjer” ustawił mecze kilkunastu klubów. W tym czasie aż 711 razy telefonicznie kontaktował się z Michniewiczem, który pracował w tym czasie już w Lechu Poznań.

To dziennikarz Wirtualnej Polski Szymon Jadczaak ujawnił, że między 2003 a 2005 rokiem Michniewicz rozmawiał z „Fryzjerem” w sumie przez 27 godzin. Czasami 20 razy dziennie. Jadczaak przeanalizował dostępne w aktach sprawy billingi. Pisał, że do ich kontaktów dochodziło tuż przed meczami i po nich i że według prokuratury zostały kupione lub sprzedane przez Lecha Poznań. Kiedy Czesiu nie mógł się dodzwonić pod jeden numer, wybierał kolejne, które „Fryzjer” dał wyłącznie zaufanym ludziom od ustawiania meczów.

Tekst Jadczaaka wywołał zainteresowanie także poza Polską. O Czesiu pisały media m.in. w USA, Belgii i Hiszpanii. Hiszpańska „Marca” informowała, że trener reprezentacji Polski został człowiek ze środka „największego skandalu korupcyjnego w piłce nożnej w swoim kraju”. A „Fryzjera” określiła jako „capo del futbol” (szef piłkarskiej mafii).

Michniewicz zapowiedział proces przeciw Jadczaakowi. Selekcionera reprezentuje Piotr Kruszyński, obrońca także... „Fryzjera”. Decyzja Michniewicza wywołała oburzenie. W efekcie poinformował, że wstrzyma się z procesem do zakończenia mundialu. – Teraz priorytetem jest dla mnie dobro reprezentacji – wytłumaczył.

HONOROWY OBYWATEL

Po awansie reprezentacji na mistrzostwa świata w Katarze gdyńscy radni PiS zapro-

ponowali, by Michniewiczowi nadać honorowe obywatelstwo miasta. Czesiu o Gdyni mówi „moje miasto”. Na randki z przyszłą żoną chodził do dawnego hotelu Antracyt, wesele miał w Panoramie na Kamiennej Górze, owoce i warzywa kupuje w Miejskiej Hali Targowej, ryby u Tadeusza w Hali Rybnej, a na lody chodzi do kawiarni Mariola. Lubi pograć w tenisa na kortach Arki, a Arkę – piłkarską – prowadził w ekstraklasie. Bez sukcesów.

Na razie radni postanowili przesunąć rozpatrzenie wniosku o honorowym obywatelstwie dla Czesia. Może któryś z PiS-owskich radnych dokopał się do jego tekstu z 2010 roku na portalu Weszlo.com. Michniewicz po raz kolejny zaprzeczał w nim, że brał udział w korupcji, ale też w oryginalny sposób atakował tych, którzy go o nią oskarżają: „Oczywiście zdaję sobie sprawę, że będą tacy, którzy »wiedzą swoje«, tak jak są tacy, którzy twierdzą, że Donald Tusk rakietą ziemia-powietrze strącił samolot pod Smoleńskiem. Z takimi nigdy nie wygram”.

Ale trzeba przyznać, Czesiu potrafi odnaleźć się w każdej rzeczywistości. Po awansie na mundial pochwalił się tygodni-

acja komentatorów i ekspertów Polsatu: „Tenis, siatkonoga, pływanie. I bez względu na to, jak długo trwały nocne imprezy, rano wszyscy musieli meldować się na śniadaniu. Obowiązkowo, bo Zibi nie akceptował nieobecności”.

To Boniek w 2017 roku zatrudnił Czesia w roli trenera reprezentacji do 21 lat, choć ciągnęły się za nim rozmowy z „Fryzjerem”. Prezes PZPN nie widział problemu. Dla Michniewicza to uwiarygodnienie było niezwykle ważne. Powoływał się na nie na konferencji prasowej po nominacji na selekcjonera pierwszej reprezentacji: „Chciałbym z całą stanowczością podkreślić to, co mówił już Zbigniew Boniek, zatrudniając mnie w 2017 roku (...). Nic złego nie zrobiłem, nie mam żadnego zarzutu, nie byłem wbrew temu, co niektórzy opowiadają, świadkiem koronnym”.

KUMPEL

Tak jak Telewizja Polska traktuje dziś rząd, tak Czesia traktuje grupa medialna, na której czele stoi Krzysztof Stanowski, kiedyś dziennikarz, dziś bardziej biznesmen, twórca portalu Weszlo.com i współzałoży-

Do kompromitacji z Wyspami Owczymi Michniewicz podchodzi filozoficznie:

„Drużyna rodzi się wtedy, kiedy zapłacze w szatni”

kowi „Sieci” gratulacjami od premiera Morawieckiego: „Napisał mi piękne słowa, poprosił o kontakt i zaprosił na kawkę. Chętnie skorzystam, bo szanuję człowieka”.

HALO 711 RAZY

W 2011 roku, gdy Czesiu był trenerem Jagiellonii Białystok, na oryginalny pomysł wpadł inny były bramkarz Maciej Szczesny. Przed meczem białostoczan z Koroną Kielce, w której trenował bramkarzy, wręczył Michniewiczowi koszulkę z nadrukowanym telefonem komórkowym i napisem „CM 711”.

Kpił później, że to dowód uznania dla Czesia, nawiązujący do Cristiano Ronaldo, który na całym świecie rozpoznawany jest jako CR7: – Pomyślałem, że ponieważ o Czesiu media piszą, że miał w krótkim czasie 711 połączeń z „Fryzjerem”, (...) to powinien stać się takim naszym CM 711. Uważam, że zasługuje, bo to duża sztuka rozmawiać z „Fryzjerem” tak często i ani razu o futbolu.

Czesiu się nie obraził. – Przyjął prezent uśmiechnięty od ucha do ucha – dziwił się Szczesny.

IDOL

„Zbigniew Boniek, idol mojego pokolenia. Przykład na to, jak należy budować swoją karierę na boisku i poza nim oraz kiedy w blasku zejść ze sceny” – pisał Czesiu na swojej stronie internetowej. Idola poznał w czasie mistrzostw Europy w 2008 w Austrii i Szwajcarii, gdzie Boniek był szefem ekipy ekspertów Polsatu. „I od razu pierwszego dnia poprosił wszystkich (...), by mówić do siebie »per ty«. Nagle z idola lat młodzieńczych stał się dla nas starszym kolegą” – dodał.

Michniewicz jest zafascynowany silną osobowością byłego prezesa PZPN. Podczas Euro 2008 Boniek zawsze rano decydował o tym, jak będzie wyglądała rekre-

ciel Kanalu Sportowego. Przyjaźnią się od lat. Michniewicz jest ojcem chrzestnym jego syna. Żonie Stanowskiego dał robotę, gdy trenował Zagłębie Lubin – układała piłkarzom indywidualne diety.

– Zawsze powtarzam, że jestem nieobiektywny w kwestii Czesława Michniewicza i mam zamiar taki pozostać – mówi Stanowski.

Działają w symbiozie. Michniewicz pomógł Stanowskiemu rozkręcić portal Weszlo.com, na pstryknięcie palców występuje w Kanale Sportowym. Zdarza się, że dzwoni do kumpla w czasie programu zaraz po meczu kadry. Stanowski lukruje nadszarpnięty wizerunek selekcjonera. To u niego Michniewicz chwilę po nominacji na selekcjonera tłumaczył się z kontaktów z „Fryzjerem”. Zaznaczył, że robi to ostatni raz. Stanowski dociskał Czesia tak bezkompromisowo jak Holecka Kaczyńskiego.

LEWANDOWSKI

Między trenerem reprezentacji a jej liderem od dawna istnieje spór. W 2019 roku Robert Lewandowski, jeszcze jako napastnik Bayernu Monachium, skrytykował styl gry prowadzonej przez Czeska kadry do lat 21. A w zasadzie stwierdził, że „tam nie było gry”. Michniewicz odpowiedział: – Łatwo się mówi piłkarzowi, którego drużyna klubowa mecze wygrywa wyśoko i prawie cały czas atakuje. Robert Lewandowski to dzisiaj dla mnie ani brat, ani swat. Nie zanoszę się na to, byśmy kiedyś razem pracowali, bym był trenerem Bayernu, więc spokojnie mogę mówić to, co myślę. Dziś pracują razem i nadal spierają się o styl. Gwiazdor Barcelony po meczach Ligi Narodów domagał się poprawy gry w ataku, wystawienia drugiego napastnika. Michniewicz twierdzi, że to niepotrzebne, bo najważniejsza jest pomoc, która ma zadbać o „serwis dla Roberta”. Czesiu pytany przez portal Meczyki.pl o styl reprezentacji w Katarze odpowiedział: – Mu-

simy grać, żeby zęby nie bolały, ale musimy grać na wynik. Lewandowskiemu na wyniku również zależy. Dotąd na mistrzostwach świata nic nie osiągnął, a mundial w Katarze może być jego ostatnim. Na kolejnym – w Kanadzie, Meksyku i USA – będzie miał już 38 lat.

MOURINHO

„Polski José Mourinho” – tak kiedyś mówiono o Czesku. Gdy miał 34 lata, z Lechem Poznań zdobył Puchar Polski i Superpuchar. Trzy sezony później z Zagłębiem Lubin – mistrzostwo kraju. Był medialny jak sławny portugalski szkolenowiec. Popisywał się w telewizji, analizował grę i nie rozstawał się z laptopem. Franciszek Smuda, selekcjoner na Euro 2012 w Polsce i Ukrainie, mówił, że laptop służy mu wyłącznie jako podstawka pod kawę.

Czesiu promieniał, gdy porównywano go do Portugalczyka. „Jeśli ktoś taki jak José Mourinho osiąga sukcesy, to wydaje mi się normalne, że inni trenerzy starają się zgłębić jego metodę. Ja też to robię” – mówił w 2007 roku „Rzeczpospolitej”.

Później te porównania zaczęły go złościć. Dziennikarzy prosił, by już tego nie robili.

NIEPAMIĘĆ

Pytany, o czym 711 razy rozmawiał z „Fryzjerem” przez telefon, Czesiek zawsze zasłania się niepamięcią. – Sytuacja miała miejsce 18 lat temu – tłumaczył po nominacji na selekcjonera.

Ale dokładnie pamięta inne wydarzenia sprzed 18 lat. Na przykład przegrany mecz jego Lecha Poznań ze Świtem Nowy Dwór. Trzech piłkarzy poznańskiego klubu zostało skazanych za sprzedanie tego spotkania. Michniewicz nie pamięta ówczesnych rozmów z „Fryzjerem”, ale pamięta, że „Piotrek Świerczewski nie mógł zagrać, bo dostał kartkę, Maciek Scherfchen miał złamaną rękę, Grzelak nie mógł zagrać, bo miał rozcięte kolano, a Madej ok. 44. minuty zszedł, musieliśmy go zmienić. Do tego nie zagrał Michał Goliński, który miał trzy żółte kartki i następna eliminowała go z rewanżowego meczu z Legią na Łazienkowskiej”.

Świetnie pamięta też telefony do „Fryzjera”, które nie dotyczyły futbolu. Na Kanale Sportowym opowiadał, jak zadzwonił do niego, by pomógł mu w kupnie auta. – Tam [we Wronkach] było wiele osób blisko granicy, które sprowadzały samochody. „Fryzjer” miał swoich ludzi, którzy sprowadzali mu te auta. Były dobre i w rozsądnej cenie. Dzwonię do niego i pytam się, czy ktoś może auto szybko sprowadzić, aby żona mogła jeździć.

OWCZE WYSPY

– Każdy ma swoje Wyspy Owcze – powtarza Czesiu. Choć równie dobrze mógłby powiedzieć: – Każdy ma swój Ruch Zdieszowice.

To jego symbole wstydu i beznadziei. Z Wyspami Owczymi, gdzie mieszka raptem 50 tys. ludzi, dwa razy zremisował jako trener młodzieżówki. Z II-ligowym Ruchem Zdieszowice odpadł z Pucharu Polski, prowadząc ekstraklasową Jagiellonię Białystok. Za karę zarządził piłkarzom nietypowy trening: przez 90 minut stali w miejscu na swoich pozycjach na boisku. Jak w jego ocenie podczas meczu. Do kompromitacji z Wyspami Owczymi podchodzi filozoficznie, bo mimo remisów jego zespół awansował na mistrzostwa Europy: – Drużyna rodzi się wtedy, kiedy zapłacze w szatni.

PREZES

Cezary Kulesza, prezes PZPN, promotor Zenka Martyniuka, były szef Jagiellonii Białystok, 11 lat temu zatrudnił w Jagiellonii Michniewicza, w tym roku mianował

go selekcjonerem reprezentacji. Nie miał nigdy oporów, aby w swoim klubie zatrudniać piłkarzy zamieszanych w korupcję, z którymi inne kluby rozwiązywały kontrakty.

Przygoda Czesia z Jagiellonią była krótka i nieudana – ze względu na słabe wyniki Kulesza zwolnił go po pół roku, o czym trener dowiedział się z prasy.

Kulesza jest właścicielem firmy Green Star, która organizuje koncerty i wydaje płyty z muzyką disco polo. Oprócz Zenka i zespołu Akcent reprezentuje kilkadziesiąt innych, w tym topowe gwiazdy: Boys, Top Girls, Extazy czy Milano. Firma zajmuje się także handlem nieruchomościami, wynajmem pokojów, działalnością grup cyrkowych i artystycznych, cateringiem i handlem hurtowym.

Wirtualna Polska ujawniła, że do ochrony Roberta Lewandowskiego w reprezentacji PZPN zatrudniło Dominika G., pseudonim „Grucha”, według prokuratury członka neofaszystowskiego gangu w Białymstoku.

REPREZENTACJA

Pod koniec 2021 roku Portugalczyk Paulo Sousa sensacyjnie zrezygnował z prowadzenia reprezentacji Polski i poleciał trenować brazylijskie Flamengo. Prezes Kulesza musiał szukać następcy. Pojawiały się sławne nazwiska, m.in. Ukraińca Andrija Szewczenki, Adama Nawalki czy Jana Urbana, ale postawił na Czesia.

– Patrząc pod kątem wizerunkowym, bezpieczniej byłoby wybrać innego trenera. Pewnie nie byłoby takiej fali krytyki, jednak trzeba wziąć ciężar tej decyzji na siebie. Uważałem, że to najlepszy możliwy wybór pod kątem sportowym, dający nam największą szansę awansu na mundial – tłumaczył.

Na początku Michniewicz miał farta, bo po agresji na Ukrainę Rosja została wykluczona z baraży o awans na katarskie mistrzostwa i Polacy od razu zagrali decydujący mecz ze Szwecją. Wygrana 2:0 to życiowy sukces Czesia. Później było jednak gorzej – w Lidze Narodów Polska grała słabo i skompromitowała się, przegrywając aż 1:6 z Belgią.

Jednym z największych krytyków Michniewicza jest Jerzy Dudek, były bramkarz reprezentacji, Liverpoolu i Realu Madryt. W „Przeglądzie Sportowym” napisał, że z taką grą w Katarze nie mamy czego szukać. I zaapelował o odwołanie Michniewicza: „Prezes Cezary Kulesza powinien przeprosić się z Paulo Sousą, dopóki jest jeszcze wolny [w tym czasie stracił pracę w Brazylii], bo może on będzie w stanie coś pozytywnego z tego bałaganu zbudować”.

Prezes nie posłuchał i kumpla nie zwolnił. A Czesiu zaapelował do Dudka: „Nic od ciebie nie potrzebuję, ani rad, ani niczego innego. Daj mi święty spokój”.

USA

Wyjazd do Stanów był marzeniem Michniewicza. I przez ten „amerykański sen” stracił pracę w Zagłębiu Lubin. Niedługo po zdobyciu mistrzostwa Polski wierzył, że koresponduje z asystentką dyrektora Los Angeles Galaxy, klubu, który zatrudniał angielskiego gwiazdora Davida Beckhama. W imieniu Amerykanów w sprawie kontraktu do Michniewicza miał dzwonić także Stanisław Terlecki, były reprezentant Polski, grający niegdyś w USA. Podjarany szkoleniowiec w mailu ujawnił Amerykanom swoje zarobki (48 tys. zł plus bonusu), prosił o służbowy samochód, mieszkanie, telefon oraz bilety na przeloty do kraju dwa razy w roku. Pytał o możliwość pracy dla żony i zapewniał, że jest gotowy przyjechać na negocjacje w najszybszym możli-

wym terminie. Kobieta, z którą korespondował, okazała się dziennikarką „Super Expressu”. Kiedy tabloid opublikował artykuł, wściekli szefowie Zagłębia uznali zachowanie trenera za niełojalne i wywalił go z pracy.

WÓJCİK

W śledztwie dotyczącym korupcji najmocniej obciążał Czesia Janusz Wójcik, były trener Legii Warszawa i reprezentacji Polski. Chodziło o dwa ustawione w 2004 roku mecze prowadzonego przez Michniewicza Lecha Poznań – ze Świtem Nowy Dwór Mazowiecki i Górnikiem Polkowice.

Drużyna Świtów zaczęła nagle wygrywać, gdy w trakcie sezonu jej trenerem został Wójcik. Potem okazało się, że z pomocą „Fryzjera” i za łapówki wręczane sędziom lub zawodnikom. Z akt śledztwa wiadomo, że przed meczem z Lechem „Fryzjer” skontaktował Wójcika z szefami klubu z Poznania, którzy za sprzedanie meczu zażądali 100-150 tys. zł. I otrzymali pieniądze. Jednak Wójcik obawiał się, że w ustawkę nie są wtajemniczeni piłkarze oraz Michniewicz. Z Czesiem sprawę miał załatwić „Fryzjer”.

Wójcik zeznawał, że jak rozmawiał o tym meczu z „Fryzjerem”, ten z drugiego telefonu zadzwonił do Czesia. W akcie oskarżenia śledczy stwierdzili, że Michniewicz został poinformowany o sprzedaży meczu. „W czasie rozmowy Ryszard F. – jak wynika z relacji Wójcika – wydawał polecenia trenerowi Michniewiczowi co do składu, a Czesław Michniewicz wykazywał swoją pełną podległość i posłuszeństwo wobec Ryszarda F.” – napisali prokuratorzy. Świt wygrał z Lechem 1:0.

Śledczy nie postawili jednak zarzutu Michniewiczowi. Wójcik, który współpracował z prokuraturą i przyznał się do

korupcji, dostał dwa lata w zawieszeniu. Zmarł w 2017 roku.

ŻONA

Najlepsi piłkarze do trenowania? – Żona ci. Nie trzeba ich pilnować – twierdzi Michniewicz. Żona Czesia jest dla niego bardzo ważna. Również skończyła AWF, jest wicedyrektorką jednej z gdańskich podstawówek, prowadzi zajęcia rewalidacyjne dla uczniów z niepełnosprawnościami. Pani Grażyna razem z teściową Urszulą są największymi kibickami selekcjonera. Żona relacjonuje też mężowi, co pisze się o nim w internecie. Poznali się na urodzinach u znajomego. Czesław był na I roku studiów, Grażyna w liceum medycznym. – Urzekło mnie to, że widzieliśmy się pierwszy raz, a wydawało mi się, że to mój dobry znajomy. Przegadaliśmy prawie całą imprezę. Spodobało mi się jego poczucie humoru, błyskawiczne, dowcipne riposty – wspominała. Mają dwóch synów. – Starszy jest zapatrzony w tatę. Chyba już jest stracony dla ludzkości, bo wydaje się, że przejmie pasję męża, czyli piłkę nożną – mówiła, gdy starszy syn miał trzy lata. Miała rację. Został trenerem, na razie młodzieży w Raduni Stężyca. Stanowski ujawnił, że ojciec wysłał go, by na żywo obejrzał mecz Szwecja – Czechy w półfinale baraży o mundial. Analizę chciał dostać od kogoś zaufanego. ●

trasa pamięci

Trasę Pamięci Muzeum Krakowa tworzą trzy oddziały związane z historią drugiej wojny światowej: Fabryka Emalia Oskara Schindlera, Apteka pod Orłem i Ulica Pomorska. Od 2010 roku te trzy punkty na mapie Krakowa odwiedziło blisko 4 miliony ludzi z całego świata.

Szczegóły: www.muzeumkrakowa.pl.

MUZEUM KRAKOWA - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Urszula Jabłońska,
Szarm el-Szejk

Kurort Szarm el-Szejk nad Morzem Czerwonym przypomina fatamorganę gdzieś na beżowej pustyni. Trzypasmowe autostrady łączą ze sobą ekskluzywne resorty niczym z tysiąca i jednej nocy – otoczone murami, ozdobione wieżyczkami, tonące w wypiełgnowanej zieleni. Wzdłuż ulic biegną szerokie promenady i ścieżki rowerowe. W morzu 350 gatunków koralu i 1000 gatunków ryb tylko czeka, by cieszyć oczy nurków. Trzy lata temu kurort został otoczony murem z betonu i drutu kolczastego, żeby turyści czuli się bezpiecznie. Można do niego wjechać przez jedną z czterech strzeżonych bram.

Dzisiaj w tej wakacyjnej utopii wyrosła też utopia ekologiczna. Na dachach resortów połykają panele, słoneczna energia napędza latarnie, które oświetlają ulice. Co kilka metrów stoją kosze do segregacji śmieci. Ostatni kubek z plastiku widziałam na lotnisku w Europie. Rząd Egiptu bardzo się postarał, żeby przed szczytem klimatycznym COP27 uczynić z Szarm el-Szejk zielone miasto. Wyszło pięknie. Jednak kiedy podobnie jak ponad 30 tys. delegatów, obserwatorów, aktywistów i dziennikarzy z całego świata przemierzam te szerokie arterie ekologicznym autobusem, który wiezie mnie do centrum konferencyjnego, czuję się, jakbym zwiedzała park tematyczny. Zwłaszcza że spomiędzy hoteli wyglądają szyje dinozaurów z parków rozrywki, sztuczne piramidy i sfinksy. Maszty telekomunikacyjne są ustrojone tak, by wyglądały jak palmy.

W krajobrazie brakuje tylko ludzi. Promenadami prawie nikt się nie przechadza, ścieżkami rowerowymi nie pędzą rowerzyści. Mam wrażenie, że wystarczy mru-gnąć, a fatamorgana zniknie.

Nie było łatwo znaleźć się w tej utopii. Mimo że planowałam wizytę na szczycie od miesięcy, moja rezerwacja została odwołana na początku października. Miesiąc przed CO27 z prywatnych apartamentów mogłam ewentualnie wynająć namiot na plaży 20 minut jazdy od Szarm el-Szejk. Kosztował prawie 4 tys. zł za tydzień. W podobnej cenie czekało na mnie „przytulne studio” – stara kanapa niedbale przykryta pościelą z Kubusiem Puchatkiem, w kuchni na czarnej od brudu półce z dytki kuchenka dwupalnikowa. Ceny w hotelach zaczynały się od 6 tys. zł za najprostszy pokój. Portal Climate Change News donosił, że już w kwietniu władze wysłały pismo do hoteli, w którym wyznaczyły minimalne stawki za noc podczas szczytu – 180 dol. za dwugwiazdkowy hotel, 500 za cztero-gwiazdkowy. Na-

kazały odwołanie wszystkich rezerwacji po niższych stawkach. 25 proc. zysku hotele muszą przekazać jako podatek „na rzecz konferencji”. W całym mieście nie da się znaleźć tańszego noclegu. I jest to problem. Wbrew pozorom również polityczny.

Na szczyty poza akredytowanymi delegatami i obserwatorami zwykle zjeżdżają aktywiści, którzy organizują protesty i demonstracje, wywierają nacisk na delegatów biorących udział w negocjacjach. W zeszłym roku w Glasgow podczas szczytu na ulice wyszło 100 tys. obywateli, żeby domagać się bardziej radykalnych działań proklimatycznych. Oczywiście w Glasgow niebotyczne ceny również były problemem – docho-

**Greta Thunberg
zbojkotowała
tegoroczny
szczyt klimatyczny,
bo zakneblowano
społeczeństwo
obywatelskie.
Może też dlatego,
że jednym z oficjalnych
sponsorów
została Coca-Cola.**

dziły do 12 tys. funtów za dwa tygodnie pobytu w najprostszym hotelu. Jednak ponad 1500 mieszkańców miasta szybko zorganizowało sieć Human Hotel, w ramach której udostępniali delegatom z biedniejszych krajów i aktywistom pokoje w swoich domach za darmo albo za symboliczną opłatę. „Wesprzyj sprawiedliwość klimatyczną, zapraszając do domu świetnych ludzi, którzy przyjadą na szczyt!” – zachęcała strona. Z tej opcji skorzystał nawet delegaci m.in. z Chile, Kenii czy Malawi. W Egipcie nic takiego się nie dzieje.

Aktywiści mają też inny problem – w całym kraju panuje ścisły zakaz protestów. Prezydent Abd al-

-Fattah as-Sisi, który rządzi od 2014 roku, nie obchodzi się łaskawie ze społeczeństwem obywatelskim. Organizacje broniące praw człowieka szacują, że w sumie w egipskich więzieniach zamknięto 60 tys. więźniów politycznych – aktywistów, dziennikarzy czy członków organizacji pozarządowych. Niektórzy dopuścili się tylko takich przestępstw jak udział w demonstracji albo publikacja postu w mediach społecznościowych. Zdara się, że po prostu znikają i ich rodziny nie wiedzą nic o ich losach. Najsłynniejszy z nich, Alaa Abd el-Fattah, jest kluczową postacią rewolucji na placu Tahrir, która obaliła Hosniego Mubarakę. Od 2011 roku prawie ciągle przebywa w więzieniu. W kwietniu 2022 roku rozpoczął protest głodowy. 6 listopada, w dniu rozpoczęcia szczytu COP27, przestał również pić wodę.

„W takich krajach jak Egipt, wasi prawdziwi sojusznicy, ci, których rzeczywiście obchodzi przyszłość planety, gniją w więzieniach” – jeszcze przed rozpoczęciem szczytu napisała na Twitterze Mona Seif, jego siostra. Druga siostra, Sanaa, przyjechała z Wielkiej Brytanii na szczyt, żeby walczyć o wolność dla brata. Jednak wielu aktywistów, na przykład Greta Thunberg, zbojkotowało tegoroczny COP. Między innymi ze względu na ograniczoną przestrzeń dla społeczeństwa obywatelskiego. I może jeszcze dlatego, że jednym z oficjalnych sponsorów została Coca-Cola.

A jednak zielona utopia pod szyldem ONZ musi spełniać pozory demokracji. W maju w wywiadzie z AP minister spraw zagranicznych Egiptu powiedział więc, że specjalnie z okazji COP27 rząd

„wyznaczy na protesty osobne miejsce niedaleko centrum konferencyjnego”. Chętni do demonstrowania będą musieli się zarejestrować i otrzymać akceptację władz.

Nic więc dziwnego, że kiedy sunę przez zieloną utopię zamkniętą w ekologicznym autobusie, zza szyby widzę tylko połyskującą w słońcu marmurową pustkę.

Na miejscu, w wielkich halach konferencyjnych, trudno jednak nie poczuć powiewu nadziei. Mijam tysiące ludzi wszystkich ras i narodowości, ubranych w sari, abaje, garnitury, suknie z afrykańskich materiałów, z pióropuszcami, turbanami, wiencami

z kwiatów na głowach. Zjechali tu z całego świata, generując olbrzymi ślad węglowy (w Glasgow były to ponad 102 tony dwutlenku węgla), żeby się porozumieć w kwestii największego wyzwania naszych czasów – zmian klimatu.

Scenariusz jest co roku mniej więcej taki sam. Na pierwsze dwa dni szczytu zwykle przyjeżdżają premierzy i prezydenci, żeby



FOT. PETER DE JONG/AP

ściskać dłonie i w błysku fleszy pozować do zdjęć. Potem do akcji wkraczają negocjatorzy, którzy w osobnych pokojach pracują nad setkami stron konkretnych ustaleń w dziedzinach adaptacji do zmian, implementacji rozwiązań czy finansów. Dzień i noc debatują nad tym, gdzie postawić przecinki czy użyć słowa „shall” czy „should”, tak aby wszystkie państwa czy grupy państw (na przykład Unia Europejska czy SIDS – stowarzyszenie rozwijających się państw wyspiarskich) były zadowolone z wyniku. W zeszłym roku, kiedy pracowano nad Glasgow Climate Pact, ostateczną bitwę stoczono, gdy Chiny i Indie zażądały, żeby w sformułowaniu: „zwiększyć wysiłki w kierunku wycofania się z energii z węgla”, zmienić słowo „phase out” (wycofać się) na „phase down” (wycofywać się).

Podczas gdy negocjatorzy debatują, wokół kwitnie kolorowy teatr z identycznymi co roku aktorami – delegacjami w garniturach, młodymi aktywistami, którzy zaczepiają na korytarzach oficjeli, żeby zadawać im niewygodne pytania (brawo, Dominika Lasota!), dziennikarzami, którzy biegną z kamerami tam, gdzie akurat jest akcja. W wielkich halach swoje stoiska rozstawiają poszczególne państwa i organizacje pozarządowe. Trwają tam debaty otwarte dla wszystkich obecnych na konferencji – o ochronie lasów i oceanów, bezpieczeństwie żywnościowym, ekologicznej energii. W długich kolejkach do kafeтерии (w menu kurczak i spaghetti bolognese) słychać small talki o tym, czy lepsza kawa jest na stoisku Australii czy Brazylii.

Pierwszy szczyt klimatyczny odbył się w 1995 roku w Berlinie, by strony Ramowej Konwencji Narodów Zjednoczonych w sprawie Zmian Klimatu (UNFCCC) mogły podjąć zobowiązania. Wiążącą umowę podpisano w 2015 w Paryżu. Ustalono tam, że kraje rozwinięte i rozwijające się podejmą działania, żeby utrzymać wzrost temperatury zdecydowanie poniżej 2 st. C do 2100 roku i postarają się, żeby było to 1,5 st. Do 2020 roku wszystkie kraje miały przedstawić nowe scenariusze ograniczenia emisji gazów cieplarnianych. Jednak w 2020 roku szczyt nie obył się z powodu pandemii COVID-19. Na zeszłorocznym, w Glasgow, okazało się, że zaprezentowane plany zakładają, że emisje... wzrosną o 16 proc. do 2030 roku. A to spowoduje ocieplenie o 2,7 st. C do końca wieku i doprowadzi do załamania ekosystemów. Tymczasem, aby nie przekroczyć progu 1,5 st., musimy ograniczyć je o połowę już do 2030 roku. Żeby się zatrzymać przed progiem 2 st. – o jedną czwartą. Kraje zobowiązały się, że na każdym kolejnym szczycie będą przedstawiać bardziej ambitne plany.

Jednak przed COP27 w egipskim Szarm el-Szejk tylko 29 państw ze 193 rzeczywiście je przygotowało. Pod warunkiem że te krótkoterminowe plany zostaną w 100 proc. zrealizowane, i tak wciąż zmierzamy w kierunku ocieplenia rzędu 2,5 st. C. W tej sytuacji trudno już słuchać apełi polityków i urzędników ONZ, że „potrzebujemy kolektywnej akcji na poziomie globalnym”. Mi-

mo ich zapewnień, że „okno się zamyka, ale wciąż mamy szansę”, trudno uwierzyć, że uda się utrzymać wzrost temperatury poniżej 1,5 st.

Emisje rosną. W 2021 roku padł kolejny rekord – wyemitowaliśmy do atmosfery 36,3 mld ton dwutlenku węgla. W tym roku prawdopodobnie znów idziemy po rekord. Kryzys na rynku energii spowodowany rosyjską agresją na Ukrainę utrudnia rządowi podjęcie ambitnych decyzji klimatycznych. Niektóre kraje UE powróciły do energii z węgla. Oczywiście tylko tymczasowo. „Guardian” donosi, że koncerny Shell i TotalEnergies podwoiły swoje kwartalne zyski.

COP27 w Egipcie miał się koncentrować wokół implementacji konkretnych rozwiązań ograniczających emisje. Wygląda jednak na to, że ciężar przesuwają na minimalizowanie strat. Raport ONZ z końca października donosi, że jedynym sposobem na ograniczenie najgorszych skutków zmian klimatu jest „gwałtowna transformacja społeczeństw”, czyli adaptacja, naklejanie plastrów tam, gdzie jeszcze można spróbować zaleczyć ranę – budowanie wałów przeciwpowodziowych, opracowywanie planów kryzysowych, sadzenie gatunków zbóż, które odnajdą się w nowych warunkach klimatycznych.

W tym roku po raz pierwszy państwa globalnego Południa doprowadziły do tego, że w planach rozmów znalazł się także kontrowersyjny fundusz Loss & Damage (Strat i Zniszczeń). Miałby zostać stworzony przez państwa rozwinięte, by pomóc tym rozwijającym się w walce ze skutkami zmian klimatu, do których nie da się już przystosować. Te pierwsze to G7, czyli siedem krajów odpowiedzialnych za większość historycznych emisji, m.in. USA, Wielka Brytania, Francja, Niemcy. Gospodarki, które spaliły najwięcej paliw kopalnych i na tym zbudowały swoją potęgę. Te drugie to G77, czyli 177 państw rozwijających się, które wyemitowały niewiele, ale są najbardziej narażone na susze, powodzie i cyklony.

Stawka nie jest mała. W 2009 roku na szczycie w Kopenhadze kraje rozwinięte zadeklarowały do 2020 roku przekazywać krajom rozwijającym się 100 mld dol. rocznie w ramach klimatycznego wsparcia. Jednak w 2020 roku było to 68,3 mld, choć Oxfam szacuje, że ta liczba jest mocno zawyżona (nawet o dwie trzecie), ponieważ większość to pożyczki. Fundusz Strat i Zniszczeń oznaczałby jeszcze więcej zobowiązań.

– Jeżeli ograniczylibyśmy emisję wystarczająco szybko, nie musielibyśmy się przystosowywać do zmian, jeżeli przystosowalibyśmy się wystarczająco szybko, nie mieelibyśmy strat i zniszczeń – powiedział CNN Avinash Persaud, doradca premier Barbadosu. – Teraz musimy zrobić wszystkie trzy rzeczy.

Pytanie, kto za to zapłaci, rozbrzmiewa najgłośniej na tegorocznym szczycie. Jeszcze przed rozpoczęciem COP27 sekretarz generalny ONZ Antonio Guterres apelował, że bogate kraje i te rozwijające się muszą podpisać „historyczny pakt”. Inaczej będziemy zgubieni.

W Europie jeszcze tak wiele nie straciliśmy. Może lato było trochę bardziej gorące niż zwykle, a jesień wyjątkowo długa i ciepła. Może wody w rzekach było dziwnie mało, może wymierały ryby w Odrze, ale przecież do końca nie wiadomo, dlaczego akurat teraz zakwitły złote algi. Ale czy naprawdę miało to negatywny wpływ na nasze życie? Woda nie wdzierała się do naszych domów, cyklon nie zerwał nam dachu znad głów. Mało kto nawet słyszał o tym, że tylko w lipcu w Europie zarejestrowano 53 tys. śmierci więcej niż zwykle w tym okresie. Jednak wystarczy spojrzeć na to, co działo się na świecie, żeby wyłonił się zupełnie inny obraz.

W Pakistanie powodzie pograżyły pod wodą mniej więcej jedną trzecią kraju, spowodowały konieczność przesiedlenia 8 mln ludzi, zniszczyły plony i postawiły setki tysięcy ludzi w obliczu głodu. Najgorsze powodzie od dziesięciu lat niszczą także Nigerię, gdzie przesiedlono 1,5 mln osób. Z kolei Półwysep Somalijski czwarty rok z rzędu cierpi z powodu suszy, 22 mln ludzi jest zagrożonych głodem. Już ponad 1 mln z nich opuściło swoje domy.

Termin „straty i zniszczenia” oznacza szkody wywołane spowodowanymi przez człowieka zmianami klimatu. To nie tylko zalane pola uprawne czy zburzona przez cyklon wioska, ale też gorszy dostęp do edukacji, problemy zdrowotne i psychiczne spowodowane kataklizmami, utrata lokalnej wiedzy, jak uprawiać ziemię, czy znajomości technik łowieckich. Najbardziej narażeni są ludzie najbiedniejsi, kobiety, dzieci, rdzenni mieszkańcy dziewiczych terenów. Wystarczy porozmawiać z przedstawicielami lokalnych społeczności, którzy zjechali do Egiptu, żeby się zorientować, że dla wielu walka ze skutkami zmian klimatu to już codzienność.

W Nunaviku, północnej części prowincji Quebec w Kanadzie, klimat ocieplił się na tyle, że tradycyjne szlaki długo nie zama-

głych społeczności w takich ilościach, w jakich są potrzebne. Makivik ma swoje centrum badawcze, ale wciąż musi szukać grantów. A Adamie uważa, że w walkę ze szkodami powinny zaangażować się władze federalne i lokalne. Również finansowo. Tylko wtedy można będzie wprowadzać rozwiązania na większą skalę.

Na wschodnim wybrzeżu Indii w ciągu ostatnich dziesięciu lat coraz więcej wiosek pochłania morze. Ziemia eroduje, woda wdziera się głąb ładu. Ludzie emigrują z przybrzeżnych terenów. To zwykle rybacy albo rolnicy, którzy nie mają już jak zarabiać na życie. – Szczególnie narażeni są ludzie z niepełnosprawnościami – opowiada mi Asha Hans, drobna kobieta w sari, która stoi na czele organizacji Shanta Memorial Rehabilitation Centre. – Jeżeli twojej wioski już nie ma, nie jesteś zarejestrowany w systemie, nie możesz iść do szpitala, ubiegać się o wózek inwalidzki czy leki.

Dramatyczna jest zwłaszcza sytuacja niepełnosprawnych kobiet. Rodziny często ich nie chcą, bo nie mogą wydać ich za mąż, zdarza się przemoc. Organizacja Ashy pomaga im zdobyć pracę i niezależność finansową. – Kiedyś dostawaliśmy pieniądze od władz, potem z zagranicy, jednak teraz darczyńcy się wycofują, bo w Indiach panują coraz surowsze prawa – ubolewa Asha. – Od lutego nie wypłacamy sobie pensji.

Twierdzi, że w Indiach fundusze klimatyczne przeznaczone są głównie na zieloną energię, dosłownie kilka procent trafia do urzędników i można się o nie ubiegać. Asha próbowała na szczycie porozmawiać z indyjską delegacją o sytuacji swojej organizacji, ale została zignorowana. – To dlatego, że jestem tylko obywatelką – mówi z przekąsem. I dodaje: – Gdzie są pieniądze za straty i zniszczenia dla nich?

Wskazuje na zdjęcia kobiet z niepełnosprawnościami, które wykonują „klimatyczną biu-

– Przez ostatnie dwa lata właściwie nie było pory suchej. Jesteśmy rolnikami, a wiele naszych pól jest zalewanych i tracimy podstawę naszej egzystencji – mówi Alma.

Żeby zadbać o bezpieczeństwo żywnościowe Marukawan, organizacja Almy, stworzyła ogród na pobliskiej sawannie. Mieszkańcy wioski wspólnie tam pracują, żeby wspomóc tych, którym powodzie niszczą pola. Tworzą też banki nasion.

Niestety, Wapichan nie mają oficjalnych praw do dużych obszarów swoich tradycyjnych terytoriów, choć walczą o nie od 1967 roku. W każdym momencie mogą zostać stamtąd wyrzuceni, a las wycięty.

– Na szczęście pieniądze na nasze działania dostajemy od organizacji pozarządowych spoza Gujany – mówi Alma. – Rząd raczej by nas nie finansował. Nikt nawet nie konsultuje się z nami w sprawie walki ze skutkami zmian klimatu. A one już wpływają na nasze życie. Dlatego trzy osoby od nas przyjechały do Egiptu. Chcemy, żeby przestrzegano naszych praw.

Z raportu opublikowanego na COP27 wynika, że kraje globalnego Południa potrzebują 2 bln dol. rocznie, żeby przejść na zieloną energię i radzić sobie ze skutkami zmian klimatu. Z etycznego punktu widzenia jasne jest, że kraje rozwinięte powinny się dorzucić. Pojawiają się także głosy, że należałoby umorzyć krajom rozwijającym się długi, które często utrudniają im działanie w obliczu kataklizmów.

Jednak jak sprawić, żeby – zarówno w krajach bogatych, jak i biednych – pieniądze trafiły do społeczności najbardziej poszkodowanych, do oddolnych organizacji, które działają na pierwszej linii walki ze zmianami klimatu? Na szczycie COP27 w Egipcie na koszulkach i maseczkach uczestników przewija się hasło: „Nie ma sprawiedliwości klimatycznej bez praw człowieka”. Trudno walczyć

W 2021 roku wyemitowaliśmy do atmosfery rekordowe 36,3 mld ton dwutlenku węgla.

W tym roku prawdopodobnie znów idziemy po rekord

rzają jesienią i szybko odmarzają wiosną. Społeczności, które żyją z polowań na foki i morsy oraz rybactwa, nie mogą się dostać do terenów łowieckich i obóz rybactwa. – Nie da się już podróżować skuterami śnieżnymi – mówi mi Adamie Delisle Alaku z Makivik Corporation, która reprezentuje Inuitów w Nunaviku. – Musimy zacząć myśleć o nowych sposobach transportu, o tym, jak zapewnić naszym społecznościom żywność – dodaje. Nawet w zamożnej Kanadzie pieniądze nie docierają do odle-

terię” – na przykład niebiesko-srebrny naszyjnik, symbolizujący indyjskie wioski, które zniknęły pod wodą.

W południowo-zachodniej części Gujany, na granicy z Brazylią, powinna właśnie trwać pora sucha. Tymczasem Alma O’Connell z rdzennego narodu Wapichan mówi mi, że w okolicach jej wioski, na samej krawędzi lasu tropikalnego widać raczej powodzie. Żeby się dostać do wioski, trzeba jechać przez sześć godzin szlakami, bo nie ma dróg. Gdy wylewają rzeki, są odcięci od świata.

o najbardziej poszkodowanych bez silnego społeczeństwa obywatelskiego, organizacji pozarządowych, które poprowadzą badania i działania w terenie, dziennikarzy, którzy opiszą niedociągnięcia i nadużycia, aktywistów, którzy zorganizują demonstracje.

Egipt, gospodarz tegorocznego szczytu, może służyć za przykład tego problemu. Na konferencji nie usłyszymy o ekologicznych skutkach przemysłowych megaprojektów władz czy turystycznych inwestycji ani o tym, jak wpływają na życie lokalnych mieszkań-

ców. Oficjalne delegacje nie będą się przecież chwalić swoimi ekologicznymi grzechami. Obnażanie ich to zadanie dla aktywistów i demonstrantów, którzy podczas szczytów opanowują miasto, krzyczą o niesprawiedliwości, hipokryzji i pchają banery z niewygodnymi informacjami prosto pod obiektywy kamer międzynarodowych mediów.

Tymczasem Szarm el-Szejek spowija cisza.

Na koniec odwiedzam jeszcze jedno miejsce. Wsiadam do konferencyjnego ekoautobusu i 20 minut później wysiadam w Green Zone. To teren otwarty dla wszystkich, nie tylko dla uczestników konferencji. Można obejrzeć tam wystawę zwierzątek z plastikowych butelek z recyklingu, posłuchać debat o ekologicznym designie, zrobić sobie zdjęcia na tle podświetlonej fontanny. To tu, zaraz na prawo od wejścia, ciągnie się może dwustumetrowy pas betonu, otoczony płotem i bacznie obserwowany przez kilku ochroniarzy. Jest pusty.

To właśnie miejsce, które władze Egiptu oficjalnie wyznaczyły na protesty społeczeństwa obywatelskiego.

Z tego, co wiem, nikt nie skorzystał z tej oazy wolności. Jedynie we wtorek młodzieżowa organizacja Fridays for Future zorganizowała tu happening, żeby pokazać absurd sytuacji. Mała grupa uczestników trzymała banery z napisami: „Protest autoryzowany” i „Czego się boicie?”.

Poza tym demonstracje w tym roku odbywały się wyłącznie na samym terenie konferencji, który jest chroniony prawem międzynarodowym. Grupy kilkunastu aktywistów (tylko tych, którzy mieli akredytacje ONZ i mogli wejść na teren) szykowały transparenty i organizowały krótkie protesty w przejściach między budynkami. W sobotę, w połowie szczytu, przez teren konferencji przeszedł kilkusetosobowy marsz z transparentami: „Spłaćcie dług klimatyczny” i „1,5 stopnia, żeby przeżyć”. „People united can never be defeated” (Zjednoczo-

Bogate kraje i te rozwijające się muszą podpisać „historyczny pakt”. Inaczej będziemy zgubieni

nych ludzi nie da się pokonać) – skandowali protestujący. W tłumie aktywistów z Oceanii, Amazonii i Afryki szła też Sanaa Seif, siostra Alaa Abd el-Fattaha. Demonstrantom trudno było manewrować w wąskich przesmykach między budynkami, zdarzało się, że musieli zwinąć transparenty, ale i tak trudno się było nie wzruszyć, że się udało.

Wielu uczestnikom szczytu podniosło się też ciśnienie, kiedy domagano się, żeby wyrzucić z konferencji lobbystów paliw kopalnych. „Guardian” doniósł, że na szczyt zjechało ich aż 630, o jedną czwartą więcej niż w zeszłym roku. Oni z pewnością nie mieli problemu, żeby zapłacić za noclegi.

Za rok szczyt klimatyczny odbędzie się w Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, mieście, w którym znajdują się jedne z najdroższych hoteli na świecie, ale nie można krytykować władzy. W przemowie podczas COP27 prezydent ZEA powiedział, że jego kraj będzie „odpowiedzialnym dostawcą ropy i gazu tak długo, jak świat będzie tego potrzebował”. Ciekawe, gdzie w Dubaju społeczeństwo obywatelskie będzie mogło wyrazić swoją skromną opinię, że świat od dawna już tego nie potrzebuje. ●

W momencie oddawania tekstu do druku nie ogłoszono jeszcze ostatecznych ustaleń COP27.

CZUŁE SŁÓWKA

Antywojtylianizm

Nareszcie wojtylianie dostali broń, by walczyć z odjaniepawłaczami. Wróżę im wielką karierę w popkulturze, zwłaszcza w komisie.

Michał Rusinek*

Nie ma się co dziwić, że akurat w Wadowicach prezes Jarosław Kaczyński wygłosił bodaj najdłuższe jak dotąd przemówienie w czasie swojej przedwyborczej pielgrzymki po Polsce. I słowo „pielgrzymka” właśnie w tym mieście jest określeniem całkowicie uzasadnionym.

Przemówienie dotyczyło głównie historii naszego kraju, aczkolwiek zawierało także elementy ekonomii i geopolityki. Zaczęło się oczywiście od wspomnienia Jana Pawła II, który zasłużył na wszystkie najwspanialsze określenia, ale jest teraz obiektem konsekwentnych, brutalnych i skrajnie niesprawiedliwych ataków „za różne grzechy, które nie były jego grzechami”. A to przecież dzięki niemu i dzięki chrześcijaństwu – a także dzięki naszemu narodowemu usposobieniu (cokolwiek by to miało znaczyć) – jesteśmy teraz narodem wielkim. Kaczyński powtórzył wielokrotnie już wypowiedaną tezę, że chrześcijaństwo jest w Polsce jedynym systemem etycznym. Wszystko inne to „nihilizm, barbarzyństwo i różne rodzaje dzikości”. Albo – innymi słowy – lewactwo.

Następnie prezes posłużył się nowoczesnym słowem „agenda”. Agendy zagrażające nam w Unii Europejskiej są dwie. Po pierwsze, niemiecka, czyli antysuwerennościowa, która ma na celu zbudowanie jednego państwa europejskiego oraz ograniczenie wolności i demokracji w Polsce, a sprzyjają jej polityczni przeciwnicy PiS-u, którzy najchętniej mówiliby o nas: „My, mali Polacy, a niektórzy mówią gorzej: Polaczkanie, to gdzie nam tam do Niemców?”. A zdaniem Kaczyńskiego to jest postawa samobójcza. Potrzebna jest wielka Polska, a nie taka, którą pokazuje TVN. Po drugie, agenda lewacka, czyli antychrześcijańska. A nawet – tu prezes błysnął słowotwórczo – „antywojtyliańska”. Nie zdefiniował precyzyjnie tego pojęcia, ale można się domyślić, że istnieje coś takiego jak „wojtylianizm”, czyli kult Karola Wojtyły, „wielkiego człowieka, wielkiego kapłana, wielkiego papieża, wielkiego Polaka”. I nie można wykluczyć, że ta karkołomna konstrukcja słowotwórcza miała za zadanie stać czoło antywojtyliańskiemu określeniu „odjaniepawłać” rozpowszechnianemu przez zatrutą lewackimi miazmatami młodzież. Nareszcie wojtylianie dostali broń, by walczyć z odjaniepawłaczami. Wróżę im wielką karierę w popkulturze, zwłaszcza w komisie.

Właściwie aż dziw, że antywojtylianizm w ogóle istnieje, bo jest nie tylko nihilistyczny, barbarzyński i dziki, ale także pozbawiony zdrowego rozsądku. Walkę z nim prowadził Kaczyński w wadowickim przemówieniu, stosując taktykę pana Twardowskiego: śmieszył, tumaniał, przestraszał. Bez wątpienia tumaniał, mówiąc o reparacjach wojennych od Niemiec, bo można się było zorientować, że szans na ich uzyskanie nie ma, ale chodziło o to, żeby pokazać, że mamy swoją godność. Rzekomo śmieszył, mówiąc o osobach transpłciowych – wiemy nie od dziś, że znajduje szczególne w tym upodobanie. Tym razem dał przykład wykładowcy, który do dwumetrowego, ważącego 100 kilogramów brodacza musi mówić „Zosiu”, bo „chłopak tak chce”, a nie na przykład „panie Rafale”, po czym szybko dodał: „albo panie Janie”. O ile Zosia kieruje naszą uwagę ku wielkiej literaturze romantycznej, o tyle nie trzeba nawet pomocy Freuda, żeby się zorientować, jakiego postawnego, brodatego Rafała podpowiedziała prezesowi podświadomość i dlaczego próbował szybko uspić nasze podejrzenia „panem Janem” („Frère Jacques, dormez-vous?”).

Może to i jest śmieszne, zdaje się mówić Kaczyński (i nie ma racji, bo nie jest, a w każdym razie nie powinno, bo ten karygodny, szyder-



czy śmiech może być tragiczny w skutkach), ale w gruncie rzeczy jest groźne. Tak oto przechodźmy do retorycznego „przestraszania”. Transpłciowość jest – jego zdaniem – sprzeczna z genetyką i Księgą Rodzaju. Edukacja seksualna dzieci jest uświadamianiem dzieciom czegoś, co powinny dopiero poznać, gdy będą dorosłe, bo na skutek jej prowadzenia dwunastoletnie dziewczynki „ogłaszają się lesbijkami”. W angielskiej telewizji dziennikarz nie może powiedzieć, że para mężczyzn nie może mieć dzieci, bo straci pracę. Tymczasem – jak zauważa Kaczyński z przenikliwością filozofów analitycznych – nawet język nie pozwala nam powiedzieć „para mężczyzn”. Na to wszystko, co już się dzieje na lewackim zachodzie, prezes znajduje tylko jedno określenie: szaleństwo. Pożyczył je od anonimowego Amerykanina, zwolennika Republikanów, zaniepokojonego, że edukatorzy seksualni wchodzą do szkoły jego dzieci, który wykrzyknął: „Zatrzymać to szaleństwo!”.

Prawo i Sprawiedliwość będzie się starało spełnić ten postulat: „Nie chcemy takiego kraju”, „Polska musi tego uniknąć”. Stawką w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych jest nie tylko suwerenność, ale też normalność. Jako przykład normalności podał prezes Kaczyński przykład matki szesnaściora dzieci, którą spotkał „na placu przed kościołem” w Wadowicach, dodał, że należało jej przyznać Order Orła Białego. Półżartem, ale pewności mieć nie możemy. Jego zdaniem normalność reprezentuje też premierka Włoch Giorgia Meloni (poznał ją, gdy miała zaledwie 4 proc. poparcia), która „przedstawia się jako: chrześcijanka, Włoszka, matka i kobieta”.

Wybory to walka. Opozycja chce, by ich przebiegu pilnował Komitet Obrony Demokracji, czyli awanturnicy obrzucający zwolenników i polityków PiS-u „jak jajami, to jeszcze dobrze”, bo czasami czymś cięższym. Prezes zapowiedział, że z ramienia PiS-u wyborów będzie pilnować formacja, którą ma zamiar powołać do życia: nie żaden komitet, lecz Korpus Ochrony Wyborów. Brzmi militarnie? Bo tak ma brzmieć! I daję nadzieję na zwycięstwo, które Kaczyński – przyznawszy się, że sam był żołnierzem, bo w jego pokoleniu wszyscy mężczyźni odbywali służbę wojskową – odrząbił nieco ryzykownym nawiązaniem do śpiewanej w stalinowskich czasach „Międzynarodówki”: „Bóg to ich ostatni”. W owym boju bezsprzecznie będzie sprzyjał PiS-owi Bóg, bo w ogóle mu sprzyja, zsyłając taką pogodę, która nie pozwala wyborcom odczuć kryzysu energetycznego i braków węgla. „Si Deus nobiscum, quis contra nos?” – chciałoby się zapytać retorycznie.

Na koniec, odpowiadając na pytania, Kaczyński wrócił do tego, od czego zaczął. Owszem, teraz Unia Europejska jest zła, bo lewacka. Ale na początku była dobra, bo opierała się na chrześcijaństwie. Kiedy niedawno „tworzono tak zwaną konstytucję europejską, to nie można tam było wpisać, że jednym ze źródeł cywilizacji europejskiej jest chrześcijaństwo, chociaż to jest »oczywista oczywistość«” – powiedział prezes, po czym dodał: „Zaraz »Gazeta Wyborcza« się będzie ze mnie śmiała, że mówię »oczywista oczywistość«, ale nie można tego było wpisać, bo to przeszkadza”. Proszę się nie obawiać, Panie Prezesie, nie będziemy się śmiać. Mówił Pan tak już wielokrotnie, a dowcip powtarzany wiele razy przestaje śmieszyć. W ogóle nam nie do śmiechu i raczej jesteście głęboko zażenowani i zniesmaczeni tym, co Pan mówi. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

My, dzieci loterii

• Krzysztof Zanussi na planie „Liczby doskonałej”

FOT. ŁUKASZ BORKOWSKI/LUBELSKI FUNDUSZ FILMOWY

Jeżeli masz do wyboru
coś albo nic,
to co wybierasz?

JERZY SOSNOWSKI*

G

Gdybym miał wskazać artystę, dla którego polsko-polska wojna kulturowa stała się wyjątkowo bolesnym osobistym kłopotem, wymienilbym Krzysztofa Zanussiego. Wierny tematyce metafizyczno-religijnej zaczął być nagle przez liberalną część inteligencji widowni traktowany jako ktoś podejrzanie „kościółkowy”.

Zarazem zawsze europejski i po inteligencju skłonny do zadawania pytań został przez zwolenników „rewolucji konserwatywnej” uznany za wyrzutka nieumiejącego iść noga w nogę z „dobrą zmianą”. A dla publiczności masowej był zanadto wyrafinowany, co wyraziło się powrotem przezwiska „Zanudzi”, jakby bez świadomości, że wymyślił je krytyk, którego nieżyłczość dziwnie zbieżna była z zamówieniem władz PRL.

Z osamotnieniem radził sobie przez ostatnie trzy dekady rozmaicie. Zdążył zadać nam niewygodne pytania w „Stanie posiadania” z 1989 roku, ale film zginął w powodzi politycznych zmian. Nakręcił poruszające „Życie jako śmiertelną chorobę przenoszoną drogą płciową” (2000), docenione nagrodami, czemu jednak towarzyszyły zarzuty „wypreparowania tematu z realnych problemów ludzi”, bo – sam słyszałem! – jego bohater umierał na raka, a powinien być na AIDS...

Nad sarkastyczną komedią „Serce na dłoni” zapadła cisza, gdyż aby z zawartym w niej szyderstwem z filozofii postmodernistycznej się zgodzić lub polemizować, trzeba ją znać lepiej niż niejeden krytyk filmowy. A przy tym zdarzały mu się obrazy przeniknięte osobistą goryczą, jak „Obce ciało”, gdy z kolei nieliczne próby porozumienia się z szeroką publicznością („Opowieści weekendowe”) naznaczone były czytelnym protekcjonalizmem.

O „Liczbie doskonałej” reżyser mówi, że to jego pożegnanie z ekranem. Tymczasem pozostanie ona jednym z najważniejszych filmów Zanussiego. Jakby poczucie, że oto artysta zamyka swój warsztat, uwolniło go z ograniczeń, z troski o box office i o recenzentów.

Otrzymałszy obraz, który można postawić obok jego najznakomitszych dzieł. Pytanie, ilu jeszcze z nas, widzów, zachowało pamięć o „Iluminacji” (1973) i „Barwach ochronnych” (1977), o „Constansie” (1980) i „Imperatywie” (1982) – filmach zadających



fundamentalne pytania: nie społeczne czy polityczne, ale moralne i egzystencjalne.

„Porozmawiajmy serio” – zdaje się mówić Zanussi, każąc aktorom deklamować do kamery, jakie postaci grają. To kino-esej powierza zaledwie trzem postaciom. Prym wiedzie Andrzej Seweryn jako Joachim – odrażający cynik, który uniknąwszy przypadkiem śmierci, o przypadek zaczyna dopytwać. Godnie partnerują mu Jan Marchewski, z brodą upodabniającą go do młodego Roberta Powella z „Imperatywu”, a także (uczesana jak Maja Komorowska w „Cwale”) Julia Latosińska. Między tą trójką zostanie rozegrane starcie trzech odpowiedzi na podejrzenie, że nasze życie nie ma w gruncie rzeczy żadnego sensu.

W powieści Thomasa Pynchona główna bohaterka Edypa Mass zatrzymuje samochód na wzgórzu i patrzy na kalifornijskie miasto. „Przyszła jej na myśl chwila, kiedy po raz pierwszy otworzyła radio tranzystorowe, żeby zmienić baterię, i ujrzała wewnątrz płytkę obwodu drukowanego. Widziany teraz z wysoka, uporządkowany wir domów i ulic zaskoczył ją taką samą nieoczekiwaną jasnością, w obu tych wewnętrznych formach dostrzegła hieroglificzne wzory ukrytych znaczeń, usiłowanie, by jej coś przekazać. Wydawało jej się, że to, co może powiedzieć obwód drukowany, nie ma granic” (przeł. Piotr Siemion).

Z powieści Pynchona wynika sugestia, że doszukiwanie się porządku, a więc sensu i ostatecznie komunikatu w chaotycznej rzece wydarzeń i obiektów, to symptom paranoi. Wszelkie więc Wielkie Narracje, z religijnymi objawieniami na czele, nieodróżnialne są co do istoty od chorób psychicznych.

Przypomina to rozpoznanie „Kosmos” Gombrowicza („Jeżeli to strzałka, to coś wskazuje... a jeżeli nie strzałka, to nie wskazuje”), a także najpopularniejszy chyba wykład światopoglądu postmodernistycznego – „Imię róży” Eco. „By istniało zwierciadło świata, świat musi mieć jakiś kształt” – mówi tam sceptycznie zakonnik detektywu, który, jak wiadomo, odkrywa w końcu sprawcę zbrodni w opactwie... przypadkiem.

„Liczba doskonała” zaczyna się jakby właśnie w tym punkcie. Zanussi, żeby ro-

zegrać partię, przyjmuje założenia przeciwnika. Więc dobrze: przyjmijmy, że za wszelkimi stałymi regułami tego świata stoi probabilistyka, że jesteśmy dziećmi chaotycznej loterii. Pal sześć kłopot z aksjologią, który takie postawienie sprawy za sobą pociąga: zajmijmy się tym, jak jest, a nie tym, jak być powinno i jak zachowywać się należy.

Codziennie na drogach całego świata ginie pewien procent pieszych – wywodzi Dawid, kuzyn cynicznego Joachima. – Ale co sprawia, że w tym procencie jesteśmy lub nie jesteśmy akurat my? Rachunek prawdopodobieństwa wykazuje przewidywalne stałe po przeprowadzeniu odpowiednio długiego ciągu prób, a tymczasem nasze życie jest stawką w jednorazowej próbie. Czy zatem poniżej tego, czym zajmuje się matematyka, nie może zagnieździć się przekonanie, że to, co przydarza się mnie, stanowi jednak dorzeczną opowieść? A jeśli tak, to przez kogo snutą?

Znamienne są warunki, w których odbywa się ta dyskusja. Zanussi jest myślicielem, ale też filmowcem i jego idee przybierają kształt obrazów. Bohaterów oglądamy we wnętrzach zimnych i pejzażach postindustrialnych lub zdziczałych. Na ten świat patrzy się bez czułości, okiem zdystansowanego badacza, dla którego niepokój czy nadzieja są jedynie zakłóceniem obiektywnych danych. Obojętne spojrzenie to odpowiedź na obojętność rzeczywistości; jak to pisał Herbert: „Kamyki (...)/ do końca będą na nas patrzeć/ okiem spokojnym bardzo jasnym”.

W wielu filmach Zanussiego pojawia się duchowny – znak tego, „co nie jest policzalne, jak matematyka, i nie da się ująć w słowa”, by użyć formuły Platona. Ale w „Liczbie doskonałej” nie ma Kościoła, tak jak zanika on – skompromitowany – w świecie nas, widzów.

Jest za to ktoś reprezentujący miłość jak z I Listu do Koryntian, co to „nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego”: Ola, wiecznie czekająca na przebudzenie się w Dawidzie odwagi, żeby zaryzykować i bez rachunków wykonać skok – nie w wiarę, lecz w miłość. Jej obecność trudno przeoczyć nawet w scenach, w których grająca ją Julia Latosińska nie występuje. A w finale filmu możemy nie zauważyć,

że prawdziwy cud odbywa się w związku z Olą, w przestrzeni duchowej.

Żyjemy w obliczu niepewności. Codziennie media informują nas o wydarzeniach, na podstawie których próbujemy przewidzieć przyszłość pogodniejszą niż to, co narzuca się jako oczywiste. Inflacja, brak bezpieczeństwa energetycznego przed zimą, zmienne losy wojny i postępujące szaleństwo kremlowskiego satrapy rysują pejzaż niezachęcający. W tych okolicznościach chciałoby się oszacować możliwości przetrwania.

„Liczba doskonała” rezonuje z naszym zbiorowym stanem ducha. Choć stawia nie małe wymagania: wiele dialogów aż prosi o zatrzymanie biegu filmu i sporządzenie prywatnych przypisów; należy pozbyć się niemałej liczby idiosynkrazji, zwłaszcza do kategorii egzystencjalnych i metafizycznych, które kojarzą się nam nieraz z opresyjnym obliczem religii, jakby to opresja, a nie Dobra Nowina była istotą wielowiekowego (i zniekształcanego przez instytucję) przekazu.

Twórca filmu nie przedstawia się jako belfer, jest zaledwie wędrowcem: człowiekiem (fakt, że czytany), który dopuszcza nas do komitywy zadających pytania. Neoscjentyzm, tzw. nowy ateizm (liczący sobie już ponad trzy dekady) i sceptycyzm zostają przy tym zaatakowane na własnych polach i własną bronią: sposoby myślenia, które szerzyły wątpliwości wobec przyjmowanych tradycyjnie autorytetów, same stają się przedmiotem zwątpienia.

Ale w miejscu ostatecznej odpowiedzi brzmi co najwyżej zakład Pascala, przywołany, gdy jeden z bohaterów rzuca nagle: „Jeżeli masz do wyboru coś albo nic, to co wybierasz?”. Tylko że „coś” nie zostaje tu nazwane, stanowi „mysterium tremendum et fascinans” (tajemnicę przerażającą i przyciągającą), które oglądamy na ekranie w postaci nieskończonych przestrzeni kosmosu czy też nieskończonych ciągów liczb, które nagle utożsamiają się ze sobą. ●

*Jerzy Sosnowski – ur. w 1962 r., pisarz, dziennikarz, publicysta, z wykształcenia historyk literatury. Członek redakcji kwartalnika „Więź”, dziennikarz Radia Nowy Świat
Cały tekst: Wyborcza.pl/magazyn

Z **PAWŁEM NGEIM***,
BADACZEM TECHNOLOGII
I POPULARYZATOREM
SOLARPUNKA,
ROZMAWIA **JAKUB
KIBITLEWSKI**

Niektórzy czytelnicy będą pewnie zaskoczeni, że spotykamy się w przytulnej warszawskiej kawiarni, a nie na squacie. Mówisz o sobie, że jesteś solarpunkiem, ale zamiast wkurzonego anarchisty mam przed sobą erudyte o wyglądzie sympatycznego nerda.

– Nerda z tatuażami elektrowni słonecznych, wodnych i wiatrowych! Wyjaśnijmy to sobie od razu: bycie solarpunkiem to nie styl, ale świadomość skali nadciągającej katastrofy klimatycznej i brak zgody zarówno na wyparcie, jak i na depresyjną apatię. To też przyznanie, że istniejące rozwiązania są niewystarczające i reakcyjne...

Więc skojarzenie z subkulturą lat 80. nietrafione?

– Bynajmniej! Istotą punka, rozumianego jako ruch sprzeciwu, subkultura, estetyka, jest przecież krytyczne podejście do zastanego systemu i podważanie istniejących struktur. Nurty stylistyczne i związane z nimi podgatunki fikcji naukowej, które posługują się przyrostkiem „punk” – jak steampunk, cyberpunk czy solarpunk właśnie – czerpią z punka „właściwego” elementy jego filozofii i estetyki.

Temu „zwykłemu” punkowi czegoś brakuje?

– Punk is dead. Został wypatroszony z treści i sprzedany. Jeżeli chcemy stworzyć krytyczną perspektywę, kulturę rozumnego sprzeciwu, nie możemy iść utartymi schematami. Punki w kulturze popularnej chcą niszczyć istniejące struktury, ale rzadko mają do zaproponowania długofalową alternatywę. Dla mnie świadomy sprzeciw nie może stawiać się tylko w kontrze do głównego nurtu, ale też wobec wyświechtanych sposobów rebelii. Musi próbować zbudować obraz alternatywnej przyszłości, która byłaby spójna i odnosiła się do naszych problemów.

Rzucanie zupą w van Gogha to przykład świadomego i rozumnego sprzeciwu?

– To rodzaj aktywizmu, który ma nieco inny cel – ma oburzyć, przyciągnąć uwagę osób, do których nie docierają subtelniejsze dyskusje o zmianie klimatu. Problem w tym, że o ile wybija on temat na pierwszy plan, o tyle nie utrzymuje uwagi długo – większość osób nie jest w stanie wyobrazić sobie, jak może zareagować na problem katastrofy klimatycznej inaczej niż indywidualnie, podejmując lepsze wybory konsumenckie, bo do tego ogranicza się nasza wyobraźnia sprawczości.

Celem solarpunka jest stworzenie narracji, która pozwoliłaby zarysować wizję świata, w którym np. potrzeba przebudowania miast tak, żeby były dla ludzi, wydaje się czymś naturalnym, a planowane starzenie się produktów jest absurdalne. Tego rodzaju aktywizmu najbardziej nam dziś brakuje: pokazywania, co zamiast naszego obecnego status quo, podtrzymywania uwagi

NUDNE SCIENCE FICTION URATUJE ŚWIAT

Wystarczy filmów o Iron Manie vel Elonie Musku.
Pora na superwidowisko o wikipedystach



• Solarpunkowa wizja odżywalnej wioski zbudowanej na porzuconej platformie wiertniczej

FOT. CC-BY-SA 3.0 COMMANDO JUGENDSTIL

i inspirowania ludzi, którzy rozpaczliwie szukają alternatyw.

Przecież takie alternatywy już istnieją. Segregowanie odpadów, weganizm i elektryczne samochody uważasz za niewystarczające i reakcyjne?

– W bieżących narracjach o przeciwdziałaniu zmianom klimatu dominują rozwiązania przerzucające odpowiedzialność na jednostkę. Jesteśmy zniechęceni do myślenia o rozwiązaniach systemowych. Dyskutujemy o tym, że trzeba się przesiąść na elektryczne samochody, zamiast mówić o rozwoju ogólnodostępnej sieci tanich PKS-ów czy pociągów. Modne są odchodzenie od plastikowych opakowań czy filozofia zero waste, ale dopóki osoby praktykujące te rozwiązania będą głównie jedynie kobietami z wielkich miast, nie doprowadzi to nas do żadnej istotnej zmiany. Doświadczyliśmy tylko złudne poczucie chwilowej ulgi.

Mówisz, że jednostkowe decyzje konsumenckie są bezcelowe, a jednocześnie zielone innowacje sektora prywatnego uważasz za reakcyjną ekościemę.

– To nie tak. Chcę je widzieć jako prototypy, ale nie obwieszczać, że jedna firma, produkt czy nowy trend nas zbawi. Weźmy zaproponowane niedawno kawowe kuleczki do ekspresu opakowane w wodorosty. Jako pojedynczy produkt nie mają istotnej wartości, ale są propozycją technologii, której będziemy mogli używać w różnych dziedzinach życia.

Stawiasz się w roli futurologa?

– Jako programista, haker technolog widzę wokół nas dużo rzeczy pomijanych przez innych. Wielu twórców kultury operuje tylko wyświechtanymi i ograniczonymi symbolami przyszłości, nie wnikając głębiej. Myślmy o cybernetycznych wszczepach, nie zważając na to, że już dzisiaj polskie cyborgi muszą gdzieś wymieniać baterie.

Polskie cyborgi to coś, co trudno sobie nawet wyobrazić. Czyli kolejna abstrakcja.

– Nie wiem, jak dziś wyglądają umowy z NFZ, ale do niedawna nasze cyborgi mogły wymieniać baterie w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie.

Przecież cyborgi to po prostu cybernetycznie wspomagane organizmy. W Polsce już teraz mamy dziesiątki tysięcy ludzi z różnymi implantami mózgu i będzie ich przybywać. Ot, mamy w naszym kraju choćby świetnych ekspertów od neuroimplantologii słuchu. W Jaketa-nach pod Warszawą w 2009 roku wszczepiono pacjentowi pierwszy na świecie stereofoniczny implant słuchu w pień mózgu.

A cyborgizacja, mimo że fajnie wygląda na filmach, realnie niesie całe mnóstwo społeczno-administracyjnych wyzwań, często przyziemnych, jak np. wymiana baterii albo to, że trzeba będzie je brać na NFZ, a wszyscy wiemy, jak wygląda publiczna służba zdrowia. Tymczasem roczny limit baterii przyznawany szpitalom wojewódzkim przez NFZ może pokrywać średnio 25-50 proc. rzeczywistego zapotrzebowania. Już dzisiaj powinniśmy się zastanawiać, jak sobie z tym poradzimy.

Słyszac „cyborg”, dotad wyobrazałem sobie raczej coś w rodzaju Robocopa, bohaterów książek Williama Gibsona czy naszego rodzimego „Cyberpunka 2077”...

– W tym problem – do takich wizji przyszłości przyzwyczaila nas popkultura. Nie słyszałem, żeby jakiś polski serial opowiadał o przygodach cioci Zosi, która dostała pompę insulinową lub protezę nogi z komputerem i nie wie, dokąd iść z nią na gwarancji.

Może dlatego, że takie seriale nie miałyby zbyt dużej oglądalności.

– Przecież w tej historii jest ogromny potencjał dramatyczny. I może działać na wyobraźnię. Wizje wielkich fantastów ostatniego stulecia – takich jak Lem – zainspirowały całe pokolenia naukowców i inżynierów. W niektórych przypadkach – weźmy tablety w „Star Treku” – fikcja stała się bezpośrednią inspiracją kształtu współczesnej technologii, nie tyle przewidując, ile proponując rozwiązania.

Kluczowe jest to, że kultura popularna – książki, filmy, seriale – którą chłonimy na co dzień, zwykle nie pokazuje nam wizji społeczności, które są w stanie coś zmienić. Zamiast współpracy, wspólnotowości formy fabularne promują raczej indywidualizm, gdzie grupa jest sumą jednostek, bo podróże i przemiany wewnętrzne odbywają pojedynczy bohaterowie, ewentualnie drużyny, ale nie społeczności. Zdaję sobie sprawę z tego, że może się to kojarzyć ze złym socjalizmem, szczególnie w Polsce, ale warto się nad tym zastanowić.

Weźmy kino superbohater-skie, gdzie technologia jest zazwyczaj tylko bronią, a rozwój technologiczny nie idzie w parze ze społecznym. Reaktory Iron Mana widzimy jako zasilanie dla jego zbroi, nie generatory zasilające szpitale czy zamienniki elektrowni węglowych. Nie powiesz mi chyba, że opowieści o górnikach tracących pracę przez Tony’ego Starka brakowałoby dramatyzmu?

W dystopijnych scenariuszach w konwencji cyberpunka rola technologii sprowadzona jest z kolei do narzędzia kontroli społecznej lub walki z nią. A to wcale nie musi tak wyglądać! Przykłady społecznie zorientowanych technologii mamy pod ręką. Jednym z największych osiągnięć technologicznych i kulturowych naszej cywilizacji jest to, że prawie każdy z nas ma w kieszeni encyklopedię na praktycznie dowolny temat, dostępną w większości języków świata, całkowicie za darmo, tworzoną przez ludzi, którzy dzielą się swoją pasją do wiedzy.

Wikipedia to też pole nieustających wojen edytorskich.

– Nie mówię, że jest idealna. Ale w swojej istocie to przecież spełnienie marzeń Lema i całych pokoleń pisarzy s.f. Encyklopedia wszystkiego, w każdej kieszeni, za darmo i zawsze! To niesamowite, a nie potrafimy o tym opowiadać w atrakcyjny sposób. Nie mamy języka, żeby przedstawić ludzi, którzy dobrowolnie tworzą, archiwizują i dzielą się wiedzą, jako społeczności, jako prawdziwych bohaterów. W naszej zbiorowej wyobraźni dominują jednost-

ki o wyjątkowych zdolnościach – Iron Man, Batman, Spiderman... Piarowo wykorzystywał to przez lata Elon Musk, którego prawdziwą twarz zaczynamy dostrzegać dopiero teraz.

Jak to wykorzystywał?

– Popkultura przygotowała bardzo mocny fundament pod to, żeby ktoś taki jak Musk mógł zaistnieć w masowej świadomości jako technologiczny zbawca ludzkości. To on jest tym genialnym Tonym Starkiem z „Iron Mana”, który buduje sobie superzbroję, a przy okazji wszystkich nas ratuje. Ciekawe tylko, że jego rozwiązania technologiczne mają raczej na celu zapędzić ludzi w kozi róg opatentowanego i zastrzeżonego systemu, a nie rozwiązać rzeczywiste problemy. Korki w miastach? Wykopmy sieć podziemnych tuneli, którymi będą jeździć samochody. Powinniśmy raczej zapytać: dlaczego nie metro?

Metra nie da się opatentować.

– Otóż to. Musk nie chce rozwiązywać problemów, chce przede wszystkim zarobić. Natomiast to, że tak trudno jest nam wyobrazić sobie narracje o ludziach, którzy naprawdę tworzą technologię i infrastrukturę dla dobra ogółu, jak wikipedyści, pokazuje, że nasza kultura – amerykańsko- i eurocentryczna, zakleszczona w neoliberalizmie i postmodernizmie, gdzieś pomiędzy eskapizmem a fatalizmem – sprawia, że jesteśmy ślepi na to, co się dzieje dookoła nas. Oglądając kolejny algorytmicznie wygenerowany serial i sprzedając naszą uwagę, trudno będzie nam dostrzec historie, które mogłyby wyrwać nas z dominującego sposobu myślenia o przyszłości.

Chcesz, żeby wybór był pomiędzy przytłaczającym serwisem informacyjnym o skutkach powodzi a netflixową „Wielką wodą”?

– Nie uważam, żeby jedyna nadzieja na równowagę emocjonalną leżała dziś w eskapizmie. Nie sądzę też, że „lepiej już było”, a teraz czeka nas samo cierpienie. Powinniśmy przyzwyczaić się do straty, do mówienia o niej, ale musimy myśleć o tym w kategoriach przemiany, nie zagłady.

Musimy zrozumieć, że schematy poznawcze z popularnych narracji mają bezpośredni wpływ na kształt naszej rzeczywistości, a więc i przyszłości. Jeżeli naoglądamy się historii, w których pewne rzeczy będą nie do pomyślenia, z czasem przestaniemy je sobie wyobrażać. Krąg się zamyka.

Mamy przykłady takich przelamujących ten schemat historii?

– I tu wracamy do solarpunka, który jest nie tylko formą aktywizmu. Literacko to względnie nowy ruch próbujący realistycznie odpowiedzieć na pytanie, jak może wyglądać cywilizacja zdolna pokonać i odwrócić zmiany klimatu, żyjąca w zgodzie z naturą i niszcząca planety. Do tej pory powstała garść powieści i antologii krótszych tekstów proponujących specyficzną dla tego gatunku estetykę i perspektywę patrzenia na planetę i nas samych.

Prestiżową nagrodę literacką Hugo dostała w tym roku Becky Chambers za „A Psalm for the Wild-Built”, książkę o mnichu

i świadomym robocie, która zamiast uciekać w pytania o świadomości sztucznej inteligencji, używa ich do filozoficznej dyskusji o miejscu ludzi – i ich tworców – w ekosystemach.

Ruthanna Emrys w „Half Built Garden” wyobraża sobie pierwszy kontakt z obcymi nie w kontekście wojnska i konfliktu, ale społeczności, dyskusji i pokazywania im, jak ludzkość przez XXI wiek nauczyła się doceniać naszą planetę bardziej niż sterylne stacje kosmiczne.

„Walkaway” Cory’ego Doctorowa skupia się na ludziach, którzy odchodzą z systemu i tworzą małe społeczności, które nauczywszy się na błędach hipisów, dzielą się wiedzą, technologią i pomagają sobie niezależnie od ograniczeń geograficznych.

Mamy też wiele antologii – galerii zwięzłych propozycji możliwych przyszłości, jak „Sunvault”, „Solarpunk Summers”, „Solarpunk Winters”, „Rebuilding Tomorrow”. No i wiele klasyków uznanych już autorów uważanych jest za solarpunkowe, jak niejednoznaczna anarchistyczna utopia „Wydziedziczeni” Ursuli Le Guin czy zadziwiająco aktualna „Ecotopia” Ernesta Callenbacha.

Pierwsza antologia używająca terminu „solarpunk” wywodzi się z Brazylii, lecz dziś większość historii jest wciąż tworzona przez osoby z kręgu kultury zachodniej, nawet jeśli mają korzenie poza nią. Czekam na antologię z Afryki Subsaharyjskiej czy Indii. Co ciekawe, ruchem zainteresowana jest nawet chińska akademia science fiction, która zdecydowała się wyświetlić jedną z solarpunkowych konferencji swoim studentom, omijając Wielki Firewall.

To w zasadzie czym różni się solarpunk od innych gatunków s.f.?

– Jako gatunek pozwala na analizowanie społeczeństwa, społeczności i zmian klimatu z bar-

zwierciedlają większe konflikty zagrożenia i nadzieje. Niektóre opowieści są niesamowicie realistyczne i możliwe już jutro, niemal wzywają do działania. Inne – „A Psalm for the Wild-Built” – to bardziej odległa fantastyka eksplorująca pewne założenia filozoficzne na odległej planecie, podobnie do „Bajek robotów”.

Solarpunk wychodzi z założenia, że fikcja naukowa powinna proponować kształt społeczności, wynalazków, struktur, które bazują na możliwych rozwiązaniach, ale w tej chwili wydają się nam zupełnie nie do pomyślenia. W „Manifeście”, który tłumaczyłem na język polski, możemy przeczytać, że „solarpunk uznaje fantastykę naukową nie tylko za formę rozrywki, lecz także za rodzaj aktywizmu”. Świetnie podsumowuje to Neal Stephenson, jeden z najwybitniejszych dziś pisarzy fantastyki naukowej, w eseju „Wygłodniali innowacji”: „To nie inżynierowie, a wy, pisarze, byliście tymi, którzy objali się przez ostatnie dekady!”.

Więc solarpunk domaga się od autorów s.f. po prostu większego optymizmu? Słuszny postulat, ale to chyba zbyt mało, żeby powstrzymać świat przed samozagładą.

– Nie chodzi o sam optymizm – który może być interpretowany jako romantyczna naiwność – ale o zaangażowane i świadome propozycje alternatyw. To wciąż forma fantastyki, a nie gotowe postulaty. Solarpunk nie jest receptą na to, „jak w 10 krokach obalić obecny porządek i zaprowadzić lepsz”. Te historie mają prowokować wyobraźnię polityczną i pokazywać, że można organizować świat inaczej, zachęcając tym samym społeczeństwo do wyobrażania sobie przyszłości, która byłaby osiągalna i niefatalistyczna.

Oczywiście to niesamowicie trudne, bo żeby zaproponować coś, co nie będzie naiwne czy zwyczajnie śmieszne, potrze-

Co w nim złego? Oznacza zrównoważony rozwój.

– Ale to określenie nie zakłada rozwoju. Słownik Cambridge definiuje „sustainability” jako zdolność niewyrządzania krzywdy środowisku, a przez to trwania, podtrzymywania się przez długi czas.

Bardziej adekwatna byłaby „trwalność” albo „podtrzymalność”?

– „Trwalność” zakłada większą statyczność. „Homeostazowalność” byłaby świetna, ale brzmi trochę głupio. Najlepiej pasuje określenie „odżywalność”, bo zakłada, że coś będzie dynamicznie trwało w homeostazie. Jest też za pożyczaniem z innych języków słowiańskich, takich jak rosyjski, czeski czy chorwacki.

No i jeżeli Unia Europejska chce wprowadzić prawo, że to i tamto ma być „sustainable”, to w Polsce z naszym „zrównoważonym rozwojem” nieświadomie zmieniamy część litery prawa – bo przecież Unia nie nakazuje nam rozwijania czegoś, ale podtrzymywanie tego w sposób dynamiczny. Nie mamy na to odpowiedniego słowa, co wpływa nie tylko na kształt prawa, ale też na naszą kulturę i percepcję.

Dużo mówisz o filozofii, języku, głębokich symbolach. Tylko czy te wszystkie historie ciekawie się czyta? Jak opowiesz interesującą historię, skupiając się na bezosobowej społeczności zamiast bohaterach, do których przywykliśmy już od czasów homeryckich?

– Możemy opowiadać o bohaterach będących częścią społeczności, którzy stawiają czoła wspólnym problemom pomimo różnic w swoich partykularnych celach. Wyobraź sobie nowy sezon „Wielkiej wody” dziejący się za 20-30 lat, w którym mieszkańcy regionu nie są tylko ratowani, ale od początku aktywnie współpracują, znają dobrze swoich są-

Fikcja naukowa powinna być źródłem perspektyw, proponować kształt społeczności, wynalazków, struktur, które bazują na możliwych rozwiązaniach, ale w tej chwili wydają się nam nie do pomyślenia

dzo różnych stron. Na przykład Kim Stanley Robinson w „Ministerstwie Przyszłości” i Andrew Dana Hudson w „Naszej wspólnej burzy” opisują procesy globalne, często ustawiając kamerę na obradach ONZ czy międzynarodowych instytucji. Przez ich raporty pokazują ludzkie sukcesy i tragedie, często z bolesną wręcz dosadnością. Inni pisarze, jak T.X. Watson w „The Boston Hearth Project” czy Cory Doctorow w „Walkaway”, skupiają się na pojedynczych społecznościach, które od-

ba jednocześnie ogromnej wiedzy socjologicznej, kulturowej, antropologicznej, ekonomicznej. I wyobraźni językowej, bo solarpunk postuluje zmianę myślenia o przyszłości nawet na poziomie semantycznym. Weźmy cyberpunk – wiele osób zaczyna używać słowa „cyberpunkowy” zamiast „futurystyczny”. Jeśli to cyberpunk staje się domyślnym symbolem przyszłości, mamy poważny problem. Albo słowo „sustainability” w polskim przekładzie.

siadów i sąsiedztwo, zabezpieczają je przed powodzią. Masz wizję społeczności, która nie wypiera istnienia problemów klimatycznych, ale jeszcze jest sprawcza. Bo solarpunk zakłada sprawczość – w kontekście sąsiedzkim, miejskim czy szerszym, regionalnym, państwowym.

I tutaj wracamy do roli samej technologii, bo ze wszystkich gatunków fantastyki naukowej dopiero w solarpunku technologia może być przede wszystkim infrastrukturą – czymś, co nas otacza,

co utrzymujemy razem i co jest tworzone na potrzeby społeczności i społeczeństwa, jak studnia, którą każdy może po prostu zbudować i z której każdy może czerpać. Zamiast sztucznej inteligencji w każdym odkurzaczu solarpunk wyobraża sobie technologię, która jest wystarczająca. Inteligentne obywatelstwo zamiast inteligentnych miast.

Ta powódź to może wydarzyć się wszędzie. Próbuję wyobrazić sobie solarpunkową narrację w kontekście bardziej typowym dla polskiej kultury i historii. Masz pomysły?
– Śląsk! Wyobraź sobie rok 2077. Zamknięto wszystkie kopalnie, a Śląsk stworzył się na nowo jako region specjalizujący się w obsłudze elektrowni wiatrowych. Ślunsko godka stała się ponadnarodowym językiem serwisantów wiatraków, a barbórka – europejskim świętem wiatru.

Wszyscy czytający nas górnicy właśnie zeszli na zawał.
– To jedna z wielu możliwych narracji mająca zilustrować ludziom nadzieję na rozwiązanie nieuniknionych problemów. Ale to nieuniknione, że transformacja, taka czy inna, będzie bolesna, wymagająca od każdego wyobrażenia sobie siebie na nowo, stworzenia całkiem nowej panoramy ekonomicznej i kulturowej, pełna nieudolnie rozpisanych przetargów, wybrakowanych programów społecznych, oszustów czekających na okazję, konfliktów międzypokoleniowych...

I nieuniknionej zbiorowej traumy.
– Jako społeczeństwo nie przywykliśmy do mówienia o stracie jako o czymś, co musimy zaakceptować. Ale klęski żywiołowe i różnej maści kryzysy przecież będą miały miejsce. Możemy natomiast wymyślić, jak będziemy o nich opowiadać pod względem naszej sprawczości. Jeżeli chcemy wiedzieć, jak sobie radzić np. z ogromną traumą wywołaną zmianami klimatu, zapytajmy przesiedleńców klimatycznych z krajów Afryki Subsaharyjskiej. Jeżeli zależy nam na większej spójności, spojrzmy na Kenię, gdzie 63 proc. obywateli jest zaangażowanych w spółdzielnie, które stanowią ponad 30 proc. PKB. I nie mówimy tu o spółdzielniach takich jak w Polsce – mleczarskich, rolniczych, rybackich. To są przede wszystkim banki spółdzielcze, ale prawdziwe, a nie SKOK-i.
O tym się u nas nie mówi, bo przecież Afryka wydaje nam się dzika i obca. Ale jeśli chcemy wyobrażać sobie, jak realnie może wyglądać nasz świat i my sami, powinniśmy spojrzeć na kraje globalnego Południa, bo tam te rzeczy się już dzieją i działają, a ludzie mają je lepiej przepracowane.

Tylko wciąż pozostajemy ludźmi, a więc jednostkami. Czy w takiej opowieści jest w ogóle miejsce na indywidualizm?
– Jak najbardziej! Ale solarpunk nie chce wchodzić w ograne klisze pokazujące wspólnotowość jako zagrożenie dla indywidualizmu, stawiając jednostkę przeciwko społeczeństwu i społeczności. Chodzi raczej o pokazanie, że każdy z nas oprócz bycia odrębną jednostką może identyfikować się ze wspólnotą sąsiedzką, członkami lokalnego klubu fotograficznego, pracownikami tej samej branży i tak dalej.
W tej chwili każde wspomnienie o kolektywizmie wywołuje w nas oburzenie, bo pędzimy myślami do radzieckiego albo chińskiego totali-

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej – szóstej już – edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk kładziemy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają uczyć się wartości, skoro dotychczasowe ich gwa-

ranty: Kościół i rodzina, trzęsą się w posadach?

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. W ramach Tygodnia Jutronautów zapraszamy na wyjątkowe spotkania online. 22 listopada prof. Charles Spence z Oxford University opowie nam o przyszłości

jedzenia. Czy zamiast cukru do potraw będziemy dodawać cyfrowe przyprawy? 23 listopada wybierzemy się w podróż do szkół jutra. A 24 listopada zastanowimy się nad przyszłością metawersum. Premiera codziennie o godz. 18 na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na FB.com/Wyborcza.

PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

Polskie cyborgi mają problem. Ciocia Zosia z implantem mózgu nie wie, gdzie wymienić baterie na NFZ i czy dla wszystkich wystarczy – tak powinniśmy opowiadać o przyszłości

taryzmu, nie zauważając, jak ważne – nawet dla przedwojennej Polski – wartości stracił. Przekłada się to również na prawo, gdzie polska kooperatywa nie jest nawet cieniem niemieckiej czy kenijskiej.

Lokalne tożsamości, tradycja i jej symbole zostały w dużym stopniu zawłaszczane przez skrajną prawicę – to też nie pomaga w budowaniu wspólnotowej narracji.
– Nie zostały zawłaszczane. Zostały jej dobrowolnie oddane przez środowiska nienarodowe na rzecz bezpiecznego, bardziej neutralnego globalizmu bez lokalnego kolorytu. A przecież są całe projekty biorące pod uwagę lokalną tożsamość, jak Śląska Wikipedia czy otwartoźródłowe komiksy i literatura tłumaczone na ślunsko godkę. Wyobrażając sobie Śląsk jako stolicę wiatraków, pokazujemy, jak może się odnaleźć w nowych realiach, w zmianie dzięki swojej tradycji i tożsamości górniczej. Albo weź obśmiewany port lotniczy w Radomiu. Przecież to już też lokalna tożsamość, więc wyobraźmy sobie, że to nie lotnisko, ale fabryka zepelinów! Będziemy mieć nasze własne, radomskie aerostaty Zefir, dumę Polski!

Bodaj Żiżek stwierdził, że łatwiej wyobrazić sobie koniec świata niż koniec kapitalizmu. Co na to solarpunk?
– Solarpunk jest przeciwko kapitalizmowi, ale nie przeciwko wymianie handlowej czy rynkowi. Wymiana handlowa będzie się odbywać, nie wyobrażamy sobie natomiast gield, które pozwalają spekulować i na pustym pomnażać kapitał ludzi, którzy już go mają. Nie ma banków, które mogą stworzyć kolejną bańkę i w ostatniej chwili wyskoczyć. Nie będzie NFT-owych i bitcoinowych oszustw, bo to tylko pozornie narzędzia rozproszone i demokratyczne. To wszystko nie jest konieczne, żeby handel działał, żeby móc wymieniać się dobrami i usługami. Na przykład w powieści „Gamechanger” L.X. Beckett wyobraża sobie

świat, którego wszystkie waluty oparte są nie na standardzie złota, ale węgla: ile dwutlenku węgla uda nam się wyciągnąć z atmosfery, odwracając zmiany klimatu. W ten sposób ceny produktów i usług są zależne od tego, ile energii, szczególnie tej „brudnej”, zużywają. I tak lokalne warzywa będą tańsze, ale na lot międzykontynentalny trzeba zbierać latami.

Większość książek, o których mówisz, nie została przetłumaczona na polski. Mamy w kraju jakieś miejsce lub wydarzenie solarpunkowe?
– Też pytanie. Organizowana przez Instytut Reportażu Szkoła Ekopoetyki promuje formę bardziej wrażliwą i poetycką. Mamy aktywistyczne Extinction Rebellion, wiele mniejszych grup ekologicznych i anarchistycznych z ich własnymi wydarzeniami. Duże instytucje kultury mogą jednak nie być gotowe na tak nowe narracje – rozmawialiśmy w tym roku z Festiwałem Przyszłości Stanisława Lema, ale mimo tematu klimatu i odżywalności postanowili jednak skupić się na partnerach, którzy nie odstraszą sponsorów. Zainteresowanych odsyłam do kanału na YouTube Myśleć Głębiej, który zamieszcza ostatnio bardzo dużo materiałów o solarpunku, do kilku odcinków programów Asi Kaniewskiej z Radia Kapital, jej bloga Dziewiętnaście Czwartych i do Facebooka Ekofikcji. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Paweł Ngei

• jest programistą, hakerem i badaczem technologii w wymiarze inżynierii, kultury i narracji. Od kilku lat współtworzy solarpunka w Polsce i na świecie, współorganizując dyskusje, konkursy, wspierając pisarzy i aktywistów. W tym roku współinicjował SolariseCon 2022, jedną z pierwszych międzynarodowych konferencji dotyczących tego gatunku. Współorganizator Solarpunkowego Konkursu Fikcji Klimatycznej dla młodzieży. Prowadzi bloga Alxd.org

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”

DUŻYFORMAT



Marcin Wójcik pyta, jak się żyje przy granicy

ZA NAMI JUŻ ROSJA

1 ZA NAMI JUŻ ROSJA.

Jak się żyje
na granicy
polsko-rosyjskiej

2 DASZ W SZYJĘ, TRZEŻWIEJESZ NA PUSTYNI.

Co musisz wiedzieć
o Katarze?

3 MŁODZI NAD KRESKĄ.

Coraz dłuższe
kolejki nastolatków
do Monaru

Ewolucja praw człowieka

Kobieta zakochała się w bojowniku ISIS, chce wrócić do Polski. Czy państwo powinno jej pomóc?

Adam Bodnar*



Wyobraźmy sobie Joannę z Polski, która zakochała się w przystojnym Ahmedzie na wyjeździe turystycznym. Przyjechała do niego do Syrii, okazał się bojownikiem ISIS, zginął na wojnie. Joanna urodziła dziecko, trafiła do obozu dla uchodźców. Nie można się wydostać z obozu bez pomocy własnego państwa, a to niespecjalnie się kobietą interesuje.

Ktoś mógłby powiedzieć – jej wina, państwo nie ma obowiązku pomagać każdemu obywatelowi, którego losy splotły się z wydarzeniami historycznymi. Tymczasem kilka tygodni temu Europejski Trybunał Praw Człowieka wydał wyrok dotyczący obywateli Francji, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji. Wielka Izba Trybunału stwierdziła, że na państwie spoczywa obowiązek sprowadzenia obywatela, nawet jeśli wpadł w tarapaty z własnej winy.

Trybunał w Strasburgu wywiódł tu „prawo do repatriacji” z rzadko stosowanego art. 3 ust. 2 protokołu nr 4 do konwencji. Przepis ten stanowi, że nikt nie może być pozbawiony prawa wstępu na terytorium państwa, którego jest obywatelem. Podobny przepis mamy w Konstytucji RP. Zwyczajna jego interpretacja powinna oznaczać, że jeśli obywatel pojawi się na granicy własnego państwa, to nie można mu powiedzieć: stop, panu dziękujemy. Również osoba, której ukradziono dokumenty i pieniądze gdzieś w odległym zakątku świata powinna uzyskać wsparcie od służb konsularnych własnego państwa i móc powrócić do kraju. Wspomnijmy także los obywateli, którzy szybko wracali do Polski na początku fali pandemii dzięki zorganizowanemu przez państwo polskie programowi powrotów lotniczych.

Jednakże w przypadku Joanny sytuacja jest zupełnie inna. Nie może wydostać się z obozu dla uchodźców, nie może kupić biletu na samolot i dostać się do najbliższego konsulatu. Wydostanie się z obozu wymaga aktywnego i ponadnormatywnego zaangażowania jakiegoś zewnętrznego podmiotu. Trybunał w Strasburgu potwierdził, że udzielanie takiej pomocy jest obowiązkiem państwa, które powinno podjąć różnego rodzaju działania dyplomatyczne i praktyczne, aby takiemu obywatelowi rzeczywiście pomóc.

Powyższe orzeczenie jest ciekawym przykładem, jak mogą rozwijać się standardy dotyczące praw człowieka. Nie są stałe – cały czas ewoluują, zmieniają się, uwzględniają nowe sytuacje i potrzeby społeczne. To czasami naraża koncepcję praw człowieka na krytykę, zwłaszcza jeśli zmiany postępują zbyt szybko lub są zbyt radykalne dla opinii publicznej. Dlatego warto się zastanowić, jakie mechanizmy decydują o tym, że pewnego dnia zaczynamy mówić, że w danej sytuacji władze publiczne naruszają konkretne prawa człowieka, choć jeszcze kilka lat temu nie była ona w ogóle postrzegana w tych kategoriach.

Najważniejszą metodą zmiany jest kodyfikacja praw człowieka w dokumentach przyjmowanych przez organizacje międzynarodowe. Od tego się przecież zaczęło – Powszechna Deklaracja Praw Człowieka z 1948 r. określiła, czym w ogóle są prawa człowieka oraz jaki jest ich podstawowy katalog. Z czasem przyjmowane były kolejne umowy międzynarodowe określające prawa i standardy. Są za zwyczaj poprzedzane pracami różnych wyspecjalizowanych organów i instytucji. Dla przykładu: zanim powstała konwencja ONZ o prawach osób

z niepełnosprawnościami, zostały przyjęte liczne deklaracje międzynarodowe, opinie i stanowiska, które wskazywały, jak ważne jest szczególne traktowanie takich osób.

Zdarza się, że koncepcja rozwoju niektórych praw jest promowana przez poszczególne państwa. Na przykład Dania walczy o prawo do pełnej rehabilitacji ofiar tortur, Austria zajmuje się problemem bezpieczeństwa dziennikarzy jako gwarancji wolności słowa, Irlandia promuje standardy dotyczące poszanowania obrońców praw człowieka. Również Polska ma swoje zasługi – mało kto pamięta, że koncepcja ochrony praw dziecka, sięgająca tradycji korczakowskich, zaowocowała przyjęciem w 1989 r. konwencji o prawach dziecka.

Ale jest także druga metoda zmian w zakresie rozumienia praw człowieka – poprzez orzecznictwo sądów międzynarodowych. Tak właśnie, jak się stało w przypadku „prawa do repatriacji”. Sądy międzynarodowe przyglądają się tym najważniejszym umowom międzynarodowym dotyczącym praw człowieka i odnosząc się do konkretnych przypadków, dostrzegają w nich nowe gwarancje dla jednostki. Ten proces nazywa się ewolucyjną interpretacją praw człowieka.

Taka metoda działania jest czasami niezbędna, bo umowy międzynarodowe najzwyczajniej w świecie nie przewidywały, w jakim kierunku rozwinię się nasza cywilizacja. Spójrzmy na europejską konwencję praw człowieka, na podstawie której orzeka Trybunał w Strasburgu. W 1950 r., kiedy powstała konwencja, trudno było przewidzieć, że tajemnica korespondencji obejmuje nie tylko tradycyjne listy, ale także e-maile, SMS-y, billingi telefoniczne czy informacje wymieniane za pomocą komunikatorów. Z kolei przepisy antydyskryminacyjne w konwencji nie wymieniają orientacji seksualnej, stanu zdrowia, wieku czy nawet niepełnosprawności. W wielu państwach demokratycznych osoby homoseksualne były wtedy karane, a osoby niepełnosprawne nie były dopuszczane do pełnego życia społecznego.

W debacie publicznej pojawiają się nowe propozycje praw jednostki. Niemiecki pisarz Ferdinand von Schirach w manifestie „Każdy człowiek” postuluje dodanie sześciu nowych praw do Karty Praw Podstawowych Unii Europejskiej. Najbardziej intrygująca propozycja to „prawo do prawdy” – nie powinniśmy być okłamywani przez osoby, które pełnią urzędy publiczne. Z kolei António Guterres, sekretarz generalny ONZ, zaproponował, aby do 2030 r. powszechny dostęp do internetu stał się prawem człowieka. W niektórych państwach obniża się wiek wyborczy do 16 lat. W jeszcze innych udział w wyborach lokalnych jest ściśle związany ze stałym miejscem zamieszkania, a nie z posiadaniem obywatelstwem. Środowiska osób LGBT+ konsekwentnie domagają się pełnej równości małżeńskiej.

Granicą ewolucji praw człowieka jest poziom akceptacji ze strony społeczeństw demokratycznych. Sądy międzynarodowe mogą sobie pozwolić na postępującą interpretację, tak długo jak nie spotyka się to z nadmiernym sprzeciwem ze strony społeczeństw oraz państw. Bo jeśli sądy przesadzą w swojej progresywności, to muszą się liczyć z ryzykiem obniżenia swojej wiarygodności i legitymizacji społecznej. Sukces organizacji międzynarodowych również mierzy się nie tyle liczbą przyjmowanych umów, ile raczej tym, czy umowy są powszechnie ratyfikowane, szanowane i stosowane przez państwa. Patrząc z perspektywy 33 lat od przyjęcia konwencji o prawach dziecka, jest ona dużym sukcesem.

Przypadek pani Joanny może się obecnie wydawać czymś nowatorskim. Ale prawdopodobnie za 5-10 lat prawo do repatriacji w takich sytuacjach będzie zupełnie oczywiste. Bo ewolucja praw człowieka w gruncie rzeczy służy człowiekowi oraz jest barometrem nastrojów społecznych. Jest ona w istocie wynikiem zwiększającej się empatii i wrażliwości na relacje jednostki z władzą publiczną.

*Adam Bodnar – dr hab. prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji, ambasador inicjatywy „Każdy człowiek” Ferdinanda von Schiracha

Jak zostałam oświeconą homofobką

Nie mówcie do mnie: „socjalizowana do roli kobiety”.

Magdalena Czyż

„Nagrabiłaś sobie w Katedrze Moralności” – napisał do mnie kolega z redakcji, przesyłając mi list od doktorki z Katedry Socjologii Polityki i Moralności Uniwersytetu Łódzkiego.

Niedawno zestawiłam szaleństwo Pospieszalskiego piszącego brednie o zaraźliwości LGBT z obłędem Moniki Strzępki, znanej z mocno lewicowych poglądów, zwracającej się w liście do aktorów Teatru Dramatycznego słowami: „osoby aktorskie socjalizowane do roli mężczyzny”, no i oberwało mi się, a redakcji jeszcze bardziej, za „oświeconą homofobię”.

Dowiedziałam się z tego listu, że zaatakowanie dziwnie wybranej nowej dyrektorki Teatru Dramatycznego w Warszawie, która „jest celem licznych ataków ze strony ultraprawicy, między innymi za sprawą współpracy z Iwoną Demko, promotorką idei inkluzywnego języka”, głęboko zraniło doktorkę z Katedry Moralności.

„Osoby aktorskie socjalizowane do roli mężczyzn” to, jak uważa doktorka z Katedry Moralności, przykład inkluzywnego języka, który ośmieliłam się skrytykować.

Otoż, nie wiedzieć czemu, mam takie poczucie, że gdy jakieś określenie jest narzucane komuś bez jego zgody i ktoś się do niego w najmniejszym stopniu nie poczuwa, to nie ma to nic wspólnego z inkluzywizmem, za to ma wiele wspólnego z agresją.

Jeszcze raz muszę uzmysłowić pani doktor z Katedry Moralności pewną prawdę o świecie: zdecydowana większość ludzkiej populacji składa się z mężczyzn i kobiet! I ci mężczyźni, i kobiety chcą się tak nazywać. Jeśli osoby niebinarne chcą być nazywane socjalizowanymi do jakiejś roli, mają do tego święte prawo, a obowiązkiem przyzwoitego człowieka jest to prawo uszanować. Tak samo jak w przypadku Romów, którzy chcą być określani Romami, a nie Cyganami. Tylko że chyba żadnemu Romowi nie przyszło do głowy nazywać Romem kogoś, kto Romem nie jest i się nie poczuwa.

Nie chcę i nie zamierzam tu obrażać osób niebinarnych, ale zamierzam i z premedytacją to robić w stosunku do tych, którzy konstruują nie do końca przemyślane określenia językowe (i jeszcze do tego głupio brzmiaće), a jeszcze bardziej tych, którzy bezrefleksyjnie i na siłę je wdrażają, nie rozumiejąc prostego faktu, że nie zawsze pasują do obiektu, który próbują określić.

Pamiętam, jak przed laty trafiłam na tekst wybitnego chrześcijańskiego teologa Karla Rahnera o „anonymowych chrześcijanach”. Rahnerowi, zwolennikowi inkluzywizmu religijnego, chodziło, mówiąc w skrócie, o to, że chrześcijaninem może być ateista, nie wiedząc o tym, że jest chrześcijaninem. Ponieważ nieświadomie podąża drogą za Chrystusem, chociaż nie rozpoznał go w Kościele instytucjonalnym. Rahner nazywa takiego ateistę właśnie „anonymowym chrześcijaninem” (bądź nieświadomym, w zależności od tłumaczenia).

Domyślam się, że i Monika Strzępka, i doktorka z Katedry Moralności, gdyby usłyszały, że są anonimowymi, nieświadomymi chrześcijankami, głośno by – razem ze mną – zaprotestowały. I nie dlatego, że określenie „chrześcijanka” jest obraźliwe, ale dlatego, że poczułam się przez Rahnera potraktowana jak bezrozumne, głupie, nieświadome siebie zwierzę. Nawet jeśli Rahner nie miał takich intencji. Bo nie miał.

Dlatego uważam, że zestawienie prawego szaleństwa Pospieszalskiego z lewym obłędem Strzępki jest jak najbardziej zasadne. Oboje próbują zmusić mnie do założenia butów, które na mnie nie pasują. Pospieszalski robi ze mnie Polkę katoliczkę, a Strzępka i jej podobni robią ze mnie osobę socjalizowaną do czegoś tam.

Jeśli wszystkim, co powyższe, nadal zasługujemy, ja i redakcja, według doktorki z Katedry Moralności na potępienie za „oświeconą homofobię”, to jej odpowiadam, że mam to w swojej „oświeconej”. Nie wiem, gdzie to ma redakcja.

Z siostrzanym pozdrowieniem! ●

PS Zdaje się, że Putin również w ramach podobnie rozumianego inkluzywizmu uważa Ukraińców za nieświadomych Rosjan, i on właśnie od ośmiu miesięcy ich uświadamia.

Rada Polityki Pieniężnej postawiła na szokowy wzrost oprocentowania.

A żelazną zasadą w gospodarce jest, że jeśli zmiany są wprowadzane łagodnie, stopniowo, obywatele i przedsiębiorcy mają czas na dostosowanie się

Ale wiecie o tym, że gdyby Balcerowicz był prezesem NBP zamiast Glapińskiego i gdyby w RPP zasiadały osoby o podobnych do niego poglądach, to nie mielibyśmy tak wysokiej inflacji? Wystarczy przeanalizować decyzje Balcerowicza, gdy pełnił tę funkcję – napisałam na Twitterze – i zaczęło się. Moja uwaga doczekała się rekordowej liczby komentarzy. Krytyka płynęła ze strony sympatyków PiS i środowiska, które określiły na użytek tego tekstu młodą (ale nie tylko) lewicą.

Wątpliwości przedstawił też znany analityk i komentator gospodarczy Piotr Kuczyński: „Prawda – byłaby niższa – zamiast 17 proc. np. 12, wzrost PKB znikomy, a stopa bezrobocia 2x wyższa” (teraz inflacja wynosi już prawie 18 proc.). To z kolei zakwestionowali ekonomiści związani z FOR, think tankiem Balcerowicza, którzy podnosili, że taka prognoza jest błędna, natomiast dziś płacimy wysoką cenę za szokowe podnoszenie stóp w szybkim tempie. I co ciekawe, mimo całej serii podwyżek stóp procentowych bezrobocie w sierpniu wyniosło 4,9 proc. – to najniższy odczyt od 30 lat. To klóciłoby się trochę z tezą Kuczyńskiego. Bo skoro taki szok nie wywołał dużego wzrostu bezrobocia, to dlaczego miałoby je wywołać ewolucyjne, rozłożone w czasie podnoszenie stóp procentowych?

Młoda lewica na hasło „Balcerowicz” jęknęła i zaczęła snuć katastroficzne wizje, jakie to plagi egipskie spadłyby na Polskę, gdyby rządził w NBP. Bo przecież plan Balcerowicza wpędził w biedę polskie rodziny w latach 90., a potem sprowadził na nasz kraj kolejne nieszczęścia: hamował wzrost, wprowadzał ideologię neoliberalną, podtrzymywał bezrobocie, zubożył społeczeństwo.

Warto się nad tą debatą pochylić, bo zdradza potężną niewiedzę.

Specjalnie posłużyłam się nazwiskiem Balcerowicza, bo wiedziałam, że to zadziała jak płachta na byka, przykuje uwagę i zmusi do dyskusji. Posłużyłam się klikbajtem w zbożnym celu, żeby pokazać, że populistyczna polityka gospodarcza ostatecznie uderza w tych, którym niby ma służyć – ludzi z dołu społecznej drabiny finansowej. Jest jak ptys z kremem, który przez chwilę daje zastrzyk energii, ale potem szybko przychodzi osłabienie, o ile nie zjemy czegoś bardziej wartościowego. Naprawdę w interesie najuboższych działają ci, którzy stawiają na stabilizowany wzrost gospodarczy oparty na trwałych fundamentach, a nie na bańkę spekulacyjną i przegrzaną gospodarkę oraz zadłużanie się bez umiaru.

Nie ma żadnego powodu, aby idealizować ekipy rządowe III RP, począwszy od roku 1989. Lista ich błędów jest bardzo długa (choć w zależności od tego, kto by ją układał, jej składniki byłyby różne). Niemniej

opowieść na temat lat 90., która zdaje się coraz bardziej popularna szczególnie wśród młodzieży lewicowej, nie ma nic wspólnego z prawdą. Młodzi nie wiedzą, jak wyglądało życie Polaków w latach 80. Walka o papier toaletowy, puste sklepy, cukier, mięso i wędlina na kartki, które i tak niewiele dawały, bo towaru nie było. Na półkach stał ocet. To nie kabaret ani komedia, tak było. Ekipy solidarnościowe przejęły państwo, które zbankrutowało. Rządy Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego działały w skrajnie trudnych warunkach. To prawda, że dla wielu Polaków transformacja był traumą, ludzie ledwo wiązali koniec z końcem, rosło bezrobocie. Tyle że to nie Balcerowicz był temu winny, ale długoletnie rządy PZPR. Socjalizm z centralnie pla-

ster pracy Jacek Kuroń stworzył cały system osłon: wypłacane bardzo długo zasiłki, wcześniejsze emerytury i powszechne renty. Wszystko po to, aby łagodzić szok transformacji.

„Wprowadzone 1 stycznia 1990 r. przepisy dotyczące przyznawania zasiłków dla bezrobotnych były bardzo liberalne. System ten nie motywował do poszukiwania i podejmowania nowej pracy, a wręcz prowokował do nadużyć” – pisali w swojej analizie Małgorzata Ratuszniak i Tadeusz Olejarsz. Potem oczywiście te przepisy były korygowane, by pomoc była lepiej adresowana.

– Próbowaliśmy też ochronić ludzi przed bezrobociem, dając im możliwość przejścia na wcześniejszą emeryturę z powodu upadłości zakładu pracy – mówiła w „Rzeczpos-

BYŁO SŁUCHAĆ BALCEROWICZA

Populistyczna polityka gospodarcza uderza w tych, którym niby ma służyć – ludzi z dołu drabiny

Dominika Wielowieyska

nowaną gospodarką był skrajnie niewydolny. Nieprzytomne zadłużanie się za czasów Edwarda Gierka przyniosło kryzys lat 80. Młodej lewicy przypomnę też, że PRL prowadził politykę rabunkową i dewastującą, jeśli chodzi o ochronę środowiska.

To komuniści byli odpowiedzialni za ubóstwo Polaków. Owszem, można było przeprowadzić reformy w czasie stanu wojennego, ale generał Jaruzelski nie zrobił nic. W drugiej połowie lat 80. ekipy rządzące postanowiły wprowadzić wolny rynek bez żadnych reguł. Uwolniono ceny i inflacja zaczęła rosnąć lawinowo. Ten chaos odziedziczył rząd Mazowieckiego. Balcerowicz zastąpił socjalistyczną gospodarkę na wolnorynkowe tory, co było bolesne. Jednak nie wyszlibyśmy z transformacyjnego dolka, gdyby nie darowano nam połowy długów. Nie musieliśmy ich spłacać, bo Polska miała plan reform uznawany przez zachodnich wierzycieli, instytucje i banki komercyjne za wiarygodny.

Twierdzenie, że w Polsce w pierwszej połowie lat 90. wprowadzano model neoliberalny, jest wierutną bzdurą. Mini-

politej” Irena Wóycicka, która współpracowała z Kuroniem. Balcerowicz nie był tym zachwycony, a liberalowie burzyli się, że przez Kuronia hamowany jest rozwój Polski, bo te wydatki bardzo obciążały budżet, a byliśmy bardzo ubogim krajem i brakowało pieniędzy na inwestycje. Niemniej socjalne przepisy obowiązywały.

Zresztą po jakimś czasie ten system stał się patologią: Polska miała tłumy najmłodszych w Europie emerytów oraz rencistów, z których część jak najbardziej była zdolna do pracy. Następne rządy starały się ten system reformować. Robili to rozsądnie m.in. wicepremier Jerzy Hausner, członek lewicowego rządu SLD-PSL, potem Michał Boni i Agnieszka Chłoi-Domińczak. Ci politycy i urzędnicy wykonali tytaniczną pracę, aby zracjonalizować i lepiej adresować wydatki socjalne. Ale Kuroń też miał rację, upierając się przy swoich rozwiązaniach na początku lat 90., bo koszty społeczne transformacji były potężne nawet z tymi osłonami socjalnymi. Kuroń jeździł po Polsce, słuchał ludzi i tłumaczył zmiany na spotkaniach i w czasie pogadek telewizyjnych. Budził zaufa-

nie. Transformacja udała się w dużej mierze dzięki niemu, choć on sam – widząc 20-procentowe bezrobocie – zaczął mieć pod koniec życia wątpliwości. Zmarł w 2004 roku, ale gdyby żył dłużej, zobaczyłby, że jego polityka przyniosła dobre owoce.

Piszę banały, które dla znawców historii gospodarczej Polski są oczywiste, ale dla młodzieży nie. Nie ma co idealizować III RP, ale trzeba zachować proporcje w krytyce. Bo alternatywą była trzecia droga, którą zastosowano na Białorusi i w Ukrainie. A liczby nie pozostawiają wątpliwości: Polska w ciągu ostatnich 30 lat – mając fatalny punkt startu, gorszy od naszych sąsiadów – zanotowała największy wzrost PKB nie tylko w regionie, ale także w Europie. W latach 1989–2018 PKB wzrósł o 826,96 proc. i był to najlepszy wynik na naszym kontynencie. Nie ma empirycznego dowodu, że ktoś w podobnych warunkach wobec takiej katastrofy gospodarczej poradził sobie lepiej. Oczywiście zawsze można powiedzieć, że mogło być lepiej. Tyle że to nie zależy tylko od polityków, ale również od całego społe-



FOT. ELIZA OLEKSY / AGENCJA WYBORCZA.PL



czeństwa: jego produktywności, uczciwości w płaceniu podatków i innowacyjności.

Zeby była jasność: w wielu sprawach z Leszkiem Balcerowiczem się nie zgadzam. Byłam przeciwna podatkowi liniowemu, system podatkowy powinien być progresywny. Nie zgadzałam się z nim wielokrotnie, jeśli chodzi o politykę społeczną, choć przez te lata i on przeszedł pewną ewolucję i nie jest już tak bezwzględny liberalnym. Poglądy Balcerowicza mogą się nie podobać, tym bardziej że często wypowiada je w sposób apodyktyczny, ale to nikogo nie zwalnia z uczciwej oceny jego dorobku.

Przejdźmy do lat 2001-07, kiedy był prezesem NBP. W tym czasie promował ostrożną politykę fiskalną, aby uniknąć bańki spekulacyjnej. Do 2007 roku nadzór nad bankami sprawował NBP. Dopiero potem powstała Komisja Nadzoru Finansowego. Do 2007 roku ekipa Balcerowicza trzymała banki krótko, kluczowe było zachowanie systemu bankowego we względny zdrowiu i unikanie nadmiernego ryzyka.

NBP już od 2004 roku ostrzegał przed ryzykiem związanym z udzielaniem kredytów walutowych, ostrzegał przed nimi także były premier Jan Krzysztof Bielecki, zalecając, by brać kredyty w walucie, w której się zarabia.

W 2006 roku weszła w życie „Rekomendacja S” ograniczająca udzielanie kredytów mieszkaniowych denominowanych w walucie obcej. Ostro skrytykował ją pierwszy rząd PiS, oskarżając NBP o hamowanie akcji kredytowej, i zabrał nadzór bankowy spod kurateli banku centralnego.

Tymczasem „Rekomendacja S” to zbiór zasad dobrych praktyk w bankach udzielających kredytów hipotecznych. Dokument podpisał Wojciech Kwaśniak, generalny inspektor nadzoru finansowego, kolejna postać, której Polska bardzo wiele zawdzięcza. To on badał przekrety SKOK-ów i został ciężko pobity. Zleceniodawcą miał być według śledczych Piotr P., były oficer Wojskowych Służb Informacyjnych i członek rady nadzorczej SKOK-u Wołomin. Sprawa jest w sądzie. Mało tego, prokuratura kontrolowana przez PiS zatrzymała Kwaśniaka, stawiając mu zarzuty. Na szczęście sąd uznał

zatrzymanie za bezzasadne, niemniej to lekcja, jak państwo traktuje urzędników, którym zawdzięcza tak wiele.

Jaki był sens działań Kwaśniaka? Taki, aby nie rozdawać na lewo i prawo kredytów osobom, które nie mają zdolności kredytowej, bo „mogłoby prowadzić do nieuzasadnionego wzrostu cen nieruchomości, a tym samym do pogorszenia sytuacji przeciętnych gospodarstw domowych na rynku nieruchomości, które musiałyby zaciągnąć wyższe zobowiązania”, by kupić jakiegokolwiek mieszkanie. Mieszkaniowa bańka spekulacyjna była właśnie źródłem kryzysu w 2008 roku, którego Polska tak dotkliwie nie odczuła. A ja widziałam, co się działo w Bułgarii, gdzie mam rodzinę. Kryzys uderzył tam w wiele osób jak tsunami, bo bańka mieszkaniowa była napompowana do granic możliwości. Straciły nie tylko kupiony na kredyt dom, ale także cały dorobek życia. I było to zjawisko częste.

Działania NBP były zaledwie jednym z wielu czynników. Pomóc mogło to, że PiS za pierwszych rządów obniżył podatki, co stymulowało słabnącą gospodarkę rok później. Trzymanie w ryzach długu publicznego ułatwiła decyzja rządu PO-PSL o okrojeniu OFE, która wbrew propagandzie nie zabrała obywatelom pieniędzy z ich kont emerytalnych; są zarejestrowane na kontach w ZUS.

Gospodarka przetrwała ten kryzys także dlatego, że w artykule 216 konstytucji zapisano: „Nie wolno zaciągać pożyczek lub udzielać gwarancji i poręczeń finansowych, w następstwie których państwowy dług publiczny przekroczy 3/5 wartości rocznego produktu krajowego brutto”. To właśnie dlatego, że nasz dług publiczny był trzymany na uwięzi, nie zaliczyliśmy zapaści, która była udziałem innych krajów. Zaraz, zaraz, a kto to naciskał, aby ten limit wprowadzić? Czy nie przypadkiem frakcja balcerowiczowska?

W kryzysie 2008 roku bank centralny robił to, co do niego należało. Za czasów Balcerowicza inflacja była trzymana w ryzach, po tym jak skutecznie obniżyła ją ekipa Hanny Gronkiewicz-Waltz, waluta była stabilna, komunikacja i wiarygodność banku bardzo dobre. Nie było sztucznego pom-

powania wzrostu gospodarczego. Podobnie było za Marka Belki. Często koncentrujemy się na wysokości stóp procentowych, ale polityka informacyjna NBP jest równie ważna: ma wpływ na zachowania gospodarcze. I na tym polu Adam Glapiński zawalił sprawę totalnie, wprowadzał ludzi w błąd, nakręcał inflację.

Działania poszczególnych prezesów NBP i RPP widać na infografice Rafała Mundrygo, który napisał na Twitterze: „Glapiński zafundował nam złotą erę niskich stóp. Równo 5 lat wynosiła 1,5 proc. Za długo. Przyzwyczail nas do taniego pieniądza. I odzwyczail od ryzyka. A dziś funduje terapię szokową wzrostu stóp. Dziś za to płacimy, płacimy za politykę”. Wzrost rat kredytów nie byłby tak szokowy i byłby mniejszy, gdyby RPP reagowała wcześniej.

Wtwitterowej dyskusji pojawił się zarzut, że konserwatywna polityka RPP przyczyniała się do wzrostu bezrobocia. Przed wejściem do Unii było bardzo wysokie, ponad 20-procentowe w 2003 roku. Ale od momentu akcesji zaczęło systematycznie spadać. Gdy Balcerowicz odchodził z NBP jesienią 2007 roku, wynosiło ok. 11 proc. Wzrosło w czasie kryzysu finansowego, ale potem spadało dalej za czasów rządu PO-PSL, choć następca Balcerowicza Sławomir Skrzypek nie zmienił kursu. Jak to pogodzić z tezą, że ta strategia generuje bezrobocie? Mogło być mniejsze? OK, ale wystrzeliłoby mocniej w czasie kryzysu 2008 i w jego kolejnej odsłonie 2013 roku, gdybyśmy napompowali bańkę spekulacyjną. Z powodu kryzysu finansowego stopa bezrobocia w Hiszpanii wzrosła aż o 15 pkt proc. – z 11 do 26 proc.!

Oczywiście nie można zapominać, że do obniżenia bezrobocia przyczyniło się otwarcie rynków pracy w innych krajach UE. Poza tym z biegiem lat w Polsce zaczęło brakować rąk do pracy, pogłębia się kryzys demograficzny. Zazwyczaj jest wiele czynników, które mają wpływ na jakieś zjawisko. Niemniej irytuje mnie, że w Polsce nie docenia się tych urzędników, którzy prowadzili rozsądną, ostrożną politykę.

Dziś widać to szczególnie. Adam Glapiński wraz z Radą Polityki Pieniężnej powoła-

ną przez PiS zlekceważył inflację w kwietniu 2021 roku. Powtarzał, że jest przejściowa, i trzymał stopy na rekordowo niskim poziomie. Zakładał, że odbicie postpandemiczne jest zbyt słabe i nie można dusić wzrostu. Po prostu się pomylił, ale nie chce się do tego przyznać. Mówił wielokrotnie, że drożyzna nie będzie i stopy procentowe zostaną na tym samym poziomie. To podważyło zaufanie do banku centralnego i ma poważny wpływ na nakręcanie się inflacji. Dziś Glapiński wszystko zwała na wojnę. Ale w kwietniu 2021 roku nie było wojny ani manipulacji Putina na rynku gazu. Natomiast inflacja zaczęła ostro rosnąć.

A co w maju zeszłego roku mówił Balcerowicz? – Jeżeli inflacja przekracza 4 proc., a stopy procentowe są bliskie zera, to w ciągu roku traci się mniej więcej 4 proc. realnej wartości oszczędności – przekonywał w „Faktach po Faktach” TVN. Mówił wtedy, że polityka niskich stóp amerykańskiego banku centralnego FED jest błędna. I wyszło, że miał rację: po jakimś czasie amerykański bank centralny przeprosił, przyznał, że się pomylił w ocenie inflacji i prowadził złą politykę. Polski NBP dalej głosi legendę o swojej nieomyślności.

Podczas debaty „Inflacja jako zagrożenie dla rozwoju gospodarczego” w czasie Europejskiego Kongresu Finansowego w Sopocie we wrześniu zeszłego roku Marek Belka i Jerzy Hausner tłumaczyli, że polityka gospodarcza, która głównie wspiera konsumpcję, a nie inwestycje nie służy długoterminowemu i stabilnemu wzrostowi. – Banki centralne mają dwojakiego rodzaju broń, żeby zachować stabilność cen. Pierwsza to stopy procentowe. Kiedy ceny rosną, mogą je podnosić, żeby schłodzić gospodarkę, podnosząc cenę pieniądza. Druga to opowieść o tym, jakiej inflacji oczekują. Kiedy ludzie w nią uwierzą, to bankom centralnym udaje się zarządzać oczekiwaniami inflacyjnymi. Jeśli jednak są one zbyt mało wiarygodne, to oczekiwania inflacyjne wymykają się im spod kontroli – mówił prof. Belka.

A Balcerowicz tradycyjnie wzywał do podnoszenia stóp. W zeszłym roku mówił w „Wyborczej”: – Odpowiedzialne banki centralne są po to, by reagować na niebezpieczeństwo inflacyjne. To taki moment, kiedy należy działać, tzn. podwyższyć stopy procentowe. Manifestacyjna bierność szefa NBP może powodować, że ludzie jeszcze bardziej będą się bać dalszych podwyżek cen, czyli może być to samospełniającym się proroctwem.

Ale Rada nie zmieniła wtedy nastawienia. Obudziła się dopiero w październiku. I nastąpił szokowy wzrost oprocentowania, uderzający mocno w kredytobiorców. Tymczasem żelazną zasadą w gospodarce jest to, że jeśli zmiany są wprowadzane łagodnie, stopniowo, obywatele i przedsiębiorcy mają czas na dostosowanie się i otoczenie przyjmuje je bezkolizyjnie. Słyszę, że co to za różnica, bo może inflacja nie wyniosła ponad 17 proc., tylko 12. Osoby zamożne mogą tak mówić, ale powiedzcie to tym, którzy dostają najniższą emeryturę albo zarabiają płacę minimalną. I jak słyszę, gdy Jarosław Kaczyński wraz z Glapińskim opowiadają, że oni nie będą zacieśniać tej polityki, bo dla nich się liczy człowiek, to pytam, który człowiek? Ten, który z niską emeryturą boryka się dziś z taką drożyzną?

Dlaczego odwołałam się do przypadku Balcerowicza i tego, jak opinia publiczna postrzega jego działania? Bo chciałam pokazać, że posunięcia, które wielu uważa za niekorzystne dla osób najmniej zarabiających, tak naprawdę je chronią. Bo drożyzna uderza głównie w ludzi niezamożnych. Gospodarce służą działania ewolucyjne i unikanie takich szoków jak obecny.

Dlaczego namawiam do zachowania proporcji w krytyce III RP? To nie oznacza – jeszcze raz powtarzam – że mamy być bezkrytyczni i cokolwiek idealizować. Namawiam do tego, bo zafalszowanie historii buduje poparcie dla rozmaitych utopii, które prowadzą społeczeństwo do ubóstwa. ●

KATOLICKI UNIWERSYTET LIZUSOSTWA

Kiedyś był to uniwersytet. Później tylko katolicki. A dzisiaj zaledwie lubelski



PAWEŁ
SMOLEŃSKI



FOT. TADEUSZ/ROLKE AGENCJA WYBORCZA.PL

Półowa lutego 2021 r. w Szczecinie zmarł ks. Andrzej Dymier, seksualny drapieżnik i pedofil. Jego winy Kościół znał od ćwierć wieku, lecz był chroniony przed odpowiedzialnością m.in. przez abp. Andrzeja Dzięgę, od 2009 r. szefa metropolii szczecińsko-kamieńskiej. Dymier był ceniony, bo umiał zdobywać pieniądze.

Dzięga, z wykształcenia prawnik, to profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, był nawet dziekanem wydziału prawa. W 2002 r. Jan Paweł II mianował go biskupem sandomierskim. Tam również odkryto przestępstwa pedofilskie, wobec których Dzięga nie wszczął postępowania, a jedynie

przeniósł oskarżonego księdza na drugi koniec diecezji, gdzie był proboszczem i uczył religii w szkole podstawowej. W śledztwie zaginął kluczowy dowód – nagranie. Sprawdzano, czy za zaginięcie, ukrycie lub zniszczenie nagrania odpowiada arcybiskup. Nie udało się tego wyjaśnić.

Żeby było zabawniej, tenże Dzięga przewodniczył radzie prawnej, która przygotowywała wytyczne Episkopatu, jak postępować w przypadkach wykorzystywania małoletnich przez duchownych. Pierwsze instrukcje uchwalono w 2009 r., lecz ich nie opublikowano. Zaważyło zdanie arcybiskupa, który uznał to za zbędne.

Dzięga był również kanclerzem kurii polowej, ma stopień pułkownika. Kurii szefował wówczas abp Sławoj Leszek Głódź, generał, a wtedy także metropolita gdański. Został ukarany przez Watykan za krycie pedofilów, obłożony zakazem mieszkania w swojej byłej diecezji.

Zbigniew Nosowski, naczelny miesięcznika „Więź”, socjolog i teolog oraz działacz katolicki, pisał: „W kwietniu br. [2022] metropolita szczecińsko-kamieński odebrał na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Nagrodę im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego Prymasa Tysiąclecia. Nagrodę przyznało abp. Dziędze Stowarzyszenie Absolwen-

tów i Przyjaciół Wydziału Prawa KUL, którego prezesem jest ks. prof. Mirosław Sitarz, prawnik kanonista, prorektor KUL, a także obrońca oskarżonego o wykorzystywanie małoletnich szczecińskiego duchownego ks. Andrzeja Dymiera w karnym procesie kanonicznym”. Dodatkowo Sitarz jest pełnomocnikiem Dzięgi w sprawie o ukrywanie przestępstw seksualnych toczącej się w diecezji pelplińskiej, w metropolii gdańskiej.

– Dzięga zna Sitarza jeszcze z czasów lubelskiej uczelni – mówi ksiądz posługujący wiele lat w Lublinie. – Mógł wpływać na dochodzenie pelplińskie, bo zna się z Głódziem jesz-

cze z wojska. Obu obwiniono o krycie pedomilów, więc mają inne wspólne doświadczenie. Tak działa mafia.

- Powie to ksiądz pod nazwiskiem?
- Nie.
- Dlaczego?
- Dziega to filar Episkopatu, KUL jest pod szczególną protekcją Kościoła i władzy, ministra Czarnka. Znają się jak w rodzinie Corleone.
- To wpływowa oraz majątna sitwa
- dopowiada absolwent KUL, profesor.
- Tak wygląda polski Kościół pchający się do polityki i narodowo-katolicka władza, więc KUL jest taki sam. Nie zbuduje sobie naukowej pozycji i przyszłości, ale na pozór ma się świetnie, rząd daje pieniądze, np. na wydział medyczny. Może będą nauczać, że in vitro jest złe, a kalendarzyk małżeński dobry.

Lubelski uniwersytet powstał przed wojną jako uczelnia prywatna. Utrzymywał się z prywatnych i państwowych funduszy. Był pierwszym działającym uniwersytetem na terenach wyzwolonych spod niemieckiej okupacji. Pracowali tam profesorowie z kresowych uczelni Jana Kazimierza i Stefana Batorego.

Ale – czytam w Wikipedii – „w 1949 roku zabroniono przyjmowania nowych studentów na niektóre świeckie kierunki, pozabawiono funkcji rektora ks. Słomkowskiego – za to, że nie chciał zalegalizować na uczelni komórki młodzieżowej organizacji komunistycznej. Uniwersytet był stale inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa, utrudniano życie studentom i wykładowcom, cenzurowano publikacje uczelni. Dopiero lata 90. przyniosły poprawę sytuacji”.

To wielce nieprawdziwe. KUL wcale nie podlegał szczególnym represjom, a jeśli poszczególńi studenci i wykładowcy uczestniczyli w opozycji, to poza uczelnią.

– KUL od zawsze nosi w sobie gen uległości wobec władzy – mówi Wojciech Samoliński, absolwent uczelni i kiedyś jej pracownik, w PRL opozycjonista. – Ale wtedy miał jakąś kindersztubę. Nie wyobrażam sobie, żeby za rektora Mieczysława Krąpca funkcjonował tak jak dzisiaj.

Dominikanin został rektorem w 1970 r. Postanowił, że zabezpieczy byt uczelni. Dlatego – nie był wśród rektorów wyjątkiem – współpracował z władzą i SB.

– Poprzednik poradził mu: „Mieciu, jak masz się puszczać, to z hrabianką, a nie z pokojówką” – mówił mi Tomasz Dostatni, współbrat z zakonu dominikanów. – Krąpiec gadał z wysokimi funkcjonariuszami SB i PZPR, nie zajmował się lubelską drobnicą. Powiedział mi, że na uniwersytetach są dwie drogi kariery, obie przez dupę. Pierwsza: siedzisz na dupie, studiujesz, czytasz, pisesz i może ktoś cię dojrzy. Druga: dajesz dupy i na pewno cię zobaczą. To nie dotyczyło tylko KUL, ale na tej uczelni zaciążyło szczególnie.

Krąpiec zatrudniał, podobnie jak poprzednicy, profesorów z szemranymi z punktu widzenia władzy ludowej biografiami: Stefana Świeżawskiego, Jerzego Kłoczowskiego, Władysława Bartoszewskiego, Adama i Tomasza Strzęboszów, Krzysztofa Kozłowskiego. Próbował otwierać nowe kierunki studiów. Uważał, że wodzi bezpiekę za nos. Lecz bezpieka trzymała go na krótkiej smyczy. Gdy w 1973 r. komuniści scalali ruch studencki, postanowili, że Socjalistyczny Związek Studentów Polskich powstanie również na KUL. Rektor – w imię obrony substancji – był bardzo za. Kilku studentów otwarcie przeciw. Pojechali do Warszawy prosić o wsparcie prymasa Wyszyńskiego. Kardynał nie lubił jakichkolwiek buntowników, więc przyjął ich chłodno. Byli pewni, że wyjeżdżają z niczym. A tu szpas – Wyszyński zabronił SZSP na KUL.

– Pamiętam spory Krąpca z Januszem Krupskim, opozycjonistą związanym z piśmem „Spotkania” – mówi Wojciech Samoliński. – Krąpiec przekonywał, że potrzebuje blachy na pokrycie dachu, a Janusz, że w dupie ma blachę, tu idzie o Polskę. Krą-

piec dbał o istnienie uczelni, ale poszedł w tym zdecydowanie za daleko.

Rektor Krąpiec bowiem – zdaniem Samolińskiego – był pragmatykiem. Dach przeciekał, więc potrzebna była blacha, w imię suchej podłogi rektor robił rzeczy bardzo brzydkie. Ale, zgódźmy się, lepsza sucha podłoga niż zalana deszczówką. Nadmierna brzydota zyskiwała usprawiedliwienie, bo blachą dachową handlowało komunistyczne państwo, więc gdyby Krąpiec się jeżył, blachy by nie było. Tu jest różnica między Krąpcem a obecnymi władzami uczelni. Blachę można kupić na wolnym rynku, lecz oni wolą dostać ją od władzy, bo to ich z władzą jeszcze bardziej zwiąże.

Seweryn Blumsztajn pojawił się na KUL w 1970 r.: – Byłem po więzieniu za Marzec ’68, polecony do Adama Stanowskiego [powstaniec warszawski, więzień polityczny w latach 50., działacz katolicki, pedagog], miałem studiować na wydziale filozoficznym.

Zaraz po przyjeździe Blumsztajn ze Stanowskim wchodził do dużej sali. Stanowski znika za drzwiami z plakietką „dziekan”, po chwili wychodzi i mówi, że jeśli Blumsztajn nie ma wilczego biletu, który wówczas dostawali wszyscy studenci skreśleni dyscyplinarnie, to go przyjmą. Ktoś więc sprawdza, czy władza przysłała bilet, a jakaś pani objaśnia, jakie dokumenty są potrzebne do przyjęcia. Biletu nie było, ale też nie było świadectwa chrztu. Nagle zza drzwi dziekańskich wychodzi duży facet w białym habicie, obejmuje Sewka i mówi: „Jakoś sobie z tym poradzimy”. To był Mieczysław Krąpiec.

Krąpiec ściszał Blumsztajna jeszcze kilka razy, zwłaszcza gdy wrócił z USA, gdzie kwestował na zniszczony fronton uczelni.

– Gdy na korytarzu zobaczył mnie lub Basię Toruńczyk [uczestniczka Marca ’68, za co odsiedziała rok, później działaczka Komitetu Obrony Robotników, założycielka i wieloletnia naczelna „Zeszytów Literackich”], witał się bardzo serdecznie – wspomina Blumsztajn. – Myślę, że w Stanach zobaczył, że marcowcy stanowią dla niego kapitał polityczny, a może nawet dostał za nasze studiowanie jakiś dattek.

Blumsztajn wkroczył w kompletnie nieznanym sobie świat księży i zakonnic, zresztą strasznie traktowanych przez duchownych. Prowincjonalizm, mierny poziom studentów i wydziału filozoficznego, książki do egzaminów zupełnie inne od tych, które czytał przed Marcem ’68 na Uniwersytecie Warszawskim, rządzi neotomizm dostosowany do polskiego ludowego katolicyzmu.

– UW był uczelnią na świetnym poziomie – opowiada. – Zdawałem egzaminy u prof. Bronisława Baczki, chodziłem na wykłady do Leszka Kołakowskiego. Porównanie z Warszawą nie wypadło dobrze dla KUL. Przed jakimś egzaminem razem z Basią Toruńczyk czytaliśmy książkę, a tam pytanie: „Na czym polega rola kobiety w rodzinie?”, oraz odpowiedź: „Rola kobiety w rodzinie polega na stróżowaniu domowego ogniska”. Ze śmiechu nie mogliśmy wejść na egzamin.

W tamtym czasie etyką kierował Karol Wojtyła. KUL – wspomina Blumsztajn – zlewał go w sposób doskonały, bo Wojtyła uczył się u znakomitego fenomenologa Romana Ingardena, o którym w Lublinie pewnie mało kto słyszał.

– Gdy przyszło do egzaminu, dostałem od jednego z doktorów przedwojenny podręcznik; co akapit to opis postępku, który jest grzechem śmiertelnym. Nie chciałem z tego odpowiadać. W zastępstwie dostałem „Miłość i odpowiedzialność” Wojtyły. Napisałem po ludzku, ale na końcu coś o kalendarzyku małżeńskim. KUL to był katolicyzm

zaścianka. Z miłym katolicyzmem i otwartym Kościołem złapałem kontakt w Warszawie, a nie w Lublinie – opowiada.

Na KUL byli już ludzie z Marca, gdy pojawiła się grupa hipisów. Przewodził im „Pies”, czyli Ryszard Terlecki. Fatalnie przyjęli ich inni studenci, ale nie marcowcy. Ich relacje z hipisami opierały się na zasadach handlu wymiennego: za książki paryskiej „Kultury” dostawali marihuanę. I tak, ze szkodą dla wielu, Terlecki zainteresował się polityką.

– W tej marnej naukowo i prowincjonalnej duchocie była jedna rzecz unikatowa i piękna, wówczas niedostępna w innych szkołach wyższych – wspomina Blumsztajn. – To atmosfera wolności. Pisałem pracę magisterską z walterowców. Nikomu to nie przeszkadzało.

– A antysemityzm?

– Moje nazwisko jest jak gwiazda Dawida przyszyta do rękawa, a jednak nigdy nie spotkałem się na KUL z antysemickimi odzwyczajkami.

Krąpiec, jak większość polskiego Kościoła, był dość radykalnym endekiem – opowiada ksiądz zasiedziały w Lublinie. – Miał jeszcze z dawnych czasów kumpli z Narodowych Sił Zbrojnych. Wiedział, jaki w PRL był ich los, więc się z endekością na KUL nie wychyłało. Gdy zabrakło komunistycznego straszaka, to pohulano na całego.

– To była uczelnia po swojemu demokratyczna – opowiada jej absolwent z lat 90., profesor. – Odtwarzała kompletnie absurdalne w naszych czasach podziały przeniesione z II Rzeczypospolitej. Narodowcy wiedli spory z pilsudczykami, pojawiali się socjaliści jak z dawnego PPS, a nawet

anarchiści. Miało to swój szarm.

Nie zawsze, bo profesor wspomina również, że na KUL pierwszy raz w życiu zetknął się z polskim faszyzmem, usłyszał poglądy antysemickie i skrajnie nacjonalistyczne. Nie wstydzono się ich, a nawet ogłoszono z katedr.

– Oglądałem, jak trumny Dmowskiego i Piłsudskiego awanturują się między sobą. Miałem wrażenie, że patrzę na zombie. Byłem w błędzie. Na KUL odżyła skamielina i ma się dobrze do dziś.

W 1996 r. Władysław Bartoszewski dostał Nagrodę im. Heinricha Braunsza, przyznaną przez biskupa Huberta Luthego z Essen za zasługi dla katolickiej nauki społecznej. Nie było się czemu dziwić: Bartoszewski był w Niemczech podziwiany, a na KUL wykładał przez wiele lat.

Tymczasem dziesięciu profesorów uczelni wystosowało do niemieckiego biskupa list skzalujący Bartoszewskiego. Jego inspiratorem i głównym autorem był Ryszard Bender, poseł na Sejm PRL w latach 80., a w wyborach 4 czerwca 1989 r. kandydat startujący przeciwko „Solidarności”. W liście znalazły się oskarżenia wobec Bartoszewskiego o przywłaszczenie sobie tytułu profesora. Według autorów światowy rozgłos Bartoszewski zawdzięczał „gadulstwu dostosowanemu do upodobań słuchaczy”. Pojawił się również donos obyczajowy: jak Bartoszewski śmie być katolikiem, skoro jest rozwiedziony. A wszystko to podlane litrami wazeliny wobec niemieckiego hierarchy.

Zaprotestował Episkopat, przeproszał senat uczelni. Nic nie pomogło. W 2005 r. pojawiły się kolejne oskarżenia wobec Bartoszewskiego, miały uniemożliwić mu otrzymanie doktoratu honoris causa KUL. Wśród tradycyjnego wachlarza zarzutów pojawił się nowy: „wychwalanie kanclerza Niemiec Helmuta Kohla, znanego polakożercy”. Tym razem oskarżenia i skarżących skrytykował metropolita lubelski abp Józef Życiński.

– Gdy w latach 80. Bender wykładał na KUL, przyklejano mu na drzwiach gabine-
tu kartki z napisem „kolaborant” – wspomina absolwent lat 90., profesor. – Był oceniany jako lichy profesor, marny polityk, antysemita i intrygant.

– Przy Okrągłym Stole Bender był reprezentantem „Solidarności”, a potem zwycięzajnie zdradził, wystąpił przeciwko naszemu kandydatowi do sejmu kontraktowego – wspomina Wojciech Samoliński. – Dobijał się o poparcie Wałęsy, ale nic nie wskórał. A jednak okazało się, że dla KUL był wartościowy, miał na uczelni zwolenników i sojuszników. W taki sposób zachodziła zmiana.

– Bender to zaprzeczenie zasady, że o zmarłych to albo dobrze, albo wcale – mówi ksiądz zasiedziały w Lublinie. – Niestety, o nim można tylko złe. Mam wrażenie, że Jan Paweł II mianował Życińskiego na lubelskiego metropolitę również dlatego, by jakoś odwojować KUL z rąk ludzi klasy Bendera. Przegrał.

Dziś jedną z największych medialnych gwiazd KUL jest publikujący i występujący u Rydyzka ks. Tadeusz Guz. W zasadzie ksiądz profesor, bo tytuł naukowy nadał mu prezydent Andrzej Duda.

Filozof i teolog Guz nie wierzy w atak Al-Kaidy na World Trade Center: „Żaden z samolotów amerykańskich nie uderzył w Twin Towers. To były symulacje medialne. Na prywatne komóreczki się rozesłało coś, co się zrobiło pod publiczność”.

W koronawirusa też nie wierzy. Publicznie twierdził, iż nie można zakazać się podczas mszy, bo „konsekrowane dłonie kapłana nie staną się przyczyną czyjegós zarażenia”. Szczepionki na COVID-19 powstały – w to akurat wierzy – w wyniku śmierci setek tysięcy nienarodzonych i dlatego „nikomu z Bożych ludzi nie wolno brać udziału w takim procederze w jakiegokolwiek formie, bo my utracimy nasze życie wieczne na wieki”. Guz porównuje szczepienia do zbrodni nazistowskich.

Wydawało się, że w tym wypadku ksiądz dostanie po uszach. Rzecznicy KUL oraz archidiecezji lubelskiej wydali wspólne oświadczenie: „Wykorzystywanie autorytetu kapłana oraz profesora do promowania postaw stanowiących zagrożenie dla życia i zdrowia w obliczu pandemii koronawirusa jest nadużyciem i należy je traktować jako naganne oraz skrajnie nieodpowiedzialne. Osoby zachęcające do zachowań zagrożających życiu i zdrowiu, a tym samym sprzecznych z piątym przykazaniem Dekalogu, nie reprezentują ani świata akademickiego, ani tym bardziej Kościoła”.

I na tym się skończyło.

Guz nadal głosi swoje poglądy. Na przykład o protestantyzmie, który uważa za „totałną herezję”. Nie przeszkadza mu sprzeciw kolegów z Instytutu Ekumenicznego KUL: „Wygłaszając swoje tezy, ks. prof. Guz udowadnia, że jego znajomość teologii Lutra jest – najdelikatniej mówiąc – bardzo powierzchowna i fragmentaryczna. Jest rzeczą oczywistą, że katolicy nie przyjmują poglądów Lutra. Jednak przekręcanie sensu jego wypowiedzi, aby wysnuć na tej podstawie bardzo daleko idące wnioski, mające zdezawuować już nie tylko wiarę dziś żyjących luteranów, ale także katolicki episkopat niemiecki, jest po prostu nieuczciwe”.

Guz pozałił się w Radiu Maryja, że przełożeni zabronili mu publicznie mówić o protestantyzmie i o Lutrze.

A co ksiądz profesor myśli o ekologii? To „ateistyczny, materialistyczny i nihilistyczny neokomunizm”, „zielony nazizm”, celem ekologii jest negacja Boga. Władze KUL oświadczyły, że „wypowiedzi ks. prof. T. Guza są wyrazem jego indywidualnych poglądów o charakterze pozanaukowym”.

Jeszcze zabawniej zareagowały na stwierdzenie Guza, że przypisywane Żydom przez antysemitów mordy rytualne były faktem i „nie da się ich wymazać z historii”. Zaprotestowały organizacje żydowskie, Muzeum Polin oraz Polska Rada Chrześcijan i Żydów: poglądy Guza są antysemickie,

sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem oraz z historią. Arcybiskup lubelski i rektor KUL uznali wypowiedzi Guza „za niedopuszczalne” i książd profesor stanął przed komisją dyscyplinarną uniwersytetu. Ta jednak uznała, że jego poglądy wpisują się w „nierozstrzygniętą dyskusję naukową”, i sprawę umorzyła.

Romuald Jakub Weksler-Waszkinel, były pracownik naukowy KUL i były książd, który u progu lat 90. ujawnił swoje żydowskie pochodzenie, mówił mi, że uczelniany antysemityzm był jednym z powodów jego odejścia: – To prawda, że byłem już w wieku emerytalnym. Ale znałem ich, wiedziałem, co myślą o Żydach, i źle się z tym czułem. Moim zdaniem antysemitą był rektor Krąpiec. Z nim jednak jeszcze jakoś dało się wytrzymać.

W książce Dariusza Rosiaka „Człowiek o twardym karku” Weksler-Waszkinel opowiada: „Słyszałem [od nich], jak to fajnie było przed wojną: idzie człowiek ulicą, a tu na przeciwko żydek – machnie człowiek ręką, żydek leży. A wie pan dlaczego? Bo w rękawie nosiło się woreczek z piaskiem. Jak żydek dostał po łbie tym woreczkiem, to na tychmiast leżał. Takie historie opowiadali sobie w mojej obecności”.

Zbigniew Nosowski rozmawiał o ks. Guzie z ks. prof. Mirosławem Kalinowskim, obecnym rektorem KUL. W tym, że poglądy Guza na mord rytualny uczelnia uznała za „nierozstrzygniętą dyskusję naukową”, rektor nie widzi nic kompromitującego.

Dr hab. Mieczysław Ryba z KUL, wykładowca uczelni Rydzyka i doradca ministra Czarnka, wydał niedawno książkę „Kościoł i państwo na kresach południowo-wschodnich II RP”. Promowali ją oprócz autora ludzie KUL, historycy i prawnicy, łącznie z Czarnkiem.

Badacze zajmujący się tematem uznali książkę za marnie udokumentowaną i napisaną bez należytej kwerendy. Ryba cytuje obszernie dzieła produkowane przez ludzi, którzy z historią nie mieli nic wspólnego, za to z komunistyczną wy pieką – jak najbardziej. To np. Edward Prus, człowiek wielu biografii. Za PRL szczyił się przynależnością do NKWD i donosił bezpiece na środowiska polskich Ukraińców. W III RP NKWD zamienił na Szare Szeregi, lecz w stosunku do Ukraińców był stały w uczuciach i nadal szkodził, rozpowszechniając stworzone przez siebie antyukraińskie fałszywki. Opowieści Prusa o tajnych knowaniach Ukraińców były jakby podyktowane przez FSB, spadkobierczyńe bezpieki Dzierżyńskiego, Berii i Andropowa.

Książkę Ryby promowała debata w IPN z udziałem prof. Andrzeja Gila, oczywiście z KUL, który oznajmił, że polski katolicyzm to nie tylko jedynie słuszna wiara, ale też nośnik prawdziwej cywilizacji, gdyż bez polskich księży nie byłoby na Kresach czystych domów i ludzie najpewniej się nie myli. Według Gila razem z księdzem do kresowych wiosek zawitało również mydło. Poinformował też, że Ukraińcy w II RP, a także dzisiejsza Ukraina to twór sowiecki z wpływami nacjonalistów od Stepana Bandery.

Prof. Igor Hałagida z Uniwersytetu Gdańskiego, specjalista od ukraińskiej historii, uznał książkę Ryby za niekompetentną, a w warstwie językowej tak „zdumiewająco infantylną”, że aż wywołującą uśmiech politowania. „Ale z punktu widzenia historyka ten uśmiech staje się mocno gorzki, gdy ma się świadomość, że naukowa rzetelność ustępuje aż takiej ignorancji” – podsumował.

Gdański badacz wytknął Rybie elementarny brak warsztatu oraz ideologiczne zacietrzewienie, czego dowodzi powoływanie się właśnie na Prusa, a także na przedwojennego historyka i antysemickiego historiozofa Feliksa Konecznego.

Absolwent KUL, profesor: – Ta książka to dzisiejszy KUL w pigulce. Pseudonaukowiec i antysemita Koneczny czy ukraiñożerca Prus to autorytety, bo liczy się prawicowo-narodowa ideologia.

Tak pojmowaną naukę można przekuć na polityczny sukces, czego przykładem jest Czarnek. Albo Mirosław Piotrowski, KUL-owiec, trzykrotny europoseł i eksfaworyt Rydzyka; zwinięto mu parasol ochronny, gdy w 2020 r. bez pytania patrona postanowił kandydować na prezydenta. Dzisiaj tłumaczy wojnę w Ukrainie strachem Rosji przed rozszerzeniem NATO.

Miernoty są na każdej uczelni, ale dzisiaj w Lublinie mają swój czas. Wielu KUL-owców z tytułami, zwłaszcza w naukach społecznych, ledwie broni doktoraty i habilitacje. Kandydaci na doktorów dostają krytyczne recenzje swoich prac, lecz z pozytywną konkluzją: „promować”. Bo recenzent boi się, że koledzy recenzowanego mogą się odegrać, uwałą mu jakiś projekt, odbiorą grant. KUL stał się centrum lizusostwa i konformizmu.

Absolwent uczelni, jej dawny pracownik, w PRL opozycjonista: KUL od zawsze nosi w sobie gen uległości wobec władzy

Ks. prof. Alfred Wierzbicki, wybitny filozof i etyk, kilka tygodni temu odszedł z KUL. Na własnych warunkach, gdy komisja dyscyplinarna oznajmiła, że „został uniewinniony wobec postawionych mu zarzutów dotyczących krytyki osób i instytucji, zaś postępowanie w kwestiach światopoglądowych i religijnych jest umorzono”.

Co nabroil Wierzbicki? Otóż wypowiedział się o przemyśleniach ks. Guza na temat mordu rytualnego: „Można być profesorem, ale można być też skończonym durniem”. Poręczył za aresztowaną Margot, transseksualną aktywistkę z kolektywu Stop Bzdurom. Poręczył jako chrześcijanin, bo postawa władzy wobec ludzi LGBT+ wydaje mu się represyjna i wykluczająca. Skrytykował bałamutne i obelżywe stanowisko Episkopatu w sprawie LGBT.

Po niby korzystnym, lecz w istocie obelżywym wyroku komisji Wierzbicki doszedł do wniosku, że nie chce mieć do czynienia ze środowiskiem dominującym dziś na uczelni: – Zdałem sobie sprawę, że KUL utracił akademicką powagę. Bez zenady mnie upokorzono i wyszydzano. W żadnym postępowaniu nie mieści się, aby rzecznik dyscyplinarny podważał czyjś dorobek naukowy i nagrody. Pomyślałem wtedy – cenią dorobek i misję KUL – że nastąpiła degeneracja intelektualna i moralna tej uczelni.

Wierzbicki nie oszczędzał też ministra edukacji: – Czarnek wyrasta z tradycji katolicyzmu endeckiego, bogoojczyźnianego. Instrumentalizuje wiarę w celach politycznych. Moment, w którym Czarnek kieru-

je MEN, jest korzystny dla KUL finansowo, jednocześnie oznacza zapaść intelektualno-moralną uczelni.

Co na to ks. rektor Kalinowski? Stwierdza, że opinie Wierzbickiego „przedstawiają wyłącznie jego prywatne poglądy i w żadnym przypadku nie można utożsamiać ich ze stanowiskiem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. KUL od ponad 100 lat kształtuje kolejne pokolenia studentów w duchu nauki społecznej i moralności Kościoła katolickiego, pozostając areną wymiany opinii i dyskusji. W kwestiach związanych z LGBT+ nasz uniwersytet w pełni utożsamia się ze stanowiskiem Konferencji Episkopatu Polski”.

Szykany wobec Wierzbickiego były także przyczyną odejścia z KUL w 2020 r. ks. prof. Andrzeja Szostka. Były rektor napisał do obecnego: „Nie potrafię kontynuować współpracy z uczelnią, której władze tak krzywdząco traktują swego profesora – i to etyka, który ma odwagę zabierać głos w sprawach moralnie doniosłych w Polsce i w Kościele”.

O Wierzbickiego próbował podpytywać rektora Zbigniew Nosowski, ale wywiad został przerwany, bo – zdaniem Kalinowskiego – redaktor naczelny „Więzi” stawiał złe pytania. W sprawie Wierzbickiego rektor nie miał sobie nic do zarzucenia, podobnie jak w przypadku ks. Guza.

– Naprawdę źle zaczęło się dziać, gdy Przemysław Czarnek został ministrem, a Mirosław Kalinowski rektorem – mówi mi ks. Wierzbicki. – Gdyby ministrem był ktoś z innym charakterem i temperamentem, Kalinowski zachowywałby się inaczej. Ale jest pragmatykiem, a ta władza dosypuje uczelni worki pieniędzy. Dzisiaj wpisuje się ona w projekt wymiany elit wymyślony przez PiS. Trucizna w postaci endeckiegokatolicyzmu, antyekumenizmu, antysemityzmu i wykluczania była na KUL obecna niemal zawsze. Za rektora Krąpca ludzie pokroju Bendera chcieli tu przejąć władzę. Krąpiec, choć sam umoczony po uszy, stawiał opór. Kalinowski raczej niczemu się nie oprze. Minister Czarnek jest wychowankiem uczelni i jej urlopowanym pracownikiem. Ma państwowe pieniądze. Już jako wojewoda lubelski inspirował „strefy wolne od LGBT”, występował publicznie pod banerami ONR. Kalinowskiemu to nie przeszkadza.

– Bo może Kalinowski to żaden pragmatyk, ale konformista?

– Pragmatyzm często kończy się konformizmem. Następnym etapem jest cynizm. To równia pochyła. Jakiś czas temu zaszedłem do studenckiej stołówki. Młodzież wiatowała na cześć Trumpa. Są na KUL ludzie rozsądni i przyzwoici, ale jest również trumpizm po polsku.

Czym jest obecnie KUL?

Książd z Lublina: – Kiedyś był to uniwersytet. Później tylko katolicki. A dzisiaj zaledwie lubelski.

Nosowski napisał w „Więzi”: „Już obecnie KUL staje się przedmiotem nie tylko krytyki, ale nawet ostracyzmu ze strony poważnych uczonych. Znam deklaracje środowisk żydowskich, które nie chcą podejmować żadnej współpracy z KUL ani nawet indywidualnie z profesorami tego uniwersytetu. Błyskawicznie znika opinia o KUL jako oazie wolności myślenia w PRL (taką poznałem tę uczelnię 40 lat temu i mam wiele wspańiałych wspomnień z nią związanych, również po 1989 r), a jej miejsce zajmuje wizerunek lubelskiego uniwersytetu jako uczelni zaściankowej, która stacza się do poziomu przysłowiowej szkółki parafialnej”.

Absolwent KUL, profesor: – KUL skarłał na skutek wolnej Polski. Przestał być atrakcyjny w stosunku do innych uczelni również dlatego, że gdzie indziej można było studiować np. teologię. Zaczął absorbować ludzi niezdolnych, miałkich, zbędnych. Mogły umościć się tu osoby skrajne, ale ambitne, chore na władzę. Minister Czarnek, jeszcze jako student i młody pracownik KUL, nosił teczkę za najbardziej zajadłymi ende-

kami i ONR-owcami. Dzisiaj to oni noszą ją za nim.

Wojciech Samoliński: – Przedwojenny rektor Józef Kruszyński był wściekłym antysemitą. Rektor Krąpiec był endekiem, a pośród wielu księży wykładowców krążył od zawsze pogląd, że Żydzi mącą i rządzą. Ale życie kulturalne poza KUL było naprawdę OK.

– Gdy zostałem internowany, KUL skreślił mnie z listy studentów – wspomina. – Gdy wyszedłem, decyzję podtrzymał. Ale po tym wszystkim rektorzy uczelni w ostatnim dniu swojego urzędowania dali mi etat. KUL przed władzą merdał ogonem, ale przynajmniej udawał, że nie jest uczelnią dworską. Rektor Kalinowski przestał nawet udawać.

Ks. Andrzej Szostek, który pracuje dziś na lubelskim Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, próbuje dostrzec jasne strony: – To nie jest tylko mierność i zło. Chcę się upomnieć o kilku prawników, historyków, a nawet filozofów i teologów.

– Są tam również naukowcy jak Guz i Ryba.

– O Jezu...

– Może relacja KUL i władzy to legalna, zgodna z prawem państwowa korupcja?

– Niekoniecznie minister od szkół wyższych winien być urlopowanym pracownikiem uczelni. Ale nie uważam, że z powodu rządowego stanowiska winno się takiego zwolnić. Rzecz nie jest w regulę, ale w Czarnku. Związek minister Czarnek – uczelnia szkodzi KUL na dłuższą metę. Dzisiaj mają pieniądze, ale te się rozejdą. Wstyd zostanie.

Zbigniew Nosowski: – Dziekan wydziału prawa KUL Andrzej Herbert był jednym z inicjatorów publicznej krytyki werdyktu Trybunału Konstytucyjnego odnośnie do obowiązywania w Polsce wyroków Trybunału Sprawiedliwości UE. Postąpił w zgodzie z regulami i wbrew rządowi oraz Czarnkowi, w końcu pracownikowi wydziału.

Myślano, by otworzyć na KUL podyplomowe studia z etyki. Ktoś z góry przysłał plan, za którym lobbował Czarnek, a nawet dał człowieka do jego wprowadzenia. Kiedy zaczęto upokarzać ks. Wierzbickiego, studia pozostały w strefie ministerialnych marzeń. KUL się postawił.

Swoją drogą to chichot historii. UMCS powstał jako komunistyczna odpowiedź na KUL, miał u swoich początków certyfikat bardzo złego pochodzenia. Tymczasem właśnie na UMCS etyką zajmują się dziś profesorowie Szostak i Wierzbicki, następcy Jana Pawła II w Katedrze Etyki KUL. Ta uczelnia ofiarowała im wolność, którą KUL próbował odebrać.

Łudząc się, że nie wszystko stracone, Nosowski wspomina też powstałe w ostatnich dniach Centrum Relacji Katolicko-Żydowskich im. Abrahama J. Heschela, które ma pogłębiać relacje katolicko-żydowskie w wymiarze międzynarodowym. Zrazu miał być to ośrodek zajmujący się Polakami ratującymi Żydów i Żydami ratującymi Polaków, ale ktoś poszedł po rozum do głowy i zakwestionował symetrię; Polaków ratujących Żydów było więcej z przyczyn oczywistych, więc znowu Żydzi okażą się tymi złymi. KUL obronił się przed kolejną wpadką.

– Może szukanie ciężkim grzechem to próba odnalezienia cnoty, która już dawno jest wytarta na amen? – spytałem Nosowskiego.

– Uczelnie mają to do siebie, że nie tracą cnoty na zawsze. Na KUL wiodą dziś rej koniunkturalni endecy i pospolici antysemici. Ich poglądy mogą profitować, bo taki w Polsce mamy czas polityczny i tak wygląda znaczna część Kościoła. Brzydkie to, ale mało ideologiczne. Gdyby czas był inny, oni też byliby inni – podsumował. ●

Gęsina daje nieco nadziei

Jak jest źle i jest wojna, zawsze kupujcie „Sklepy cynamonowe”.

Marcin Matczak



Jednak strach. Wydawało się, że już się oddaliło to wszystko, że tę wojnę uda się zapomnieć, bo się zamieniła w abstrakcję. Już prawie bracia Ukraińcy ją wygrali, już prawie mogliśmy ją odhaczyć jako załatwioną. Przecież już prawie uwierzyliśmy, że za moment pójdą na Moskwę, byle dalej od nas. A tu coś jednak nagle upadło. I zabiło. I zniszczyło ten nasz prowizoryczny spokój, w którym już zaczęliśmy się urządzać. Jak to tak? Przecież tak nie wolno!

Najgorsze w tych najgorszych wiadomościach jest to, że są takie zwyczajne. Niewyrażnie pamiętam, jak u Szczerka w „Siódemce” właściciela baru dla tirowców po prostu wychodzi na salę i mówi: „Bardzo przepraszam, ale zamykamy. Właśnie wybuchła wojna”. Tak właśnie sobie wybuchła – po prostu rakiety spadły na Radom. Na szczęście wtedy, gdy to czytałem, spadły tylko w powieści. Ale na nieszczęście nie da się zapomnieć tej zwykłości brutalności. Tak muszą się czuć rodzice odbierający telefon, że całkiem normalnie zdarzyło się niewyobrażalne. „Dzień dobry, bardzo mi przykro, był wypadek, próby reanimacji nie dały rezultatu”. I już. I tyle. Tylko tyle. Wszystko.

Jakie antidotum znaleźć na tę normalność zła? Może normalność dobra? Jako fani rytuałów na 11 listopada pojechaliśmy znowu do Kazimierza Dolnego, żeby w czasach globalizmu doświadczyć lokalności. I doświadczyliśmy – poza centrum, bo dzisiaj nawet urokliwe żydowskie miasteczko ma halaśliwe centrum. Okazuje się, że jako takim lekarstwem na strach przed niewyobrażalnym, czy to prywatnym, czy państwowym, a nawet międzypaństwowym, jest powtarzalność: obiad w Dwóch Księżycach i kawa w Trzecim Księżycu albo herbaciarni U Dziwisza. Tak świętowaliśmy naszą niepodległość od strachu i brzydoty: przez kontakt ze spokojem i pięknem.

A przecież i ten Kazimierz to pomnik cierpienia, a więc tak naprawdę oszukuje spokojem. W Czerniawach ściana z macew, z piękniściem w środku, w powietrzu i w ogłoszeniach parafialnych wspomnienie wywozu mieszkańców do Sobiboru i Bełżca. Wprawdzie trwa mimo tej historii i jak co roku serwuje gęsinę, co, umówmy się, daje jednak trochę nadziei. Ale jednoznaczny w swojej urokliwości wcale nie jest.

I nie wiadomo, skąd nagle przypomina mi się, jak trener Engel opowiadał w 2002 roku, że przed najważniejszym meczem, w środku największych obaw i największego stresu, bierze zawodników na długi spacer. Tym zwyczajnym doświadczeniem zwalcza lęk przed doświadczeniem nadzwyczajnym. Ciekawie to się układa – zwyczajność jako antidotum na okropność. Bo przecież rzadko triumf. Szczególnie w przypadku naszych piłkarzy husarzy, którzy zawsze zapowiadają, że nie oddadzą ani guzika, a potem guzik z tego wynika. Zresztą w Katarze będzie im dużo trudniej niż w Korei. Jeśli na tydzień przed mistrzostwami świata skłenie nad Narodowym pęka i niebo prawie spada nam na głowę, to nie jest to na mój rozum dobry znak.

Więc spacerujemy w kółko po tym Kazimierzu, omijając centrum, które odwiedzimy, jak się uspokoi – bulwarem nad Wisłą, Krakowską,

później Szkolną. Wędrujemy po miasteczku, o którym Herbert mówił, że wędruje się po nim ciągle raz w dół, raz w górę. Łapiemy więc doły i sięgamy wyżyn. Szukamy ukojenia w marszu, spokoju w krokach dokładnie odmierzanych przez aplikację na iPhone, w patrzeniu na Janowiec, w zbliżaniu się do Mięćmierza.

W konkretności tych miejsc szukamy doświadczenia uniwersalnego. Píše Anatol Stern: „Znam ludzi, którzy mają zwyczaj jeść śniadanie w Warszawie, obiad w Londynie, a kolację w Paryżu. Ale na noc wracają zawsze do Kazimierza. Bo to jest miasto ich snów”. Dzień wcześniej jedliśmy śniadanie w Warszawie, a obiad w Lublinie – ale galerie handlowe są tam takie same jak w Londynie i Paryżu, więc chyba się liczy.

W niedzielę wieczorem, kiedy centrum Kazimierza odzyskujemy dla siebie po tym, jak wszyscy już wyjechali, wchodzimy Cmentarną pod klasztor i jako przedstawiciele klasy średniej patrzymy na wszystko z góry. Mgły wychodzą i nas czarują. Rzeczywiście miasto ze snów – ale z koszmaru czy ze snu dobrego? Nawet jak z dobrego, łatwo się obudzić do dość upiornej jawy. A może to nie mgły, ale smog i cały romantyzm diabli biorą?

Wracamy do auta, a przez kazimierski rynek toczy swój przenośny kram sprzedawca. „Świeże koguciki kazimierskie!” – zachęca zmęczonym już głosem. Kogut jako tako do naszych celów się nada – w końcu to „symbol nadziei światła zwiastujący początek dnia”, w końcu „od czasów antycznych oznaczał czujność i przezwyciężenie ciemności”. Nie ma co się zastanawiać – kupujemy koguta, a wraz z nim tę odpustową symbolikę nadziei. Zobaczymy, co się z nią stanie po powrocie do Warszawy.

Jak wiadomo, nie wytrwa długo. Po powrocie dowiemy się, że te rakiety jednak spadły. Nie na Radom, lecz na Przewodów, ale przecież są sytuacje, które usuwają każdą różnicę, nawet między ludźmi, a co dopiero między miejscami. Te wiadomości będą tak ostrożne, jakby nikt nie chciał do końca uwierzyć, że to się stało. „Może jednak ten ciągnik sam wybuchł?” – będziemy się ludzić. „Może to jednak rakietą obronna, nie atakująca?”. Po prostu taki odpad z wojny, która nie jest nasza. Dużo lepiej przecież być śmietniskiem niż celem – taka niepatriotyczna myśl przychodzi mi do głowy. I od razu mi wstyd, że wołałbym umrzeć za ojczyznę ze starości.

Czy ten załadowany do plecaka spokój, który przywieźliśmy z Kazimierza, był w ten trudny wtorek jakimś zasobem, z którego skorzystaliśmy, żeby nie spanikować? Może „Sklepy cynamonowe”, które kupiliśmy obok jatki, pomogły? Z pewnością. Taką mam radę – jak jest źle i jest wojna, zawsze kupujcie „Sklepy cynamonowe”. I czytajcie słowa Schulza bez zrozumienia, dla samej przyjemności ich słuchania w głowie, która czasami już pęka. Kupujcie, chociaż już macie. Tylko w nich jest nadzieja: w Adeli, która wraca w świetliste poranki i owocami jak Pomona z ognia dnia rozżagwionego. W spacerze, na który z półmroku sieni wstępuje się od razu w słoneczną kąpiel dnia. I to nawet wtedy, jak jest zimno i szaro. Zwłaszcza wtedy. ●

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”, Marcin Matczak, wyd. Znak, premiera 5 grudnia



PO PRAWDZIE

Kolejny krok od demokracji



Najpierw naród – grzmi prezes PiS. Czy to już nacjonalizm?

Agnieszka Kublik

Tak, znowu będzie o Jarosławie Kaczyńskim. Bo jego słowa mają znaczenie.

11 listopada Kaczyński w Krakowie (czyli świadomie nie w Warszawie, gdzie znowu maszerowali krewcy narodowcy, a z nimi – zauważmy – Ziobro) wyluszczył w kilku zdaniach swoją filozofię państwa. – W taki dzień jak 11 listopada ważne są tylko sztandary jednego rodzaju – polskie sztandary. To jest szersza zasada, to zasada ordo caritatis, porządku miłowania. Najpierw musimy miłować własną wspólnotę, najpierw musimy miłować Polskę – przemawiał.

Zasada ordo caritatis to porządek miłowania. Kaczyński nakazuje, zdaje się, najpierw miłować własny naród (co oznacza zamykanie się na inne narody), potem dopiero przychodzi czas na inne wartości (demokrację, praworządność, sprawiedliwość – pochodzą z zewnątrz, z Brukseli sterowanej przez Niemcy).

Kaczyński zapewniał przy okazji, że „PiS zawsze chciał być partią ogólnonarodową i do tego będziemy dążyć”. Rzeczywiście, zawsze marzył o scentralizowanym państwie z narodową monoideą.

Prof. Jerzy Szacki, historyk myśli socjologicznej, analizował nacjonalizm, patriotyzm, naród. Jego myśli są nadal aktualne. Niech będą komentarzem do tego, co dziś czyni Kaczyński.

W 2011 r. pisał: „PiS wie, że trzeba być lwem i lisem i że wszystkie środki są dobre, jeśli pozwalają poruszyć siły społeczne. Cała historia społeczeństw narodowych jest historią zawłaszczania przez różne partie i różnych przywódców ojczyzny dla siebie. Życie polityczne normalnego kraju jest walką o hegemonię i definicję tego, co to jest naród i co to jest dobro narodowe”.

W 2013 r.: „Nic bardziej po-politego w dobie triumfów idei narodu niż partyjne w istocie przekonanie, że naród, ewentualnie »prawdziwy« naród (lub »prawdziwa« reprezentacja interesów narodowych), to my i tylko my”.

Profesor zwracał uwagę, że „ponieważ na dłuższą metę zapewnienie doskonałej jedności narodowej okazuje się niemożliwe, najbardziej radykalnym jej zwolennikom, którzy w XVIII w. nazwali się »patriotami«, a w XX w. »prawdziwymi patriotami«, pozostaje zwykle jedno – uznanie, że to oni są »narodem«, cała zaś (niemala na ogół) reszta już to się z niego wykluczyła, już to na razie należy do niego co najwyżej »metrykal-

nie«. W wyniku tej polityczno-semantycznej operacji, której klasycznego przykładu dostarczyła wielka rewolucja francuska, patriotyzm staje się równocześnie afirmacją jedności narodowej i aktem wykluczenia tych wszystkich, którzy według obowiązujących aktualnie politycznych miar nie zasłużyli na miano »przypięci ojczyźnie«”.

I dalej: „Zapomina się nazbyt często o fakcie, że dobrze zapisują się w narodowej historii nie tylko złotouści wyznawcy zasady »dobry czy zły, ale to mój kraj«, lecz również ci, którzy potrafili swój kraj krytykować i buntować się przeciw niemu. Ortega y Gasset pisał o »krytyce jako patriotyzmie« i miał po stokroć rację. Bywają sytuacje, w których nie tylko wypada mówić o swoim kraju źle, ale nawet stanowi to dla jednostki moralny obowiązek”.

Już wtedy prof. Szacki był zaniepokojony tolerancją wobec nacjonalizmu: „Niepokojące jest tylko to, że nawet jego najbardziej złowrogi formy spotykają się z dużą tolerancją, a na prawicy nawet z pewnym zrozumieniem, ponieważ niektórym ludziom się wydaje, że mimo wszystko lepsze to od kosmopolityzmu i liberalizmu. Jest to bardzo złe postawienie sprawy, ponieważ ekscesy nacjonalizmu wzmacniają więzy między nacjonalistami, ale nie więzy między członkami narodu, która obchodzi mnie przede wszystkim. Nie wydaje się, aby była to droga do wzmocnienia solidarności społecznej i poczucia wspólnoty”.

Kaczyński zdaje się tylko sobie przyznawać prawo do posiadania Polski, narodu i patriotyzmu. Prof. Szacki: „Przypisywanie sobie monopolu na narodowość wydaje mi się nie do pojęcia, jeżeli nie wyklucza się zarazem możliwości wszelkiego zasadniczego sporu i nie pretenduje się do dyktatury. Nie sposób wyobrazić sobie demokracji, w której obowiązuje jednolita definicja narodu, interesu narodowego, historii narodowej, kultury narodowej oraz innych przedmiotów tego rodzaju i tej rangi”.

Słowa Kaczyńskiego mają znaczenie. Szczegście w nie-szczęściu, że nie do końca takie, jak by chciał. W październikowym sondażu CBOS nie ufa mu 56 proc. z nas, ufa – 32. ●

KARA BEZ ZBRODNI

Nie da się w Rosji być uczciwym śledczym, prokuratorem albo sędzią. Jeśli ktoś próbuje, to zostaje zwolniony.

Z **DMITRIJEM ZACHWATOWEM**, ROSYJSKIM ADWOKATEM, KTÓRY BRONI DYSYDENTÓW, ZAJMUJE SIĘ NAJGŁOŚNIEJSZYMI SPRAWAMI POLITYCZNYMI W ROSJI, ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

Podobno mniej niż 1 proc. spraw kończy się w Rosji uniewinnieniem.

– Jeśli mamy być dokładni, to 0,63 proc. Udało mi się doprowadzić do uniewinnienia klienta raz w życiu, choć mam na swoim koncie setki spraw administracyjnych i dziesiątki karnych, głównie politycznych. Bronilem m.in. Maszy Alochinej z Pussy Riot, Mariny Owsiannikowej, bylej dziennikarki państwowej telewizji, która sprzeciwiła się na wizji wojnie, czy Alły Gutnikowej, redaktorki niezależnej redakcji Doxa. Każda przebywa za granicą i jest poszukiwana listem gończym. A udało się wygrać, bo broniłem kobiety, która hodowała świnki miniaturowe. Pracownicy propagandówki przyjechali do niej z ukrytą kamerą, potem próbowała wejść ekipa telewizyjna, klientka zamknęła drzwi i została w środku z jedną z propagandystek. W efekcie została oskarżona o bezprawne pozbawienie wolności, choć to oni naruszyli jej prawa i prywatność. Wygraliśmy, byłem w szoku, bo w Rosji adwokat może pracować nawet kilkadziesiąt lat i nigdy nie doprowadzić do uniewinnienia klienta.

O co w takim razie walczą adwokaci w Rosji?

– O to, by wymiar kary był minimalny, choć sędziowie są coraz bardziej zależni.

Brzmi kafkowsko.

– Dlatego przez lata, dopóki Rosja była w Radzie Europy, walczyliśmy, by złożyć skargę przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Teraz nas tego pozbawiono. Coraz trudniej jest znaleźć motywację, bo kiedy nie ma sposobu, by wygrać, zaczyna to przypominać straszny sen.

Zanim Rosja została wykluczona z Rady Europy, uprzedzałem klientów, że nie uda nam się wygrać, ale będziemy się domagać sprawiedliwości przed ETPC, który po wielu latach wyda sprawiedliwy wyrok, co pozwoli na otrzymanie od państwa kompensacji. Teraz tej możliwości już nie ma, ale warto pamiętać, że przez lata to Rosja była liderem, jeśli chodzi o liczbę składanych skarg.

Od dłuższego czasu nie biorę spraw karnych inne niż polityczne, bo czułbym się jak oszust. Nie bardzo wiedziałbym, za co klient ma mi zapłacić, skoro na starcie wiem, że moje działania w niczym mu nie pomogą. Na sali sądowej czuję złość, smutek, a nawet mdłości. Czasami mam wrażenie, że biorę udział w spektaklu, w którym każdy odgrywa swoją rolę. Niekiedy trudno mi pójść do sądu, bo to farsa. Bardzo trudno komunikować się z sędzią i prokuratorem, którzy nie chcą cię usłyszeć.

To po co pan to robi?

– Bo mogę opowiedzieć mediom i społeczeństwu historię tego człowieka, pomóc w taki sposób, że nie zapłaci ani kopiejki, bo jego obronę sfinansują organizacje zajmujące się ochroną praw człowieka, będą odzwiedzać go w areszcie i zapewniać mu w ten sposób łączność ze światem zewnętrznym, wspierać na sali sądowej. To dużo, bo ważne

jest to, by wytłumaczyć społeczeństwu, dla czego państwo, choć przepisy mówią często inaczej, nie ma prawa karać za pewne rzeczy. Niekoniecznie wpisuje się to w wyobrażenie o pracy adwokata, chociaż mnie wydaje się, że zwyczajnie jestem tutaj adwokatem etyki.

Nie potrafię się pogodzić z niesprawiedliwością, nie jestem w stanie żyć spokojnym, „radzieckim” życiem, stać z boku z założonymi rękami. Nie wiem, skąd się to u mnie wzięło, bo rodzice od zawsze uważali, że trzeba się schować do bezpiecznej norki. Moja działalność ich denerwuje, często się kłócimy, bo się o mnie boją. Staram się ich niepotrzebnie nie wtajemniczać, pytam, czy ich zdaniem należy zostawić ludzi na pastwę losu, i kłótnia się kończy.

Dlaczego został pan adwokatem?

– Poruszyła mnie sprawa Pussy Riot w 2012 r., kiedy aktywistki zaśpiewały w cerkwi piosenkę „Bogurodzico, przegoń Putina!”. Czulem, że skazanie dziewczyn na łagier to przesada. Reakcja społeczeństwa też nie była jednoznaczna.

Przeglądałem się pracy ich obrońców i zrozumiałem, że to jest coś, czym chcę się zajmować, bo jeśli w kraju są więźniowie polityczni, to państwo nie cofnie się przed niczym.

A adwokaci, którzy nie są tak pryncypialni jak pan?

– Każdy ma swoją strategię przetrwania. Oczywiście są adwokaci, którzy obiecują swoim klientom złote góry, ściągają z nich kupę pieniędzy i usprawiedliwiają się tym, że przecież „coś” robią, wykonują swoją pracę, chociaż wiedzą, że są oszustami.

Sędziowie?

– Czasami nimi gardzę. Dlaczego nie wybiorą zawodu, który pozwoli im zarabiać na życie i nie będzie wymagać łamania życia innym? Pamiętam, że jeden sędzia, który niesprawiedliwie skazał mojego klienta, później mnie przeproszał. Nic mu nie odpowiedziałem. Nie ma sensu rozmawiać z człowiekiem, który zdradził swój zawód. To nie sędziowie, to sekretarze, którzy robią to, co każą im władze.

Podobno w rozmowach ze śledczymi, policją, prokuratorami jest pan ostry. Do policjantów miał pan powiedzieć niedawno: „Cześć, gestapo”.

– Często im mówię podobne rzeczy, na razie nie miałem z tego powodu większych problemów. Jak reagują? Milczeniem. Ale nie zawsze. Kiedy śledczy zaczęli zarzucać Marinie Owsiannikowej „publiczne rozpowszechnianie świa-

domie fałszywych informacji o użyciu Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej”, zapytałem ich, czy zdają sobie sprawę, że realizują niekonstytucyjne, nieetyczne prawo? Pytałem, czy nie mogą się zwolnić z pracy, zamiast zajmować się tym, czym się zajmują. Powiedzieli mi, że w każdym kraju dzieją się takie rzeczy.

Lubię rozmawiać z ludźmi, którzy realizują represje polityczne. Ciekawi mnie, co myślą. Zdałem sobie sprawę, że w ich umysłach istnieje specjalna konstrukcja, która zajmuje się usprawiedliwianiem ich działań. Jeśli rozmawiasz z nimi przez długi czas, możesz zaobserwować konflikt między tą częścią psychiki, która jest zaangażowana w usprawiedliwianie się, a tą, która rozumie, że wsadzanie ludzi do więzienia za udział w proteście czy wpis na Facebooku to przesada.

Nie boi się pan?

– Oceniam ryzyko. Nie robię wszystkiego, co chciałbym zrobić. Nie mogę ani w Rosji, ani za granicą dyskutować na temat wojny, nie mogę mówić o działaniach Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej, bo mogę mieć problemy. Myślę też, że bardziej należy się martwić o los swoich klientów. Jeśli państwo będzie mnie za to prześladować, cóż, będzie to duży minus dla jego reputacji. Nie ja pierwszy, nie ostatni. Nie mogę powiedzieć, że na to czekam i do tego dążę, ale...

Czy stan prawa w Rosji to część systemu, czy mentalność?

– To wynika z niewłaściwego rozumienia praworządności, która jest schematą po czasach radzieckich, nieprawidłowej, skorumpowanej procedury mianowania sędziów, rozliczania sędziów, śledczych i prokuratorów z wyroków uniewinniających lub umorzeń sprawy, zależności sądów od władzy wykonawczej, a co za tym idzie, solidaryzowania się sądów z prokuraturą, bo jest to zwyczajnie wygodniejsze.

W Rosji aparat struktur siłowych jest jednym z największych na świecie, a system oceny efektywności jest zorganizowany w następujący sposób: musisz mieć wyniki takie jak w poprzednim roku albo lepsze. Wypełnić plan.

Po rozpadzie ZSRR źle przeprowadzono reformę sądownictwa, sędziowie nie byli lustrowani. Doszło do sytuacji, kiedy Władimir Lebediew, sędzia, który w czasach radzieckich skazywał dysydentów na podstawie paragrafu o „celowym rozpowszechnianiu fałszywych informacji dyskredytujących państwo radzieckie i system społeczny”, został mianowany na stanowisko przewodniczącego Sądu Najwyższego Federacji Rosyjskiej.

Można spotkać w rosyjskim sądzie albo prokuraturze uczciwego człowieka?

– Nie da się w Rosji być uczciwym śledczym, prokuratorem albo sędzią. Jeśli ktoś próbuje nim być, to prędzej czy później zostanie zwolniony. Ci, którym udaje się uchronić w sobie człowieka, sami odchodzą, dlatego średni okres pracy śledczego wynosi w Rosji trzy lata.

Za kratami może się znaleźć najbardziej niewinny, apolityczny człowiek. Rosjanie o tym wiedzą, dlatego widząc policjantów, przechodzą na drugą stronę ulicy. Dla nas oczywiste jest, że to bandyci, i mijanie ich to jak przechodzenie obok pijanego człowieka z nożem w rękę.

A dlaczego ludzie się na to godzą?

– Bo zawsze tak żyli. A wcześniej tak samo żyli ich dziadkowie i pradziadkowie. Ludzie walczą o to, co chce im się odebrać, a nie o to, czego nigdy nie mieli. Wiedzą, że wszelka działalność opozycyjna, a nawet głośniejsza krytyka władz oznacza represję.

Czego się pan boi?

– To złe pytanie.

Dlaczego?

– Bo kiedy zwierzysz się publicznie ze swoich strachów, dajesz swoim wrogom narzędzie, które może wykorzystać przeciwko tobie. Zawsze mówię klientom: cokolwiek by się działo, nie wolno okazać strachu. W przeciwnym razie ten mały piesek, do którego porównuję pracowników systemu, głośno szczekający i ujadający, na pewno cię ugryzie.

To wymaga nadludzkiego wysiłku.

– Nie, to nawyk, który Rosjanie wypracowują w sobie przez lata.

Można oczekiwać od ludzi bohaterstwa?

– Myślę, że ludzie, którzy oczekują tego dzisiaj od Rosjan, nie rozumieją, o czym mówią. Gdyby okazało się, że Polacy idą heroicznie na barykady, byłbym pełen podziwu, ale coś każe mi podejrzewać, że nie zdecydowałiby się na to.

Kiedy zbieramy się z kolegami adwokatami na piwo albo świętujemy czyjś ślub czy urodziny, zawsze w pewnym momencie zaczynamy żartować, że pewnego dnia wszyscy znajdziemy się w więzieniu i będziemy bronić się nawzajem zza krat. Humor to najlepszy rozpuszczalnik. Im bardziej się boisz, tym więcej musisz żartować, wtedy strach słabnie. Oprócz tego nasze żony muszą od samego początku zdawać sobie sprawę, z kim się wiąże. Moja była w szoku, bo na początku wyobrażała sobie, że adwokat to taki wszechmocny rycerz na białym koniu. Potem się wystraszyła. Dużo czasu potrzeba było, żeby w jakiś sposób ją uspokoić, ale też uświadomić jej, że ja ze swojej pracy nie zrezygnuję, choćby bardzo tego chciała.

Mówił mi pan, że wielu Rosjan ma coś, co można opisać jako PTSD.

– Zauważam to u siebie, choć to oczywiście bardzo lekka wersja. Kiedy wyjeżdżasz z Rosji i jesteś za granicą, zauważasz, że spokój i poczucie bezpieczeństwa cię męczą. W Rosji jesteś cały czas uważny. Mimowolnie zapamiętuję, jakie mijam samochody, kto w nich siedzi, jakiej plci, kogo mijam w windzie. Ciągle paranoja. Tak działa totalitaryzm: chce cię zmusić do stosowania autocenzury. Bardzo trudno jest w takich warunkach cokolwiek robić.

Czytam czasami komentarze pod moimi tekstami i widzę, że czytelnicy nierzadko są przekonani, iż Rosjanie po prostu lubią żyć pod butem.

– Nie ma przeklętych narodów. Nie ma gorszych narodów. Nie ma genetycznej skłonności do poddaństwa czy bohaterstwa. Nie



FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCIA WYBORCZA.PL

wierzę, że Polakom podobało się życie pod zaborami, w cieniu Imperium Rosyjskiego, a później ZSRR. Mimo to długo tak musieli żyć.

Wyjść na protest w Rosji to dzisiaj bohaterstwo czy szaleństwo?

– Za każdym razem, kiedy brałem udział w proteście, zegnałem się z rodziną. Upowiedziałem, że być może, jeśli mnie zatrzymają i aresztują, wrócę do domu dopiero za 15 dni. Oprócz tego odwoływałem wszystkie ważne spotkania, a przynajmniej uprzedzałem, że mogę się na nich nie pojawić. Często z tego powodu musiałem rezygnować z udziału, bo zostawiłbym swoich klientów bez wsparcia.

I co na to rodzina?

– Rodzice dowiadywali się post factum, a żonie zawsze obiecywałem, że wszystko będzie dobrze i że wrócę tego samego dnia. Klamałem.

Wielu mieszkańców Zachodu powie, że tak powinni robić wszyscy.

– Myślę, że byłoby to łatwiejsze, gdyby nie to, że przez cały okres aktywnej fazy represji trwającej od dziesięciu lat Zachód finansował Rosję, kupując od niej gaz. Te miliardy dolarów pomogły Putinowi wsadzać przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego do więzienia, anektować Krym i rozpocząć wojnę. Zasadniczo jeśli widzi się, że ktoś popełnia przestępstwa, to nie głaszcze się go po głowie, nie nagradza, tylko karze i stawia przed sądem, bo w przeciwnym razie pozwoli sobie na straszniejsze rzeczy. Nie chcę tutaj

scy aktywiści usiłowali zniszczyć mi samochód. W Polsce też, widząc widocznie rosyjską rejestrację, ktoś oblał go cementem.

Uśmiecha się pan.

– A co mam zrobić? Jeśli chodzi o sytuację w Polsce, to rozumiem ludzkie emocje. Chciałbym móc z tymi ludźmi porozmawiać, wyjaśnić im sytuację. Od zawsze żyję w takiej, a nie innej rzeczywistości, która sprzyja ukształtowaniu się bardzo wysokiej tolerancji na agresję i negatywne emocje z zewnątrz.

Europa może jakoś wesprzeć Rosjan w walce z reżimem?

– Wyobraźmy sobie, że wszyscy mieszkamy w wielkiej wsi o nazwie Europa. W domu Rosja mieszka mężczyzna, który po pijanemu znęca się nad żoną, o czym wszyscy wiedzą. Od czasu do czasu z niego wychodzi i prosi pozostałych mieszkańców Europy o pieniądze na alkohol. Czy pomagając mu, można oczekiwać, że pewnego dnia nie pobije swojej żony?

Czyli sankcje są słuszne?

– Nie mogę do tego zachęcać, bo zostanie to potraktowane jako nawoływanie do ich nałożenia, a to w naszym kraju uznawane jest za przestępstwo.

A dlaczego zależy panu na rozmowie z byłymi działaczami „Solidarności”?

– Lech Wałęsa powiedział w jednym z wywiadów dla rosyjskich mediów, że kiedy komunizm w Polsce upadł, zebrał się ze swo-

Od dłuższego czasu nie biorę spraw karnych innych niż polityczne, bo czułbym się jak oszust

przerzucać na kogokolwiek odpowiedzialności, lecz jedynie podkreślić to, że jedna trzecia państwowego budżetu, czyli dokładnie tyle, ile Rosja zarabiała dzięki Europie na ropie i gazie, przeznaczana jest na utrzymanie struktur siłowych.

Być może warto się nad tym zastanowić, wyciągnąć wnioski. Uwzględnić to, że wspierana przez Zachód ukraińska armia walczy z Putinem już osiem miesięcy. Owszem, odnosi sukcesy, ale wojna wciąż trwa. A jak my, zwykli ludzie, mamy sobie poradzić z Putinem, nie mając broni, wsparcia finansowego, czegokolwiek?

Denerwuje pana, kiedy pan słyszy, że jest winny, że w Rosji jest, jak jest?

– Potrafię rozmawiać nawet z najbardziej zjadłym rusofobem. Zawsze w takich sytuacjach zadaję atakującym mnie ludziom jedno pytanie: „A co wy zrobiliście osobiście dla demokracji we własnym kraju?”. Bo brałem udział w protestach, bronię w sądzie przedstawicieli opozycji, propaguję europejskie wartości, narażając na niebezpieczeństwo życie swoich i swoich bliskich, angażuję się w rozwój społeczeństwa obywatelskiego, żyję biednie, bo zamiast skupić się na zarabianiu pieniędzy, zajmuję się właśnie tym. I się nie skarżę, bo czuję się odpowiedzialny za swój kraj, chcę, żeby się zreformował, wszedł na właściwą drogę.

Każdy naród można zbydlęcić, uzależnić nędzny byt od państwa, ograniczyć rozwój inwestycji i włączyć propagandę nienawiści. To się u nas dzieje. 60 proc. Rosjan nie ma żadnych oszczędności, 72 proc. obywateli nie ma paszportu zagranicznego, a więc nigdy nie podróżowało.

A jakie pana trudności spotkały?

– Próbowano mnie zatrzymywać, karano grzywnami, grożono, śledzono. Prokremlow-

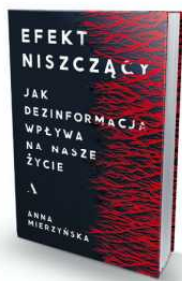
imi współpracownikami i powiedział: „Teraz mamy problem”, czyli ten moment, kiedy nie bardzo wiadomo, co zrobić dalej. Wiem, że my też będziemy się z tym w pewnym momencie mierzyć. Chciałbym się dowiedzieć, jak krok po kroku należy zreformować takie represyjne państwo jak Rosja, żebyśmy mogli się do tego przygotować.

Jaki finał chciałby pan zobaczyć?

– Wolną, demokratyczną Rosję. I żebyśmy wszyscy, kiedy to wszystko już się skończy, świętowali wspólnie w Moskwie, Warszawie i Kijowie. ●

Nie miejmy złudzeń: wszyscy stajemy się ofiarami dezinformacji. Podejmujemy decyzje, opierając się na fałszywych danych, a nasze emocje falują zgodnie z interesami innych ludzi.

Jak działa rosyjska propaganda? Jak stworzyć teorię spiskową i zmienić w zaraźliwy wirus? Jak szczuć przeciwko osobom LGBT? Książka cenionej analityczki **Anny Mierzyńskiej** to precyzyjna analiza internetowych manipulacji, które służą sianiu nienawiści, wywoływaniu i podsycaniu chaosu. **„Efekt niszczący. Jak dezinformacja wpływa na nasze życie”** w przedsprzedaży na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



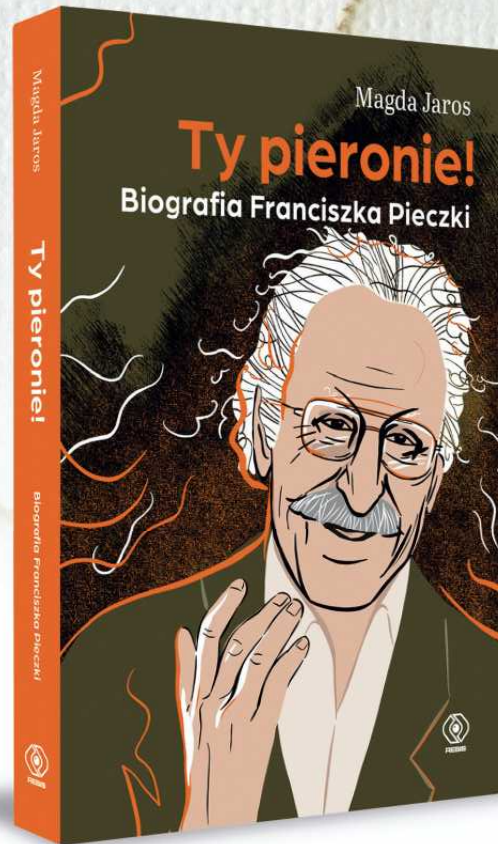
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę*

2.

Fragmentu książki Magdy Jaros „Ty pieronie! Biografia Franciszka Pieczki”



*Zamknięty w sobie, po śląsku hardy i osobny?
A może delikatny, wrażliwy, z gołębim sercem?
Jaki był Franciszek Pieczka, wybitny aktor,
który zagrał 500 ról filmowych i teatralnych.
Ta książka to wnikliwy i czuły obraz jego aktorskiej
wielkości połączonej ze skromnością,
prawością i uczciwością.*

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Magdy Jaros „Ty pieronie! Biografia Franciszka Pieczki” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

TPBFP22

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34176931

Przez całe życie Donald Trump mienił się Midasem, który czegokolwiek dotknie, zamienia w złoto. Nigdy się nie rozwodził nad tym, ile złotych sedesów i kranów zdobiących jego rezydencje kupił za pieniądze, które sam zarobił, a ile za pieniądze tatusia, oszusta podatkowego, który zrobił go milionerem w wieku ośmiu lat. Gdy w 2015 r., w czasie prezydenckiej kampanii, „Forbes” podał, że jego majątek był wart 4,1 mld dolarów, Trump uznał to za ohydne pomówienie – żadne tam śmieszne 4 mld – co najmniej 10! A naprawdę to dużo więcej, gdyby policzyć wartość jego marki! Nieraz groził procesami za zaniżanie wartości jego majątku. – Na naszej pierwszej liście w 1982 r. umieściliśmy go z majątkiem 100 mln, a był wart z grubsza 5 mln – mówi dziennikarz „Forbesa”. – Opowiadał tak kosmiczne kłamstwa, że ludzie wierzyli, że jakieś ziarenko tego musiało być prawdziwe. Ta taktyka dawała mu miejsce na liście „Forbesa”, na które nie zasługiwał – to prowadziło do przyszłych wyróżnień, zainteresowania mediów i transakcji. Ostatecznie utorowało mu drogę do prezydentury – dodaje.

Ciekawsze od tego, co mówił Donald na rok przed wyborami, było to, co mieli do powiedzenia eksperci finansowi. A ci dowodzili, że gdyby przeszedł na emeryturę w 1985 r., w wieku 39 lat, ówczesny majątek włożył w najprostszy indeks akcji i go nie tykał, to w 2015 r. byłby o 10 mld dolarów bogatszy. Czyli gdyby darował sobie wszystkie genialne transakcje, świetnie by na tym wyszedł. Pieniądz papy i to, co zdołał na początku kariery wydusić z nowojorskich nieruchomości, same by się mnożyły.

Bo wszystko, co Donald tknął, kończyło się totalną kląpą (linia lotnicza, liga futbolu, luksusowa wódka), bankructwem (jego kasyna plajtowały dwukrotnie), kompromitacją i procesami (Trump University) albo stawianiem banków pod ścianą: „Odpisz 40 proc. długu albo nic ci nie oddam”. W kampanii prezydenckiej zaproponował zresztą ten sam manewr jako sposób redukcji długu USA.

Ze wszystkich
interesów
Trumpa
najlepszym
okazała się
polityka

wiły realizację pomysłu. W sumie do prezydentury nie dołożył, ale prawdziwie bajecznych pieniędzy w czasie pierwszej kadencji się nie dorobił. Więcej wpadło do kieszeni zięciowi i córce.

Dopiero po wyprowadzce z Gabinetu Ovalnego Donald zaczął robić to, co kocha, czyli zarabiać ogromne pieniądze tak, aby się nie spocić. Zmienił natomiast branżę: dał sobie spokój z kasynami, mniej dłubie w nieruchomościach i telewizji, odpuścił z bólem konkursy piękności. Dziś wielką kasę Donald robi w polityce.

Choć co rusz ktoś go chce wykiwać. Na przykład taki Bob Woodward. Słynny dziennikarz wydał właśnie w formie audiobooku nagrania wielogodzinnych rozmów z Trumpem z czasów prezydentury. Donald jest wściekły. Mało go ruszają oceny Woodwarda, że „nie rozumie demokracji” albo że w rozmowach powtarza refren „wszystko jest moje”, „tylko ja mogę to naprawić”. Donald jest wściekły, bo uważa, że należą mu się za te audiobooki pieniądze. A Woodward nie zapłacił.

Granica między politycznymi ambicjami a robieniem kasy nigdy dla Trumpa nie istniała, więc nie powinno dziwić, że i teraz wszystkiemu, co robi, towarzyszy pytanie: ile można na tym zarobić?

Z czysto finansowego punktu widzenia rząd wyświadczył Trumpowi ogromną przysługę, gdy w sierpniu FBI przeszukało Mar-a-Lago. Jeszcze zanim agenci zaczęli wynosić tysiące tajnych dokumentów, w największym kuftrze Trumpa – organizacji wspierającej jego przekaz o nazwie Save America PAC – siedziało już 99 mln dolarów z datków. Po przeszukaniu na rozmaite konta kontrolowane przez Donalda popłynęły dodatkowe miliony od wiernych, których FBI tylko utwierdziło w przekonaniu, że ich idola szykanują.

Wedle prawa Trump może robić z tymi pieniędzmi, cokolwiek zechce tak długo, jak nie jest oficjalnie kandydatem na prezydenta. Czyli nie ma żadnej motywacji, aby

FOT. EVAN VUCCI/AP

ZAWÓD: ZBAWCA

Andrzej Lubowski

W okresie 1991–2009 Donald zbankrutował sześciokrotnie. Niedawno wyszło na jaw, że w latach 1985–94 stracił ponad 1 mld dolarów.

Wszystko to nie przeszkodziło Trumpowi przekonać kilkadziesiąt milionów Amerykanów, że zrobi im tak dobrze, że palce lizać. Wyszczególnił, komu pogoni kota (Chińczykom), komu zabroni wstępu (Latynosom), kogo zbombarduje po tym, jak zabierze mu ropę (Iran). Więc najpierw zainstalowali go w Białym Domu, potem uwierzyli, że jest półbogiem, a wreszcie, że tylko wielka krzywda historii i złodziejstwo głosów pozbawiło go kolejnej kadencji. W tym czasie część wiernych doszła do wniosku, że w ogóle czas dać sobie spokój z wyborami, a gdy zabraknie Donalda, rządzenie oddać potomkom. Zaczęli nawet

sprzedawać T-shirty z rozpiską dynastii Trumpów. A Donald – w chwilach wolnych od zachwyty nad samym sobą – informował świat, z kim najlepiej się dogaduje (Putin, Xi, Kim, Bolsonaro).

Prezydentura okazała się całkiem niezłą fuchą, choć liczył na więcej. Delegaci na inaugurację zamieszkali w hotelach należących do prezydenta po cenach niepreferencyjnych, bo niższe byłyby nieetyczne, a etykę Donald ogromnie poważa. Wielki nowojorski bank z szacunku dla głowy państwa przyznał mu gigantyczną pożyczkę na życzliwych warunkach, co pozwoliło opędzić się od części wierzycieli. Kilka pomniejszych finansowych dowodów sympatii dostarczyły kraje Zatoki Perskiej. Mar-a-Lago, jego rezydencja na

Florydzie, wystawiła podatnikowi odpowiednie rachunki za wizyty głów państw. W 2019 r. Białe Dobre postanowił, że szczyt G7 w następnym roku odbędzie się w należącym do prezydenta ośrodku golfowym National Doral Miami.

W historii Ameryki to bez precedensu, aby prezydent przyznał samemu sobie wielki kontrakt, ale w końcu od tego kraj ma głowę państwa bez precedensu, aby podejmowała decyzje, o których nikomu wcześniej się nie śniło. Miała ona logiczne podstawy: Trump tracił reputację i pieniądze, więc setki dyplomatów, dziennikarzy i agentów służb bezpieczeństwa bardzo by mu dobrze zrobiły w charakterze gości, zwłaszcza w czerwcu, gdy Miami jest upalne i wilgotne, więc ośrodek świeci pustkami. Niestety, wrogie siły plus COVID-19 uniemożli-

ogłosić kandydaturę, ale może użyć tych pieniędzy na organizację wieców w całym kraju, w czasie których zarabia następne krocie.

Scenariusz wygląda z grubsza tak jak rok temu w Naples na Florydzie. Trump przyleciał prywatnym samolotem należącym do magnata handlu złotem. Magnat poczytał sobie za zaszczyt, że Donald i Melania zechcieli skorzystać z jego usług, więc takie podróże nic Trumpa nie kosztują. Do wielkiego hangaru bohatera, tym razem w smokingu, wkroczył po czerwonym dywanie. Gigantyczna amerykańska flaga, orkiestra, podium, bar. Ogromny transparent „Let’s go Brandon” to tytuł kultowego już wśród entuzjastów wyścigów NASCAR protestu songu o nieskomplikowanej treści: „Let’s go Brandon” (F... Joe Biden). Bilet

wstępu na imprezę w przedziale od 10 tys. do 30 tys. dolarów upoważnia do fotki z Donaldem. Utarg z tego wieczu nie poszedł na rachunek PAC, ale prosto do kieszeni Trumpa.

W czasie pierwszych w tym roku wieczów w Arizonie i Teksasie na wielkich ekranach opłacanych przez PAC reklamowano album, który wydała firma założona przez najstarszego syna. Tacie wypłacono na to konto wielomilionową zaliczkę. Album sprzedaje się po 75 dolarów. Wariant z podpisem za 229,99 dolarów poszedł jak ciepłe bułeczki.

Trump, zanim wszedł do polityki, sprzedawał nazwisko firmom, które umieszczały je na koszuli, butelce wody czy kasynie. Dziś operuje inaczej: sprzedaje tańsze towary, ale z nikim nie musi się dzielić zyskiem ani negocjować umów. Trump Store oferuje online skarpetki, kubki, kieliszki, świece, szlafroki, klapki. Czerwona czapka z daszkiem, którą zna cały świat, z osobnej kolekcji MAGA – od słynnego „Make America Great Again” – u Donalda kosztuje 50 dolarów, o 20 dolarów więcej niż w jego PAC. Czapeczki to rynek mniej sexy niż apartamenty i pola golfowe dla bogatych, ale znacznie większy.

W zeszłym roku w Trump Tower na Manhattanie otwarto nowy bar o nazwie 45 Wine and Whiskey Bar. 45, bo Donald J. Trump to 45. prezydent. Cena koktajli także sięga zaczarowanej liczby 45, ale można je wypić, siedząc w ciemnych welwetowych fotelach w otoczeniu portretów Donalda i różnych pamiątek po 45. prezydencie. Trump przestał też na objazd kraju ze słynnym showmanem i komentatorem Bilem O'Reillym, gdzie bilet wstępu na spotkanie kosztował tylko 100 dolarów, ale fotka za kulisami już 7,5 tys. dolarów.

Trump nie grzeszy hojnością, gdy chodzi o pomoc kandydatom własnej partii. W 2021 r. na pomoc wszystkim republikańskim kandydatom wydał 350 tys. dolarów, mniej, niż jego PAC – komitet polityczny zapłacił mu za wynajem pomieszczeń w jego hotelu

Do tego dochodzą płatne przemówienia, choć ten biznes ostatnio odrobinę zwolnił, bo ich organizator, The American Freedom Tour, ma kłopoty finansowe i przestał płacić wierzycielom. Jego właściciel latem po raz piąty wystąpił o bankructwo.

Bardzo pojętną uczennicą okazała się Melania. Poza tym, że sprzedaje online własne pamiątki, urządziła w kwietniu w Naples ekskluzywną herbatkę połączoną z oglądaniem tulipanów i nauką sztuki strzyżenia roślin ogrodowych. Ceny biletów sięgały 50 tys. dolarów, z czego pewna, bliżej niesprecyzowana część miała iść na cele dobroczynne. Innym razem wystawiła na aukcję swój portret i biały kapelusz, który nosiła w czasie spotkania z prezydentem Francji.

Przez wiele lat Donald regularnie gościł w popularnym programie „Late Show with David Letterman”, gdzie był sobą, czyli bufonem. Gospodarz, ku radości publiczności, drwił z niego, a gość nic sobie z tego nie robił i czekał na następne zaproszenie. Doczekał się – w sumie był u Lettermana 30 razy – i starannie budował wizerunek ekscentrycznego, superbogatego playboya. Potem doczekał się własnego show, „Apprentice,” gdzie wcielił się w rolę genialnego biznesmena i mentora nowej generacji liderów. „Apprentice” przyniósł

mu sławę i stał się trampoliną do polityki. Po wyjściu z Białego Domu Donald wstąpił na znajomą ścieżkę.

Media społecznościowe od lat były idealnym polem dla Trumpa. Gdy Fox – wspierający Republikanów największy rywal CNN – ogłosił zwycięstwo Bidena, dla Donalda to był akt zdrady. Uznał, że czas pójść na swoje. W 2021 r. powstała Trump Media & Technology Group, której szefem został Devin Nunes – oddany bez reszty Trumpowi członek Izby Reprezentantów. TMTG zebrało wśród inwestorów 1 mld dolarów. Banki zachęcano perspektywą telefonu od Donalda. Zainwestuj 100 mln, a Trump do ciebie zadzwoni (choć z czasem wystarczyło zainwestować 50 mln). W lutym TMTG uruchomiło platformę Truth Social, która miała zastąpić Trumpowi Twittera, gdy zabroniono mu tam wstępu. W dniu przejęcia Twittera przez Elona Muska, który zadeklarował, że uchyli zapis na Trumpa, akcje Truth Social poszły w górę, a Trump napisał: „Jestem bardzo szczęśliwy, że Twitter jest teraz w rozsądnych rękach i nie będzie już zarządzany przez Radykalnych Lewicowych Lunatyków i Maniaków”.

Trump nie grzeszy hojnością, gdy chodzi o pomoc kandydatom własnej partii. W 2021 r. na pomoc wszystkim republikańskim kandydatom wydał 350 tys. dolarów, czyli mniej niż jego PAC zapłacił mu za wynajem pomieszczeń w jego hotelu.

PAC nie są komitetami wyborczymi konkretnej osoby, lecz służą wspieraniu kandydatów o podobnej filozofii i ideologii. Indywidualni darczyńcy nie mają ani czasu, ani możliwości rozeznaczyć się w setkach kandydatów, więc przekazują pieniądze do PAC w wierze, że on zadba, aby trafiły tam, gdzie mogą mieć największy wpływ. Tyle że w przypadku PAC Trumpa sporo czeków i przekazów ląduje w kieszeniach prawników, którzy reprezentują go w rozmaitych skandalach.

Ale to, że Trump zarabia pieniądze na lewo i prawo i utrzymuje się z bycia niekandydatem, nie znaczy, że nie tęskni za Białym Domem. Setki jego ludzi przygotowują plany na drugą kadencję. Cel podstawowy to radykalne zmiany w rządzie federalnym. Lider był znakomity, program rewelacyjny, zawiedli ludzie. Kadry są najważniejsze. Trzeba zmienić obsadę. Nie tylko Białego Domu, FBI, CIA, Departamentu Stanu, ale też wszystkich urzędów i instytucji. W pierwsze 100 dni po inauguracji pracę ma stracić około 50 tys. urzędników. Mają ich zastąpić bezwarunkowo lojalni ludzie, których listy już się tworzy.

Operacja na taką skalę nie jest możliwa bez starannie przygotowanej maszyny. Pierwsze skrzypce w jej budowie grają America First Policy Institute i Conservative Partnership Institute. Na te dwie instytucje nawet wąż w kieszeni Trumpa spogląda z sympatią.

Gwiazdą w tych zakulisowych pracach jest Kash Patel, który wpadł Trumpowi w oko. I tak szary urzędnik na początku kadencji pod jej koniec był już szefem sztabu Pentagonu. Donald przymierzał go nawet na zastępcę szefa FBI, ale ówczesny prokurator generalny William Barr powiedział szefowi sztabu Białego Domu: „Po moim trupie”. Mówi się, że w następnym podejściu Donald może mianować Patela szefem CIA albo FBI. Na razie Mr Patel wzorem szefa sprzedaje online czapki bejsbolowe i dresy, ma podcast na Truth Social, zbiera pieniądze na procesowanie się z dziennikarzami. Napisał też i zilustrował książkę dla dzieci o tym, jak „Król Donald” jest prześladowany przez „Hillary Queen-ton”. Trump oświadczył, że chciałby, „aby ta wspianiała książka znalazła się w każdej szkole w Ameryce”.

O tym, że kaprysy Donalda wędrują nieoczekiwanymi ścieżkami, przekonał się David McCormick. Świetnie wykształcony, bardzo zamożny polityk republikański, którego Trump zamierzał obsadzić na sta-

1 miliard dolarów stracił Trump w latach 1985-94

6 razy zbankrutował w okresie 1991-2009

10-30 tys. dolarów kosztuje fotka z Trumpem na jego wieczu

75 dolarów kosztuje „Nasza wspólna podróż”, album o prezydenturze Trumpa wydany przez syna Trumpa. Wersja z autografem – 229,99 dol.

1 miliard dolarów pozyskała od inwestorów firma medialna Trump Media & Technology Group

nowisku sekretarza skarbu, a przy okazji bliski przyjaciel córki Trumpa Ivanka i jej męża Jareda Kushnera, wydawał się murem w kandydacie Republikanów z Pensylwanii w batalii o miejsce w Senacie. Wiedząc, że Trump i Melania lubią Mehmeta Oza, jego głównego partyjnego rywala, McCormick prosił Trumpa tylko o to, aby nie ingerował w prawybory. Choć Trump poparł Oza, McCormick prowadził w sondażach. Wtedy Donald na wieczu w Pensylwanii brutalnie go zaatakował. McCormick przegrał o niecałe tysiąc głosów.

Dlaczego Trump to zrobił? Bo po ataku na Kapitol McCormick odmówił uznania wyborów prezydenckich za sfałszowane. A telewizyjny Dr. Oz, który zbił fortunę na suplementach, w mig chwytając, czego chce Trump, i bez zająknięcia powtarza, że czarne jest białe. Jednocześnie w ostatnich tygodniach prawicowe media, używając grafiki przypominającej logo „US News and World Report”, szanowanego magazynu informacyjnego, pod szyldem „US News Break” rozsyłają do milionów Amerykanów wiadomość: „Lek na pamięć wynaleziony przez Dr. Oza zdobywa Nagrodę Nobla. Można go kupić bez recepty i potraja pamięć w 21 dni”. Ilu republikańskich wyborców wie, że Nobla dostają ludzie, a nie leki sprzedawane bez recepty?

W ścisłej czołówce faworytów szefa pedałują Richard Grennell i Stephen Miller. Grennell zasłynął tym, że jako ambasador w Berlinie z nadania Trumpa, kilka godzin po objęciu urzędu zatweetował, że niemieckie firmy prowadzące interesy w Iranie powinny je natychmiast zastopować. Po kolejnych podobnych wyczynach niemieccy politycy wezwali do jego odwołania. Grennell uchodzi za najpoważniejszego kandydata na sekretarza stanu w razie wygranej Trumpa, a na razie zapowiada: „Nie spocznę, dopóki Jim Comey [były szef FBI usunięty przez Trumpa za śledztwo w sprawie jego powiązań z Rosją] nie stanie przed sądem”.

Stephen Miller, jeden z najbliższych doradców Trumpa, który dał się poznać w poprzedniej administracji jako rasista i ksenofob demonizujący imigrantów, już tworzy listy prawników do obsady przyszłego rządu. Wzorem dla niego jest prokurator generalny Teksasu Ken Paxton, który próbował zmienić wyniki wyborów 2020 r. i na każdym kroku sabotuje politykę administracji Bidena.

Gdy w ciągu ostatnich dwóch tygodni kampanii przed listopadowymi polówkowymi wyborami do Kongresu wydawało się, że przewaga Republikanów zdecydowanie rośnie (ostatecznie, ku zdumieniu wszystkich Demokraci utrzymali Senat, a przewaga Republikanów w Izbie Reprezentantów okazała się dużo skromniejsza, niż szacowano), Trump wykazał się zdumiewającym aktem solidarności z partią. Jego PAC przeznaczył aż 13 mln dolarów na republikańskie spoty „Chaos na granicy, przestępczość w naszym sąsiedztwie, upadająca gospodarka. To robota Bidena i Warnocka”.

Ale i ta solidarność jest selektywna. Warnock to senator z Georgii, przeciwko któremu Republikanie wystawili byłą gwiazdę futbolu amerykańskiego Herschela Walkera. Za gwiazdą ciągnie się smrodek kilku skandali, kiepsko mu idzie ze składnią zdania, ale ma poparcie Trumpa. Trudno, żeby nie miał, skoro cechuje go podobna pamięć jak jego mentora. Dziennikarzowi odpowiedział, że „to nie fair, aby oczekiwać, by mężczyzna pamiętał każdą aborcję, za którą zapłacił”.

Jednocześnie Donald zaatakował republikańskiego kandydata do Senatu z Kolorado, który miał czelność powiedzieć, że Trump nie powinien wystartować w 2024 r. Bo niedawno, zapytany po raz kolejny, czy stanie do wyścigu o Białą Dom, wykrztusił z siebie, że „chyba musi to znów zrobić”. ●

NASZA EUROPA

FOT. CHANTAL ANDERSON/THE NEW YORK TIMES



„The New York Times”

SPIELBERG KIERUJE KAMERĘ NA SIEBIE

– Kino bywa skuteczniejsze w przekazywaniu wartości niż rodzice – mówi Steven Spielberg. Realizując autobiograficzny film „The Fabelmans”, zmierzył się z rodzinnymi sekretami, a także z tym, co oznacza być Żydem w dzisiejszej Ameryce.

A.O. Scott

Przez ponad 50 lat Steven Spielberg reżyserował filmy na każdy temat pod słońcem. Rekiny, dinozaury, istoty pozaziemskie, przyjazne i nie, piraci, szpiegdy, żołnierze i bohaterowie historyczni i fikcyjni. Mało kto w Hollywood ma taki repertuar na koncie. Ale jeden temat, którego Spielberg unikał, to on sam.

Aż do teraz. „The Fabelmans” to rozbijający intymny film o rodzinie ściśle wzorowanej na Spielbergach. To portret twórcy jako młodego człowieka, który opowiada również historię rozpadającego się małżeństwa. Sammy Fabelman (Gabriel LaBelle) jest jedynym synem i najstarszym dzieckiem Mitzi (Michelle Williams) i Burta (Paul Dano), którzy na przełomie lat 50. i 60. przeprowadzają się z New Jersey do Arizony, a następnie do północnej Kalifornii. Sammy odkrywa swoje filmowe powołanie – kręci filmy w domu, w szkole i w drużynie skautowej – i jest świadkiem pogłębiającego się nieśczęścia Mitzi i niemożności poradzenia sobie z nim przez Burtę.

Scenariusz Spielberg napisał z Tonym Kushnerem, jego współpracownikiem przy „Monachium”, „Lincolnie” i „West Side Story”.

...

„The Fabelmans” opowiada historię, z którą najwyraźniej nosił się pan przez bardzo długi czas. Byłem ciekaw, co sprawiło, że w końcu została opowiedziana.

– Impuls, by rzeczywiście poważnie zająć się opowiedzeniem jej poprzez film, przyszedł dopiero w pandemii. Kiedy wybuchła, część moich dzieci przyleciała ze Wschodniego Wybrzeża i znów zamieszkała w swoich dawnych pokojach, a moja żona Kate [Capshaw] i ja nagle jakby odżyliśmy dużą część rozproszonej rodziny. Ale to było bardzo deprymujące – nie chodzić do pracy. Reżyseria to zajęcie społeczne, a ja jestem bardzo przyzwyczajony do interakcji z ludźmi każdego dnia. Nie zaaklimatyzowałem się zbyt dobrze w świecie Zooma...

Dostałem za dużo wolnego czasu. Wsiadłem do samochodu i jeździłem godzinami – po całym Los Angeles, w górę Pacific Coast Highway, do Calabasas, w okolice Twentynine Palms. Jeździłem i myślałem. Zacząłem się zastanawiać, jaka jest ta jedna historia, której wciąż nie opowiedziałem, a byłbym naprawdę na siebie zły, gdybym ostatecznie tego nie zrobił. I mimo że wielu odpowiedzi próbowałem udzielić, za każdym razem wracała ta jedna: okres, który mnie uformował, między siódmym a 18. rokiem życia.

Już wcześniej zajmował się pan tematem dzieciństwa na przedmieściach, ale nigdy dosłownie z własnego doświadczenia. Trudno było się po tylu latach wybrać w te rewiry?

– OK, można uznać, że „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” były o skutkach odchodzenia ojca od rodziny, a „E.T.” to historia dzieciaka wypełniającego pustkę, którą separacja rodziców spowodowała w jego życiu, i tak się złożyło, że wypełnił ją metaforycznie tym małym gościem z kosmosu.

Ale ta historia już nie miała używać żadnych metafor. Miała być o przeżytych doświadczeniach, a to okazało się dla mnie trudne. Łatwo było tylko zagadnąć Tony’ego Kushnera, czy nie pomógłby mi ułożyć tych wszystkich chaotycznych wspomnień w spójny film.

Kiedy zaczęliśmy to pisać – Tony w Nowym Jorku, ja w LA, kontaktując się ze sobą przez Zooma – pamiętać, z definicji ułotna, musiała zamienić się w coś dotykalne-

NASZA EUROPA

go, co jednak wyzwala zakodowane głę- boko doświadczenia. Dla mnie to był no- wy poziom trudności. Trudno jest trzymać kogoś za rękę na odległość, ale Tony wykonał dobrą robo- tę, oferując mi komfort, którego potrze- bowałem, kiedy dotykaliśmy trudniej- szych momentów z mojego życia, sekre- tów między mną a moją matką, o których nigdy, przenigdy nie zamierzałem mówić. Ani w autobiografii, której zresztą nigdy nie napisałem, ani w kinie. Ale dostaliśmy się za te delikatne barykady.

Tematy żydowskie to dla pana nie pierwszyczna, ale dotąd nigdy nie były przedstawiane w specyficznym kontek-ście amerykańskim.

– Nie doświadczyłem antysemityzmu, do- rastając w Arizonie, ale miałem z nim do czynienia, gdy kończyłem szkołę średnią w północnej Kalifornii.

Nawet przyjaciele zwykle zwracali się do mnie po nazwisku. Więc dźwięk ży- dowskości zawsze dzwonił mi w uchu, kiedy wołali przez korytarz: „Hej, Spiel- berg” – i byłem tego bardziej świadomy, niżbym chciał.

Bycie Żydem w Ameryce to nie to sa- mo, co bycie Żydem w Hollywood. Żyd w Hollywood to coś naturalnego, jak pra- gnienie przynależenia do popularnego kręgu i natychmiastowa w nim akcepta- cja, co było moim udziałem, przez wie- le różnorodnych nurtów i ludzi, z których zresztą wielu jest Żydami.

Kiedy robiłem pierwsze 8-milimetro- we filmy w szkole, na początku uważa- no mnie za dziwaka. To było coś nowe- go. Nikt nie miał kamer poza japońskimi 8-milimetrowymi aparatami, które jed- nak zazwyczaj pozostawały pod kontro- lą rodziców, używających ich tylko do ro- dzinnych nagrań domowych i tego typu rzeczy. A ja używałem kamery, żeby po- drasować moje życie towarzyskie, zdo- być przychyłność tych wysportowanych i popularnych dzieciaków, które w koń- cu wszystkie chciały wystąpić w moich fil- mach.

W pewnym sensie kamera była dla mnie jak paszport. Bo fascynowało mnie samo opowiadanie historii, ale równie mocno zależało mi na przynależności, mimo że nie bywałem zaproszony.

Antysemityzm jest w tym filmie wid- mem, które do pewnego stopnia zostaje przegnane, co odzwierciedla odczucia wielu żydowskich Amerykanów w tam- tych czasach – rodzaj optymizmu co do ich perspektyw w tym kraju. Dziś to widać nieco inaczej, gdy wydaje się, że antysemityzm się odradza w niektórych jego najbardziej toksycznych formach.

– Antysemityzm powraca tylko dlatego, że jest na to przyzwolenie. Nie wynika to z żadnych naturalnych cykli tego zjawiska, po prostu używa się go do budowania ide- ologii separacji, rasizmu, islamofobii i kse- nofobii – pasuje do tego. Wiele osób, które jeśli pielegnowały jakieś rasistowskie emo- cje, to raczej wyłącznie wobec czarnych, nagle dostało antysemityzm w ideologicz- nym i politycznym pakiecie. Został on od- kurzony i odeszpieczony, trwa to od mniej więcej 2015 czy 2016 r.

Mówi pan o kamerze jako przepustce, która umożliwia spełnienie aspiracji społecznych. Dla Sammy’ego Fabelma- na, pana filmowego alter ego, kamera jest jego sposobem na zbliżenie się do ludzi, ale jest też tym, co go od nich oddziela, ponieważ umieszcza go stale w pozycji obserwatora. Nie będę spo- ilerować rozwoju akcji filmu, ale muszę wspomnieć, że Sammy odkrywa ważną prawdę o małżeństwie swoich rodziców dzięki temu, co widzi przez kamerę. Tak było naprawdę czy to kolejna metafora – tego, jak działa kino?

– Nie. To się naprawdę wydarzyło. I była to jedna z najtrudniejszych rzeczy przy pisa- niu tego scenariusza – musiałem długo się zastanawiać, zanim postanowiłem to wy- korzystać, ponieważ był to najważniejszy sekret, który moja mama i ja dzieliliśmy od czasu, kiedy miałem 16 lat. A to za mło- dy wiek, by zdać sobie sprawę, że nasi ro- dzice są ludźmi, a także by nie mieć im te- go za złe.

Jedną z pana cech jako filmowca jest to, że przekazuje pan wiele emocjonalnych i psychologicznych informacji za pomo- cą innych środków niż dialog – poprzez język ciała, mimikę aktorów, ewentu- alnie jakąś energię przenikającą daną scenę. W tym filmie niezwykle jest to, że robi pan to niejako przypadkowo.

– Prawdopodobnie instynktownie, bo jak zawsze mówi moja żona, przypadki nie ist- nieją. Ponadto uważa, że nawet w czymś żarcie ukryta jest jakaś prawda o nim.

To bardzo freudowskie.

– Rzec w tym, że zawsze miałem kontro- lę nad filmami, które robiłem, nawet, a mo- że zwłaszcza, jako 12-letni dzieciak. Miałem kontrolę nad wszystkimi moimi filmami, aż do tego momentu, w którym odkryłem, że nie mam kontroli nad konsekwencja- mi tego, co odkryłem jako 16-latek. To jest coś, czego nigdy nie zapomnę i o czym mo- ja matka i ja rozmawialiśmy przez dziesiąt- ki lat po tym wydarzeniu.

Ten film wynika z chęci ponownego przejęcia kontroli nad historiami, nad obrazami?

– Oczywiście. A może nawet uczynić te hi- storie szczęśliwyszymi i przyjaźniejszymi. Nigdy nie byłem na terapii. Poszedłem raz do psychiatry mojego ojca, żeby po odpow- iednim czasie uzyskać pisemne potwier- dzenie, że jestem na tyle niezrównoważo- ny, że nie mogę walczyć w Wietnamie. To był jedyny raz, ale przy okazji okazało się, że ten psychiatra był bardzo prowójenny i w żadnym wypadku nie przyłożyłby rę- ki do zwolnienia mnie ze służby, a ja tylko zmarnowałem na wizyty u niego dwa mie- siące, po trzy dni w tygodniu, zawałając nieco studia.

Myszę, że w moim życiu funkcję tera- peutyczną spełniały filmy, które robiłem, historie, które wybierałem. Z tego Freud czy Jung mogliby o mnie sporo wywnio- skować.

Jak wygląda praca z aktorami, którzy mają grać rodziców reżysera lub zgoła jego samego?

– Ujmijmy to tak: kiedy próbowałem obsa- dzić „The Fabelmans” jak każdy inny film – z najlepszymi aktorami, jakich mogłem znaleźć i którzy pasują do roli – zdałem so- bie sprawę, że to nie zadziała, że tym ra- zem będzie musiało być więcej o tym, co już znane, a mniej o tym, co nowego da się osiągnąć. To znaczy, że szukałem świet- nych aktorów, ale potrzebowałem takich, którzy już w innych filmach przypominali mi moją matkę i mojego ojca, a zwłaszcza wydali mi się podobni do mnie samego. Oczywiście na tyle, na ile jesteśmy w stanie ocenić samych siebie, żeby naprawdę zna- leźć kogoś takiego jak my.

Było to trudniejsze od rutynowej robo- ty, bo musiałam ich poznać w inny sposób. Warunkiem wstępnym była moja intuicja. Więc to ograniczyło pole gry. Rozważałem wielu, ale mój ostateczny wybór padł na Paula Dano i Michelle Williams.

Które ich role wywindowały ich w pań- skim rankingu?

– Moim ulubionym filmem Michelle po- zostaje „Blue Valentine”, ale najbardziej szczerza, odmienna niż wszystko, co kiedy- kolwiek wcześniej zrobiła, była rola Gwen Verdon w „Fosse/Verdon”. Zdałem sobie sprawę, że ona naprawdę może za każdym

razem całkowicie przeformułować siebie poprzez postać, i to przesądziło.

Mitzi sama jest muzykiem i tancerką, a ten performatywny aspekt jej osobo- wości jest w filmie ważny.

– Była performerką, ale była też kobietą od- grywającą rolę matki. Żeby dać panu tro- chę wglądu w nasze relacje: była do te- go stopnia bardziej rówieśniczką niż ro- dzicem, że moje trzy siostry nawet od naj- młodszych lat odmawiały nazywania jej mamą i zwracały się do niej wyłącznie jej pierwszym imieniem – Lee. Tylko ja się wy- łamywałem. A to dlatego, że chciała być częścią gangu i niekoniecznie była zainte- resowana zarządzaniem rodziną czy by- ciem odpowiedzialną opiekunką. Chciała, żebyśmy patrzyli na nią jak na jedną z nas.

To pozwala zaznaczyć kontrast pomię- dzy Mitzi a Burtem. Film jest w sporej mierze o dochodzeniu przez nich do wniosku, że są fundamentalnie niedopa- sowani.

– Mój ojciec, podobnie jak ja, nie potrafił nawet śpiewać bez fałszowania, ale kochał muzykę klasyczną i doceniał kunszt matki jako pianistki.

Pamiętam, że ciągalі mnie na koncerty do filharmonii. Jako dziecko nie rozumia- łem takiej muzyki. To było straszne, onie- śmielała mnie i była zdecydowanie za gło- śna. Oni byli wniebowzięci, siedząc ze mną pośrodku. Często trzymali się za ręce opar- te na moich kolanach, a nawet mieli lzy w oczach, ale na tym ich obszar wspólny się kończył. Umysł mojego ojca był zdomi- nowany przez naukę i jej rygory.

„The Fabelmans” to film o filmach, a tak- że o historii kina: zaczyna się poniekąd od Cecila B. DeMille’a, a kończy na Joh- nie Fordzie. Pewnie odczytuję to w ten sposób, ponieważ jestem krytykiem filmowym, ale to świadomy wybór este- tyczny?

– Widzę w sobie showmana, jakim był DeMille, ale zawsze najbardziej kocha- łem dzieła Johna Forda. Studiowałem je tak długo, aż byłem bardzo świadomy ich kompozycji. Ford był moim bohaterem i dostałem od niego świetne lekcje, któ- re on pewnie uznałby bardziej za ruganie mnie po prostu. Ale nie bałem się go, inspi- rował mnie.

Byłem jeszcze nastolatkiem, kiedy go poznałem, i nie wiedziałem nic o jego repu- tacji, o tym, jak bardzo był surowy i wście- kły i jak potrafił zjadać na śniadanie co po- niektórych szefów studiów. Dopiero kie- dy inni zaczęli o nim pisać, zorientowałem się, że mam szczególnie, uszedłem z konfro- tacji z nim z życiem.

Patrząc na znaczenie, jakie kino ma dla postaci w pańskim filmie, myślałem, czy należymy do ostatnich pokoleń, które będą doświadczać magii wielkiego ekranu.

– O, były już w historii momenty, gdy Hol- lywood podnosiło się po utracie części ma- sowej widowni na rzecz telewizji. We wcze- snych latach 50. wymyślili CinemaScope, a potem technologię 3D. Pamiętam, że by- ło w NBC od początku lat 60. coś o nazwie „Saturday Night at the Movies”. Nie trzeba już było wychodzić do kina w sobotni wie- czór, ponieważ NBC nadawało filmy spe- cjalnie dla tych, którzy nie chcieli wycho- dzić z domu. To nie jest nic nowego.

Pandemia stworzyła platformom stre- amingowym okazję do podniesienia liczb- y subskrypcji do rekordowych poziomów, a także do postawienia kilku moich przyja- ciół filmowców w dziwnej sytuacji, ponie- waż ich filmy po prostu nie zostały wysłane do kin. Spłacono je i zostały zdegradowane do – w tym przypadku – HBO Max. I myślę, że sporo widzów odetchnęło z ulgą, że nie muszą już rozdeptywać popcornu, żeby so- baczyć nowy film. Ale naprawdę wierzę, że

na tych samych widzów, kiedy już skuszą się na wizytę w kinie, magia sytuacji spo- łecznej z grupą obcych ludzi doświadcza- jących wspólnie z nimi podobnych emocji znów zadziała jak balsam.

Ci widzowie przecież, jak sądzę, pamię- tają, jak wychodzili z kina i jeśli film był dobry, mówili: „Czyż to nie wspaniale, że wybraliśmy się dziś do kina?”. Wystarczy więc, że my zajmniemy się dostarczaniem dobrych filmów. Uważam za zachęcają- ce to, że „Elvis” przekroczył 100 mln dola- rów w krajowym box offisie. Wiele star- szych ludzi poszło na ten film i to dało mi nadzieję. Myszę, że rytuał wyjścia do kina powróci.

Jasne, że niekończące się sequele i filmy od Marvela i DC mają swoją publiczność. Ja mam nadzieję, że wrócą wielkie kome- die, bo w domu nie można się śmiać tak głośno jak na widowni. Zwykle nie oglą- dam swoich filmów z publicznością, ale moja żona powiedziała, że muszę obejrzeć „The Fabelmans” na festiwalu w Toronto. Byłem przerażony, ale okazało się, że 2 tys. osób śmiało się w tych momentach, w któ- rych chciałem.

Kiedy zaczynasz i serwis streamingowy daje ci szansę na wyreżyserowanie twojego pierwszego filmu, to oczywiście on będzie decydował, ale nie znam nikogo, kto nie chciałby, aby jego filmy były pokazywane na dużym ekranie. Na razie wystarczy dys- trybucja w czterech kinach, żeby film mógł ubiegać się o nagrody. To trzeba zmienić.

Pewne filmy doskonale nadają się do iPada. Sam zresztą o tym decyduję w mojej małej wytwórni filmowej.

Kino jest teraz i, jak sądzę, już było przed pandemią zdominowane przez franczy- zy, przez filmy, o których producenci wiedzą, że na nich zarobią. Wydaje się, że to otwiera możliwość, by wprowa- dzać do kin filmy innego typu.

– Chcemy, żeby kina pozostały otwarte, a platformy streamingowe prosperowały. To ważne społecznie. Gdy robiłem z mo- ją ekipą „The Post” [o aferze Pentagon Pa- pers], to przecież jako polityczną wypo- wiedź o naszych czasach poprzez analogię do administracji Nixona. Uważaliśmy, że to był ważny impuls dla wielu ludzi, aby zro- zumieć, co się dzieje z naszym krajem. Nie wiem, czy gdyby dano mi ten scenariusz po pandemii, nie wolałbym zrobić tego fil- mu dla Apple’a czy Netflix’a i wyjść do jesz- cze szerszej publiczności. Bo ten film miał coś do powiedzenia milionom ludzi, a my nigdy nie ściągnęlibyśmy tych milionów do wystarczającej liczby kin. Sprawy zmieniły się na tyle, że mogę to powiedzieć.

Wiele filmów, które moim zdaniem były wspaniałymi dziełami, ma swój króciut- ki moment, a potem znikają w algoryt- mie wyszukiwarek.

– Kiedyś gromadziliśmy biblioteki filmów w taki sam sposób jak płyty winylowe. Ale dziś wszystko jest w chmurze i nie mamy już miejsca na półkach, by kolekcjonować nasze ukochane filmy jako część naszego osobistego dziedzictwa kulturowego, któ- re zainspirowało nas do stania się lepszymi ludźmi – bo są wartości, które kino może przekazać skuteczniej niż rodzice. Tęsknię za antykami, które mogę trzymać w rękę i włożyć do odtwarzacza, ale jestem staro- świeckim facetem. Mam 75 lat i lubię mieć coś, co uwielbiam. Na przykład płytę z „La- wrence’em z Arabii”. Cenię to sobie. ●

tlum. Łukasz Grzymisławski

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji. Artykuł ukazał się pierwotnie w „The New York Times”. © 2022 The New York Times Company

Wyobraźmy sobie historię alternatywną. „Psy” Władysława Pasikowskiego nigdy nie powstają. 30 lat temu, w listopadzie 1992 roku, film nie zostaje pokazany na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Nie podbija kin, nie krąży na VHS-ach, nie staje się legendą. I nie ma żadnego skandalu. Nikt nie ogląda obrazoburczej sceny, w której pijani ubecy śpiewają „Balladę o Janku Wiśniewskim” – jeden z nieformalnych hymnów „Solidarności”, nawiązujący do wydarzeń Grudnia ’70 – niosąc na ramionach nieprzytomnego kolegę.

Ani jak grany przez Marka Kondrata były funkcjonariusz SB strzela do skrupowanego sznurem i wrzuconego do bagażnika gangstera, co ewidentnie – i wulgarnie – ma nawiązywać do morderstwa księdza Jerzego Popiełuszki.

W postaci Franza Maurera nikt nie dopatruje się inspiracji wykreowanym przez Zbyszka Cybulskiego pięknym stracińcem Maćkiem Chelmskim z „Popiołu i diamentu” Andrzeja Wajdy. Kolejnej świętości – tym razem polskiej kinematografii.

Ani nawet polskiego macho.

Kim bez tego filmu jest Bogusław Linda?

„PRZYPADEK”? NIE SĄDZĘ

Początek lat 80., trwa tzw. karnawał „Solidarności”.

Linda biegnie po peronie dworca Łódź Fabryczna. Ma na sobie dzinsy, zielony sweter w kratę i sportową kurtkę, na ramieniu – wielką torbę. Jest ciężka. Krzysztof Kieślowski zaczynał jako dokumentalista, nie uznaje kompromisów. Torba ma ważyć tyle, ile prawdziwy bagaż. Po kilku próbach aktor z trudem łapie oddech.

Reżyser bierze od niego torbę, by zdemonstrować, że bieganie z nią to nic takiego. Coś mu strzela w kręgosłupie – i zmniejsza Lindzie obciążenie.

Nieprzypadkowo (nomen omen), bo kręcąc „Przypadek”. Scenariusz zakłada trzy warianty losu bohatera. W zależności od tego, czy wskoczy do pociągu, czy zatrzyma go pracownik kolei, czy po prostu nie zdąży, Witek albo wstąpi do partii, albo zaangażuje się w „Solidarność”, albo pozostanie neutralny. Tak czy owak, biegania jest dużo.

Kieślowski robi ten film trochę na przekór nastrojom wokół. Gdy wśród Polaków wystrzają się podziały na „dobrych” i „złych”, jego bohater w każdym z trzech wcieleń stara się zachowywać przyzwoicie (czasem nie wychodzi). A reżyserowi najbliższy jest chyba Witek niezaangażowany. Jedną z najlepszych scen to ta, w której umierający ojciec mówi mu: „Nic nie musisz”.

Wybór odtwórcy głównej roli nie dziwi. Linda nie skończył jeszcze 30 lat, ale kino moralnego niepokoju już się o nim zwiędziało. W tym samym czasie na festiwalu w Cannes pokazywany jest „Człowiek z żelaza” z jego udziałem. Andrzej Wajda na gorąco chwytal w nim atmosferę Sierpnia ’80. Jury przyznaje filmowi Złotą Palmę.

U Agnieszki Holland też zagrał: w „Gorączce”. Anarchistę Gryziaka. Na planie tego filmu operator miał nie wytrzymać i wyjść z kamerą: „Agnieszka, co on, kurwa, gra?! Przecież tak się nie gra!”. Ale Holland zrozumiała, o co chodzi: „Daj mu tak zagrać, zobaczymy”. I się nie myliła.

Bo Linda gra na półtonach, oszczędnie. Jest naturalny. Jego idole to Marlon Brando czy James Dean, dzięki nim wie, co go w polskich aktorach tak irytuje: nawet w intymnych scenach grają tak, żeby było ich słychać w siódmym rzędzie. Są teatralni w złym sensie. On wybiera powściągliwość.

A więc hollywoodzki gwiazdor? Na to się nie zanosz. A już na pewno nie macho. Raczej inteligent. Do takiego wizerunku przyznania się też rola w „Matce Królów” Janu-



• Bogusław Linda i Bogusław Pawelec w „Przypadku” Krzysztofa Kieślowskiego
FOT. EAST NEWS/POLFILM

NIGDY NIE BĘDZIE TAKIEGO LATA

Co byłoby z Lindą, gdyby nie było „Psów”?

Małgorzata I. Niemczyńska

sza Zaorskiego. Linda wygląda chłopięco, jest szczupły. W następnym filmie – „Kobiecie samotnej” – Holland obsadza go w roli młodego inwalidy.

PLACKI Z HALABARDĄ

Ale skąd się wziął? I kiedy?

Otóż 27 czerwca 1952 roku. Dorastał w Toruniu, mieszkał w bloku z mamą. Wciął placki ziemniaczane z cukrem, bo na mięso nie było ich stać. Ojciec żył z nową partnerką w Bydgoszczy, Boguś wyniósł się z domu w wieku 16 lat. W dzieciństwie z powodu biedy miał krzywicę klatki piersiowej. Trenował boks i judo, chcąc zmęczyć. Mama go zapisała na jazdę figurów na lodzie, żeby nie chuliganil, ale z zajęć raczej upokorzony uciekał. Długo czekał na zarost, ukradkiem pisywał wiersze. Kuzyn uczył go pić, palić i bić się łańcuchami. Na wakacjach maltretowali żaby.

Linda postanowił zostać aktorem, bo wydawało mu się, że to najłatwiejszy zawód

pod słońcem. A z nim najłatwiejsze może być z kolei to, co interesowało go szczególnie już od szóstej klasy podstawówki: uwodzenie kobiet. Tak przynajmniej sam o tym mówi. Dodaje, że w tym czasie był kochliwy i niewierny.

Jedzie do Krakowa, byle dalej od domu. Na studiach nadal jest niegrzeczny, jakby podświadomie przygotowywał legendę. Eugeniusz Fulde, ówczesny rektor PWST, chce go ukarać odebraniem stypendium, a że Linda stypendium nie ma, przyznaje mu je, by natychmiast za karę odebrać. Wylatuje z akademików, a po pierwszym roku grozi mu relegowanie z uczelni, bo – uwaga – straszliwie wstydy się grać.

Przyszły macho polskiego kina wygląda wtedy jak cherubinek, ma jasne loki i drobną budowę ciała, nic więc dziwnego, że dostaje rolę właśnie Cherubina w „Weselu Figara” w Teatrze im. Juliusza Słowackiego.

Po latach wspomni pierwszą próbę tak: „Patrząc, oni coś tam opowiadają na tej scenie, grają, udają, a ja doznałem takiego dojmującego uczucia zażenowania, wstydu,

braku umiejętności. Pamiętam, że z tego wstydu zawędrowałem pod łóżko grającej hrabinę Marii Nowotarskiej i nie chciałem spod niego wyjść”. Cherubina gra więc Marian Dziędziel (dziś też trudne do uwierzenia), a Lindę chcą wyrzucić za brak talentu. I to go wreszcie mobilizuje.

Na etacie w Starym Teatrze wiele nie zdziała (według jego słów to „dwa lata trzymania halabardy”), choć niemal podpartrzy. Zwłaszcza że mieszka nad sceną, w pokoju z samym tylko siennikiem na podłodze, a z ubikacji słyszy spektakle, na które pół Krakowa bezskutecznie próbuje zdobyć bilety. Potem wciela się m.in. w Hamleta w Teatrze Polskim we Wrocławiu, do której to roli wielu dojrzewa przez całą karierę. Wreszcie trafia do kina – i tam jego miejsce.

Ma szczęście?

WYBÓR BOGUSŁAWA

„Szczęście i nieszczęście, bo te wszystkie filmy poszły na półki, to znaczy nie puściła ich do kin cenzura. W tak zwanym apogeum

miałem trzynaście filmów na półkach. Aż śmiano się i mówiono, że jak ja w czymś zagram, to to na pewno pójdzie na półki” – opowiada w jednym z wywiadów.

Innym razem nazywa całą tę sytuację „dobrą lekcją pokory”. „Przypadek”, „Matka Królów”, „Kobieta samotna” – wszystkie czekają na oficjalne premiery po kilka lat. Żyją w drugim obiegu, na zamkniętych pokazach, ale Linda i tak się czuje, jakby nie istniał. Przed wprowadzeniem stanu wojennego „Człowieka z żelaza” zdąży zobaczyć w kinach pięć milionów Polaków. Potem zostaje zdjęty.

Kiedy na ulice wyjeżdżają czołgi, a w telewizji zamiast „Teleranka” pojawia się generał Wojciech Jaruzelski, Linda ma możliwość wyjazdu do Paryża. Wajda chciał kręcić „Dantona” w Polsce, ale w tych okolicznościach przenosi projekt do Francji.

Przez pół roku aktor mieszka u jednego z producentów, w luksusie, na 300 metrach kwadratowych. Ma dwa koty i sprzątaczkę z Portugalii. Pija wódkę z Jackiem Kaczmarskim, a potem szłocha do jego piosenek. Na plaży w Normandii pija z Holland wina z kartonu. Po zakończeniu zdjęć Wojciech Pszoniak i Andrzej Seweryn decydują się zostać za granicą. Linda miał dostać propozycję roli w „Wyborze Zofii” z Meryl Streep (jej drugi Oscar). Według relacji aktora odradził mu to Wajda, przekonując, że film może zostać w Polsce odebrany jako antysemitcki. Więc wrócił.

Przy pożegnaniu jego francuska agentka nie mogła uwierzyć, że Linda nie ma w Polsce telefonu. Kazał jej dzwonić do Teatru Studio, z którym był wtedy związany. Na lotnisku czekał zaprzyjaźniony kompozytor Przemysław Gintrowski zaopatrzony w ciepłą wódkę. Przyjechał po niego małuchem.

W swojej książce kucharskiej (serio, kucharskiej) Bogusław Linda pisze: „Było w tym powrocie coś przejmującego; że wracam do swoich blizn i uniesień związanych z tą ojczyzną, z określoną miłością do tego, co nas otacza, i do tego chamstwa, i do tej głupoty, i jednocześnie do tych wspaniałych ludzi, którzy są tutaj, a nie ma ich nigdzie indziej”.

I do tych filmów – przypomnijmy – leżących na półkach.

A KTO UMARŁ, TEN NIE ŻYJE

Coś drgnęło w drugiej połowie lat 80. Filmy z pólk zaczęły być pokazywane na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych (w 1986 roku jeszcze w Gdańsku, w 1987 – już w Gdyni). „Miałem swój festiwal” – przyznaje Linda, choć gorzko. A w 1989 roku – wiadomo – przełom, transformacja. Rok później zniesiona zostaje cenzura. Ambitne kino autorskie, które nie boi się zadzierać z władzą, nareszcie może swobodnie żyć.

I właśnie wtedy Linda przestaje w nim grać.

Młody reżyser i scenarzysta nazywa się Władysław Pasikowski. Kiedy Linda grał Hamleta, mógł pisać właśnie klasówkę z matmy. Na początku lat 90. debiutuje produkcją „Kroll”. To solidna sensacja z nienachalną nadwyżką w postaci smutnego obrazu realiów polskiego wojska.

Olaf Lubaszenko, odtwórca roli tytułowej, podsuwa mu kolejny pomysł. Chciałby zagrać policjanta, najlepiej w podobnej obsadzie, bo podczas zdjęć wszyscy się zaprzyjaźnili. Pasikowski pisze pierwszą wersję historii i idzie z nią do Juliusza Machulskiego – nie tylko reżysera „Seksmisji” czy „Kingsajzu”, ale także producenta. A ten kręci głową.

„Policjanci z Warszawy”? Ma być jak „Policjanci z Miami”? Bez sensu. Lepiej zrobić coś o tu i teraz, na wskroś polskiego, z nawiązaniem do bieżącej sytuacji. Bo ta jest niezwykła. Za oknem kielkuje III RP, przebijając się przez gruzы PRL-u.

Następna wersja scenariusza nosi już tytuł „A kto umarł, ten nie żyje”. Lubaszenko miał takie powiedzenie, gdy kręcili „Krolla”, często je powtarzał na planie.

To zdanie powróci w finałowej scenie filmu, który ostatecznie zatytułowany zostanie „Psy”. Chodzi, rzecz jasna, o potoczne określenie policjantów, choć wtedy jeszcze mało kto tak mówi. Pasikowski twierdzi, że wziął je z jednego z licznych w PRL-u dowcipów o milicjantach (w kapitalizmie przepadną, wyprą je blondynki).

A szło to tak: Dlaczego milicjant patroluje ulice z psem? Bo co dwie głowy, to nie jedna.

Film ostatecznie opowiada o byłych ubekach, którzy próbują się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Jedni przeszli pozytywną weryfikację i zostali policjantami, inni znaleźli się niejako po drugiej stronie i zasilili szeregi mafijne.

Przez wątki czysto sensacyjne przewija się m.in. sprawa niszczenia dokumentów bezpieki. Jedna ze scen powstaje nawet na dziedzińcu autentycznego gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którym kieruje wówczas Antoni Macierewicz. Polską wkrótce wstrząśnie „noc teczek”. Produkcja, która miała być po prostu kinem gatunkowym obliczonym na niegłupią rozrywkę, staje się kreślonym na gorąco obrazem transformacji.

Lubaszenko dostaje jednak rolę drugoplanową. Razem z „Psami” rodzi się nowy, wzorowany jakby na westernach bohater, który stanie się symbolem lat 90. Nazywa się Franciszek Maurer, dla przyjaciół Franz.

Idealista, chociaż cyniczny. Twardziel, ale wrażliwy. Rycerz przegranej sprawy, do tego bożyszcze kobiet. Zagra go kto inny. To z jego lekko skrzywionych ust padnie pamiętna odpowiedź na pytanie komisji weryfikacyjnej: „Czy jest pan gotów stać na straży porządku prawnego odnowionej, demokratycznej Rzeczypospolitej Polskiej?”.

„Bezapelacyjnie! Do samego końca!”. I po zaciągnięciu się papierosem: „Moje-go lub jej”.

ZABIJ MNIE, LINDO

Ale zaraz, zaraz, mieliśmy się przecież zastanowić, co by było, gdyby Linda – już znacznie szerszy w barach – nie wskoczył do pociągu o nazwie „Psy”. I gdyby Franz Maurer, którego zagrał w sumie trzy razy, nie przyćmił około stu jego pozostałych ról.

I Petroniusza w „Quo vadis” Jerzego Kawalerowicza (choć film był kiepski), i księdza Robaka w „Panu Tadeuszu” Wajdy (gdzie zagrał żołnierza ubranego w habit). Albo świetnego Stygmy – włóczęgi, który udaje stygmatyka – z „Jańcia Wodnika” Jana Jakuba Koloskiego. Pólnagi wisiał w tym poetyckim filmie na krzyżu.

Prawdopodobnie nie byłby dziś jednym z najpopularniejszych polskich aktorów, czego nie jest w stanie ruszyć nawet to, że już w sumie gra nie tak dużo. Ani nie zarobiłby grubej kasy na reklamach: od Burger Kinga po – owszem – Geriavit.

Ale od komercji i kina bandyckiego raczej by nie uciekł. Bo taki po prostu zaczął się robić świat polskiego kina. Zresztą wcielił się w gangstera już pod koniec lat 80. – w „Zabij mnie, glino” Jacka Bromskiego. A w latach 90. powstały też chociażby „Sara” („Polskie realia są zachowane, są ulice Warszawy, lecz parę pomysłów jest już typowo amerykańskich. To takie kłisze” – mówił reżyser Maciej Ślesicki) czy „Miasto prywatne” – zagrał w nim mafiosa. Mafiosi obejrzeli.

„Mieszkam koło Pruszkowa – opowiadał po premierze – więc byłem na nich skazany. Po »Mieście prywatnym« świętej pamięci Jacka Skalskiego z Pruszkowa, który pozmieniał ksywki mafiosów, na przykład Pawłaka na Pawika – przyszedł taki jeden pod mój dom i przez domofon nadawał: »Cześć, Boguś! Czemu ty, kurwa, żelazkiem przypalałeś? Ja nikogo nie przypalałem. Powiedz mi, gdzie mieszka ten reżyser«. Z kolei na festiwalu w Gdyni chłopaki sprzedawali mi porsche: »Jak dla ciebie, Franz, to za osiem tysięcy baksów. Wybierz se tylko kolor. Za tydzień masz furę«”.

Ale Linda jeździł już wtedy jaguarem.

ŁĘKI KASTRACYJNE

Zatem „Psy”. Jednak od nich nie ucieknemy.

Pasikowski chce opowiedzieć polską historię w amerykański sposób. Z rozmachem i w tempie. Razem z operatorem Pawłem Edelmanem studiuje kadry zachodnich produkcji. Scenopis przygotowują wspólnie. Dialogi reżyser szlifuje razem z Lindą.

Lindę chcą wyrzucić za brak talentu. I to go wreszcie mobilizuje

To właśnie język „Psów” przyniesie im bodaj najwięcej sławy, również tej złej. Bohaterowie przeklinają na potęgę, co w pierwszych recenzjach spotka się z szderstwami („W scenie finałowej »Psów« przerażony Kondrat stara się wytłumaczyć mierzącemu węń z kalasznikowa Lindzie, że zawsze był wobec niego lojalny. Linda wrzuca na twarz swój uniwersalny grymas i rzecze: »Pierdolisz«. Zdesperowany Kondrat wzmaga wyjaśnienia. Linda powtarza swoje. Kondrat wije się w ekspiacji. A Linda wreszcie: »Pierdolisz moją kobietę!«. Co za refnada! Co za lotność! Jakże wysoko szymbuje tu myśl artysty!” – pisze Lech Niedzielski w „Wyborczej”).

Ale twórcy filmu wiedzą, że byli ube-cy nie mogą jechać Mickiewiczem. Intuicja ich nie zawodzi, bo gdyby chcieć wyliczyć wszystkie cytaty z „Psów”, które weszły do potocznego języka, trzeba by przepisać prawie całą ścieżkę dialogową.

Dość wspomnieć np. „W imię zasad, skurwysynu”, „Ty stara dupa jesteś”, „Bo to zła kobieta była”, „Wy wszyscy jesteście pojebani, was nie można sądzić, was trzeba leczyć”, „Olo, ty się, kurwa, ode mnie odpierdol”, „Nie chce mi się z tobą gadać” czy też „Czasy się zmieniają, a pan zawsze jest w komisjach”. A także – o ironio – najsłynniejsze, niewątpliwie utrzymane w klimacie produkcji zdanie, które jednakowoż w ogóle (naprawdę w ogóle) w nim nie pada: „Co ty wiesz o zabijaniu?”.

Bohaterowie noszą w większości niemieckobrzmiące nazwiska – Maurer, Gross czy Wolf – co Pasikowski tłumaczy przewrotnym żartem. Zainspirować miał go Stanisław Barańczak, który w „Książkach najgorszych” odnotował, że w powieściach sensacyjnych milicjant nosi zawsze polskie nazwisko, a przestępca – niemieckie albo żydowskie.

Pomysły na nadanie „Psom” zachodniego rysu wydają się niekiedy kuriozalne. Nieletnia ukochana głównego bohatera Angela (Agnieszka Jaskółka) wraca np. z zakupów z papierową torbą bez uchwytów, którą Polacy znają raczej z amerykańskich seriali, a nie z rodzimego samu.

Kobiety u Pasikowskiego to osobny temat: niewierne, przeważnie jednowymiarowe, oglądane seksistowskim okiem. O ile niektórzy zauważą, że to jednak Angela potraktowała zakochanego w niej Franza przedmiotowo, bo gdy stracił wilę i samochód, zostawiła go dla przyjaciela, który lepiej rokował finansowo (co też jednak spotka się z oporem: „Jaka kobieta rzuciłaby Lindę dla Kondrata?” – zapyta w „Wyborczej” Paweł Mossakowski), o tyle „Psy 2” będą już pod tym względem nie do wybronienia. Bo tam kobiety sprzedaje się za skrzynkę whisky i padają teksty w stylu: „Jeśli to nam się uda, to reszta jest łatwa jak kobiety”.

W owej nienawiści do kobiet i gloryfikacji męskiej przyjaźni niektórzy będą się zresztą dopatrywać skrywanego homoseksualizmu. „Te filmy dają bogaty pokaz łęków kastracyjnych i ich kompensacji, co jest stałym elementem polskiego męskiego mitu narodowego, lecz jeszcze nigdy ten element nie był tak historycznie zeszytniały i tak wymiotnie pozbawiony wdzięku” – pisze feministka Bożena Keff.

Linda gejem? Kto da więcej?

CIĘŻAR POLSKIEGO MACHO

„Jest to człowiek z zupełnie innego świata, rozpieszczony przez sławę – mówi Marcin Świetlicki, poeta i muzyk. – Dzięki nam na moment zetknął się z prawdziwym życiem”.

W 2005 roku Linda nagrywa ze Świetlickimi płytę „Las putas melancólicas”. W kawalku „Filandia” melorecytuje tekst Świetlickiego: „Nigdy papieros nie będzie tak smaczny/ A wódka taka zimna i pożywna/ Nigdy nie będzie tak ślicznych dziewcząt/ Nigdy nie będzie tak pysznych ciastek/ Reprezentacja naszego kraju nie będzie miała takich wyników/ Już nigdy nigdy nie będzie takich wędlin takiej coca-coli/ Takiej musztardy i takiego mleka/ Nigdy nie będzie takiego lata/ Nigdy nie będzie takiego lata”.

Mimo namów ze strony zespołu nie rusza z nimi w trasę. Odwykl od kontaktu z żywą publicznością, nie grywa już w teatrze. Choć w studiu imponuje profesjonalizmem, muzykiem nie zostanie. Za to, kiedy Świetlickiemu spadają się buty, Linda pierwszy wyjmuje 50 zł i dorzuca się do nowych. Poeta na drugi dzień opowiada o tym Krzysztofowi Maternie, ten nie chce być gorszy – daje tyle samo. Anegdota zaczyna żyć własnym życiem. Lech Janerka mówi: „Ja w życiu nie dam”. Ale po spotkaniu z nim Świetlicki znajduje w kieszeni 50 zł, które ukradkiem mu wsunął.

Od wizerunku twarziela Linda trochę próbował uciekać, np. reżyserując film o kobiecej przyjaźni „Jasne błękitne okna” z Joanną Brodzik (nieudany), albo grając niepełnosprawnego artystę Władysława Strzeмиńskiego w „Powidokach” Wajdy. Ale też nie za bardzo. Jako miłośnik sportów ekstremalnych wziął udział w programie telewizyjnym „Projekt X” dla „prawdziwych facetów”. Lubi jeździć na harleyu. Cały czas grywa u Pasikowskiego, wystąpił także w „Pitbullu. Nowych porządkach” i „Kobietach mafii” Patryka Vegi.

W trzeciej części „Psów”, która powstała kilka lat temu na fali sentymentu do lat 90., zagrał z godnością cięń dawnego siebie. Ciężar bycia polskim macho twórcy przesunęli na postać graną przez Marcina Dorocińskiego. Linda ponoć długo nie chciał się zgodzić na udział w tym projekcie. A potem chciał Franza Maurera uśmiercić. Nie wziął udziału w promocji filmu. Do mediów wypowiada się rzadko – i przeważnie coś palnie. Ostatnio np. o przesadnej – jego zdaniem – poprawności politycznej w kinie.

Być może chętniej wzięłby udział w trzeciej części „Psów”, gdyby twórcy zrealizowali jednak żartobliwy pomysł sprzed lat. Według niego Franz miał całkiem upaść, zamieszkać gdzieś na wsi i pracować jako krawiec, planując ostatni skok na kolekturę Totalizatora Sportowego.

To co byłoby z Lindą, gdyby „Psów” nie było?

Podobno na egzaminie do Szkoły Teatralnej kazali mu zaśpiewać „Stary niedźwiedź mocno śpi”, tańcząc przy tym mazurą. Zdał jako „nadzieja polskiej komedii”. Zabolalo go, bo grał na poważnie. ●

Wybrane źródła: „Zły chłopiec. Bogusław Linda w rozmowie z Magdą Umer” (Pascal); „Spaghetti dla samotnego mężczyzny” Bogusława Lindy (Studio Marka Łebkowskiego); „Nieprzysiadalność. Autobiografia” Marcina Świetlickiego (WL); „Historia kina polskiego. Twórcy, filmy, konteksty” Tadeusza Lubelskiego (Videograf II); „333 popkultowe rzeczy... lata 90.” Bartka Koziczyńskiego (Vesper)



Dzisiejsze słowo wstępne do „Weekendówki” wypada podzielić na dwie części. Zgodnie z nomenklaturą tematu przewodniego powinno się powiedzieć połowy, ale sęk w tym, że nie będą one równe. Zgoda, że piłkarskie też z reguły nie są, bo wszak jest to sakramentalne „plus to, co doliczy arbiter”, ale jednak połowy równe być powinny. Koniec kropka.

A zatem w pierwszej części wypada Państwu serdecznie przeprosić za zamieszanie w ostatniej „Weekendówce”, z 12 listopada. Otóż w krzyżówce niepodległościowej świętujący redakcyjny chochlik zjadł określenie sejmu (22 pionowo), tym samym przesuwając numerację sześciu końcowych określeń pionowych (w prawej kolumnie powinny być numery: 24, 26, 28, 29, 30, 33). Raz jeszcze przepraszamy za tego huncwota i dziękujemy wszystkim, którzy napisali do nas, wskazując na ów błąd. Obiecujemy poprawę!

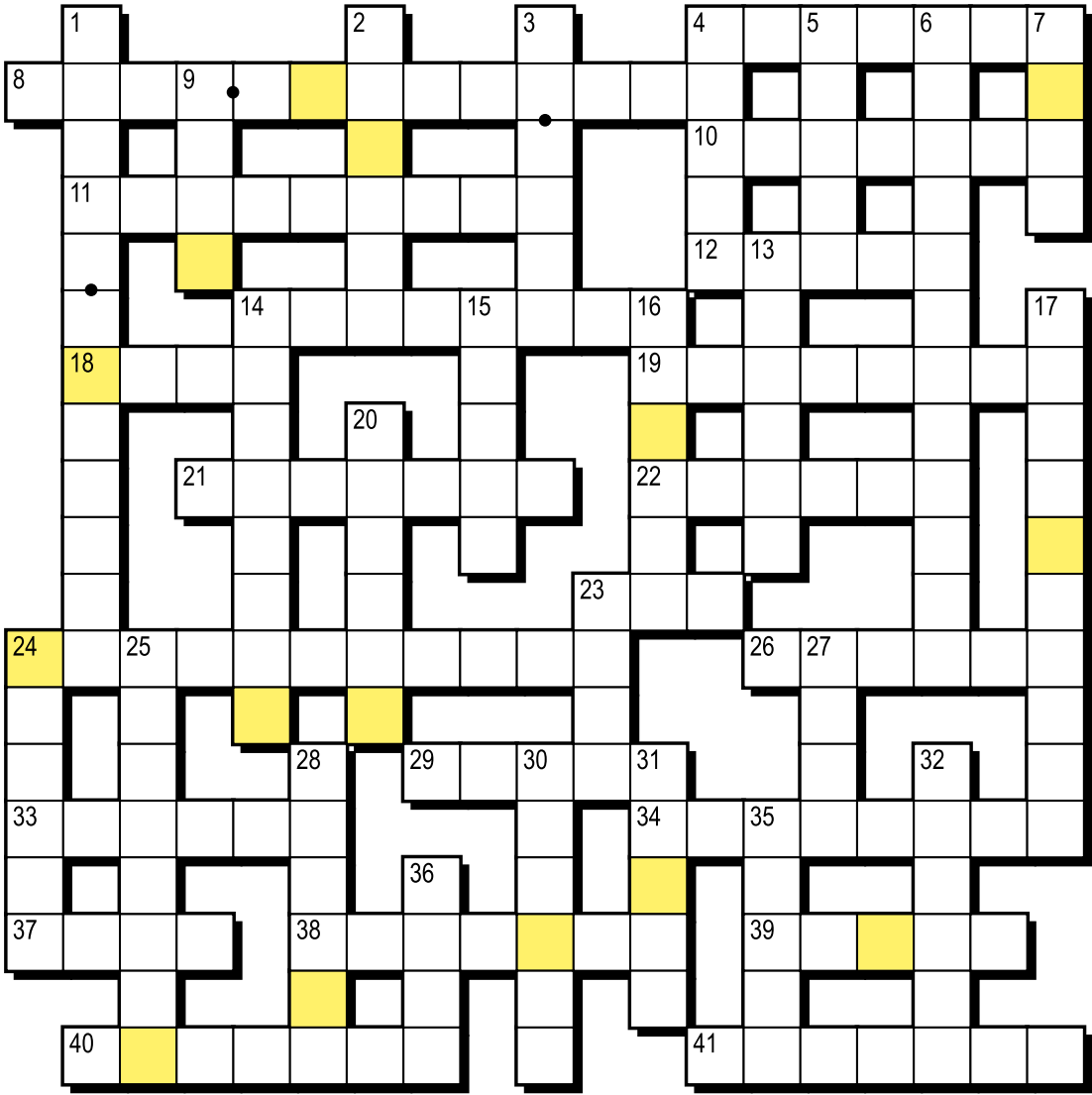
Oczywiście Państwo nie mieli mimo to kłopotów z rozwiązaniem krzyżówki, co nas w żadnej mierze nie usprawiedliwia, rzecz jasna. Ale będzie lepiej.

I to może już w najbliższych dniach, a to za sprawą naszych piłkarzy, którzy we wtorek rozpoczynają mistrzostwa świata meczem z Meksykiem. Mecz otwarcia, ale nie dajmy się wciągnąć w tę tradycyjną wyliczankę polskiego kibica, aż za dobrze znaną nam z kolejnych wielkich turniejów. Wierzymy, że tym razem policzymy więcej niż do trzech.

Do pomocy w układaniu haseł „Weekendówki” mundialowej zaprosiliśmy Piotra „Gumę” Gumulca, artystę estradowego, tekściarza, lidera kabaretu Chyba i członka kabaretu Spółka z o.o. „Guma” już kiedyś u nas gościł i wówczas zapowiadaliśmy, że z chęcią skorzystamy z jego innych niż kabaretowe talentów. A że to zapalony kibic piłkarski...

To będzie ostatni mundial z udziałem Leo Messiego i Cristiano Ronaldo – dwóch gigantów, którzy zdominowali futbol ostatnich lat. Z Argentynczykiem Biało-Czerwoni zmierzą się w grupie, bowiem los przydzielił nam obok Meksyku i Arabii Saudyjskiej właśnie Albicelestes. Z Ronaldo i Portugalią możemy zetknąć się dopiero w półfinale. Rety, ale by było... ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 26 z 12.11:

Poziomo:

7) Moraczewski 9) Rosja
10) Berlin 11) Grabski 12) Rada
Regencyjna 15) biel 17) dowódca
18) Witos 19) lata 21) Austria
23) Galicja 25) wojna 27) Wojciech
30) stos 31) orły 32) twierdza
34) Warszawa 35) Dmowski
36) wywiad

Pionowo:

1) Komendant 2) Haller 3) czyn
4) układy 5) traktat wersalski
6) Paderewski 8) wagon
13) endecja 14) Cud nad Wisłą
15) bitwa 16) flaga 20) alianci
22) sejm 24) powstanie
26) Thomas 28) obrady
29) Edward 30) sprawa 33) wódz

Hasło: **PATRIOTYZM**

KATAR

Hasła Piotra Gumulca
oznaczono inicjałami (P.G.).
Literę w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

4) język Katarczyków
8) Grzegorz Lato, Paulo
Rossi, Oleg Salenko, Ronal-
do (P.G.)
10) może być przyczyną
kataru siennego
11) ... do kadry na mundial,
ogłaszane przez
selekcjonera
12) ... zwycięstwa
(przechyla się)
14) mecz testowy
18) emocje murawiane!
19) Maryla, nagrała
piosenkę „Futbol”

21) pustoszeje po przerwie
meczu
22) dośrodkowanie
23) mundialowy ...
minimum: wyjście z grupy
24) Czesław, dowódca
naszej kadry w Katarze
26) zieleni podkorkowa
29) Adam, piłkarz,
reprezentant Polski
33) ... „Częstochowy”
– taktyka polskiej reprezen-
tacji przy dobrym wyniku
z silnym rywalem (P.G.)
34) potocznie: bezładna gra
na niskim poziomie
37) kraj z Półwyspu
Arabskiego
38) mundial lub Euro
39) stolica Kataru
40) pojechał na mundial
41) ta śnieżnica ucieszy
pseudokibica

Pionowo:

1) najtrudniej awansować
z niej do dalszej fazy
rozgrywek
2) stadionowy zgilek
3) dynastia panująca
w Katarze (z liter wyrazu
„alians”)
4) ... do fazy pucharowej,
czyli wyjście z grupy
5) ... piłkarskich zmagają,
czyli stadion
6) ... sędziego (gwizdek,
podniesienie chorągiewki)
7) w mundialowej grupie B
9) filar naszego ataku
13) w meczach o złoto albo
strzela gole, albo wali z byka
(P.G.)
14) Wojciech, reprezenta-
cyjny bramkarz
15) może być bezbramkowy
16) piłkarze

17) w mundialowej grupie G
20) dzień, w którym Polska
zagra z Meksykiem
23) gra na ..., często
wygwizdywana
24) z nim jedyny remis
Polski w Meksyku ‘86 (P.G.)
25) największa sensacja
mistrzostw we Francji ‘98
(P.G.)
27) organizator Ligi
Mistrzów, Ligi Europy
28) żółta lub czerwona
30) zapewniają wsparcie
sektorowe
31) składna, koronkowa,
brawurowa
32) waluta Kataru
35) chybione strzały
36) zdobyty przez Polskę
na mundialu w 1982 r.

Leszek Rydz

Byłe do

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play